

P. 9786 chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/186

1963



• « La Culture » • Revue mensuelle •

J. MIEROSZEWSKI :

MIOTACZE GROCHU O ŚCIANĘ

Cz. MIŁOSZ : **POWIKŁANIA JEDNEJ PORAŻKI**

W. SUKIENNICKI :

PROLOG NASZEGO DRAMATU

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Miotacze grochu o ścianę</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Fragment z dziennika</i>	13
Czesław Miłosz:	<i>Powikłania jednej porażki</i>	23
Wiktor Weintraub:	<i>Czy Ameryka była dla Norwida infernem?</i>	39



Wiktor Sukiennicki:	<i>Prolog naszego dramatu</i>	63
Danuta Irena Bieńkowska:	<i>Ludzie i książki</i>	91

ARCHIWUM POLITYCZNE

S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	95
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	100
Stefan Komornicki:	<i>Kongres w Durbanie</i>	106

SPRAWY I TROSKI

Zbigniew Jasiński:	<i>Tryptyk na temat sztancy</i>	114
Andrzej Chciuk:	<i>Tematy dla Kisiele i innych</i>	119

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Janusz Machnowski:	<i>Sprawa płk. Gilewicza</i>	125
--------------------	------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawa Henryka Stażewskiego</i> 131
—	<i>Komunikat: Wystawa fotograficzna</i> 134

KSIĄŻKI

Michał K. Pawlikowski:	<i>Powieść o rosyjskim Dreyfusie</i> ..	135
Tytus Komarnicki:	<i>Pokolenie kapitulantów</i>	139
Tymon Terlecki:	<i>Krytyka „Bojkotta”</i>	144
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	149



St. Borowski, St. Fischlowitz,	<i>Listy do Redakcji</i>	153
J. Holcman, A. Jaworski, J. Rugis, St. Sagasz, K. Symono- lewicz-Symmons:		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1963

INSTYTUT



LITERACKI



WPLATY NA FUNDUSZ ŚP. WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO

Dar złożony przez członków Oddziału 27 Komitetu Narodowego Amerykanów Polskiego Pochodzenia w Bostonie, Mass. (USA): Maria Blinstrup — dol. 5; Barbara Tomaszewska — dol. 5; Maria i Stanisław Michalicy — dol. 5; Jan Bartoszewicz — dol. 5; Piotr Dietrich — dol. 5; Roman Zaziemski — dol. 5; Maria Kuśta — dol. 2; Lubomir Szumski — dol. 2; Franciszek Wolny — dol. 2; Eugeniusz Królikowski — dol. 1; Eugeniusz Mateja — dol. 1. Razem dol. 38.- 175.00 F

Apel „Kultury” i artykuł Aleksandra Kawalkowskiego został w całości przedrukowany w „Dzienniku Polskim” w Detroit, Mich. (USA), który ze swej strony zaapelował do swoich czytelników. Wpłynęły następujące kwoty: Red. Józef Karasiewicz — dol. 100; Władysław Myczek — dol. 20; Roman Szczepankowski — dol. 10; Franciszek Polański — dol. 50; Emil Jaworowski — dol. 5; Bogusław Kunc — dol. 25; Jane Dalbert — dol. 2; Jan Zych — dol. 5; S.K. — dol. 10; Irena i Wiktor Zahorscy — dol. 10; John Patyna — dol. 5; Józefa Maczulska — dol. 5; Tadeusz Szewczyk — dol. 5; Marian Ostrowski — dol. 5; Alojzy Chronowski — dol. 50; Józef i Kazimiera Mas — dol. 25; Henryk Kogut — dol. 5. Razem dol. 337.- 1.649,10 F

Gryf Publications Ltd., Londyn, nadesłał następujące wpłaty: B. Kosiewicz — £ 1; Wł. Kowalewski — £ 2; A. Kawka — £ 1; H. Miedziński — £ 5; Paweł Zaręmba — £ 2; Gryf Printers, Ltd. — £ 5. Razem £ 16.00.00 217,00 F

Roman Grónowski, Richmond. Vic. (Australia)	28,00 „
S. K. Jandzis, Melbourne (Australia)	10,00 „
Witold L. Langrod, Meksyk	244,00 „
W. G. Chicago (USA)	23,80 „
Jerzy Langrod, Paryż	100,00 „
Wł. Zeleniński, Paryż	50,00 „
M. T. Andrzejczak, West Perth. W.A. (Australia)	10,00 „
Dr A. Richter, Grand Bahama (Bahamas)	135,00 „
Leon Epsztein, Paryż	10,00 „
Czesław Wróblewski, Winterthur (Szwajcaria)	56,00 „
Jadwiga Hugon, Saint-Cloud (Seine) Francja	50,00 „
Zbigniew Morawski, Paryż	200,00 „
Jadwiga Wojciechowska, Los Angeles (USA)	48,08 „
Lucja Gliksman, Tel-Aviv, (Izrael)	28,35 „
Feliks Drabczyk, Toronto, Ont. (Kanada)	21,30 „
G. Sośnicka, Paryż	10,00 „
Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im Sylwestra Gruszki w Sydney (Australia)	150,00 „

Do dnia 22 marca 1963 zbiórka przyniosła łącznie kwotę F. 7508,19. a więc przekroczyła nawet podaną przez nas kwotę F. 7000,00. Wobec tego, dziękując Czytelnikom za ich ofiarność — zamykamy zbórkę. —

REDAKCJA

Wpłaty na Fundusz „Kultury” zamieszczamy na str. 160.

Imprimé en France



P.9786 chr. Arch.

Miotacze grochu o ścianę

Jedną z konsekwencji systemu super-mocarstw jest silny wzrost poczucia nacjonalnego po obu stronach „żelaznej kurtyny”. Niedawno prem. Macmillan zauważył w Izbie Gmin, że Wielka Brytania nie jest państwem „satelickim”. De Gaulle wy-daje się nie w pełni podzielać powyższy pogląd.

Dążenie do integracji europejskiej — choć może się to wydać paradoksem — wypływa z wzrostu poczucia narodowego, a nie z jego zaniku. De Gaulle przypieczętował okres czterech wieków sporów francusko-niemieckich nie w imię europejskiego internacjonalizmu — lecz przeciwnie w imię francuskiego nacjo-nalizmu.

Myślą przewodnią de Gaulle'a jest przesłanka, że w epoce atomowej zagrożenie dla suwerenności państw europejskich może przyjść tylko z zewnątrz wobec czego zjednoczenie „euro-pejskich ojczyzn” leży w narodowym interesie wszystkich człon-ków wspólnoty.

Niezależnie od motywów politycznych integracja dyktowana jest potrzebami gospodarczymi. Ów proces nie byłby możliwy bez dłuższego okresu przygotowawczego. Zniesienie wiz, pasz-portów, ograniczeń administracyjnych, swoboda podróżowania z kraju do kraju — wszystko to stworzyło nowy europejski klimat psychiczny.

A jak procesy integracyjne przebiegają po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”?

Jak wiadomo istnieje tzw. RWPG czyli Rada Wzajemna Po-mocy Gospodarczej. W europejskim bloku komunistycznym cen-tralnie planowanym integracja — wydawać by się mogło — winna być nakazem niepodlegającym dyskusji. „Proletariacki internacjonalizm”, jedność ideologiczno-ustrojowa — wszystko to winno stwarzać idealne warunki integracyjne. Jeżeli w ustroju komunistycznym ma z czasem zaniknąć państwo cóż byłoby

naturalniejszego, gdyby obniżyły się nieco bariery graniczne pomiędzy braterskimi „socjalistycznymi” republikami.

W rzeczywistości sprawy układają się zgoła inaczej. Paszporty, wizy, utrudnienia walutowe otaczają murem Ulbrichta każde państwo w bloku wschodnim.

Nawet ludzie nauki nie mogą przełamać owego muru... „proletariackiego internacjonalizmu”. Oto jakże charakterystyczna wypowiedź prof. Kotarbińskiego cytowana przez Dominika Horodyńskiego w artykule pt. „Przeciw Izolacji”:

„Krótko mówiąc w dziedzinie tych kontaktów brak jest ducha. Mają one charakter niejako „mundurowy”... Paszporty, dewizy ograniczone marszruty, to dominuje. Wzajemne odwiedzanie się intelektualistów krajów socjalistycznych jest bez porównania bardziej utrudnione niż kontakty wzajemne intelektualistów w krajach Zachodu... Trochę wstyd, że tak jest jak jest”.

Horodyński słusznie stwierdza w cytowanym artykule, że „bez zniesienia wiz i paszportów, bez wprowadzenia swobodnej wymienialności walut w ramach integrującego się ugrupowania nie może być praktycznie mowy o innych osobistych kontaktach niż podróże służbowe lub zorganizowane wycieczki”.

Lecz ani Kotarbiński ani Horodyński nie podają i podać nie mogą przyczyn owej izolacji, w której żyją narody satelickie. Horodyński stawia naiwnie za wzór integrację zachodnią bloków wschodniemu.

Są dwie przyczyny, które powodują, że mimo wskazań gospodarczych i haseł ideologiczno-programowych zamiast integracji obserwujemy w bloku wschodnim izolację.

Po pierwsze państwa policyjne są zawsze skazane na izolację. Rządzić policją i „ukazami” można tylko w ramach państwa o hermetycznie zamkniętych granicach. W państwach zachodnich cudzoziemiec — jak piszący te słowa — może zmieniać miejsce swego zamieszkania, przenosić się z miasta do miasta bez obowiązku meldowania się i podawania swego adresu. Gdyby w bloku wschodnim zniesiono paszporty i wizy — gdyby wprowadzono swobodną wymienialność walut — w konsekwencji trzeba by znieść i przepisy meldunkowe. Gdyby ludzie mogli swobodnie podróżować, gdyby nie musieli nigdzie się meldować, gdyby jak w Anglii, nie obowiązywały dowody osobiste — wówczas państwa bloku wschodniego przestałyby być państwami policyjnymi. Nie wydaje mi się by dla jakiegokolwiek państwa komunistycznego była to propozycja realna. Mur Ulbrichta odpowiada znacznie bardziej konkretnym potrzebom państwa policyjnego.

Przyczyna druga jest wyższego rzędu i bierze swe źródło w imperialistycznej polityce sowieckiej. Istnieją dwa typy integracji — pozioma i pionowa. Koncepcja francuska jest klasycznym przykładem integracji poziomej. Państwa Europy zachodniej jednoczą się z sobą by zapewnić zjednoczonej Europie lepszą pozycję

zarówno w stosunku do Rosji, jak i w stosunku do Stanów Zjednoczonych.

Jest oczywiście, że tego typu integracja w bloku wschodnim jest wyłączona. Możliwa jest tylko integracja pionowa tzn. zorientowana na Moskwę. Rosjanom nie zależy na dobrych stosunkach polsko-czeskich czy na zbliżeniu polsko-węgierskim. Wprost przeciwnie tego typu zbliżenie w Moskwie budziłoby niepokój.

Ani Polska ani Czechosłowacja w pojedynkę nie mają żadnej szansy zdobycia pozycji partnera w stosunku do Sowietów. Lecz federacja komunistycznych republik: polskiej, czechosłowackiej i węgierskiej miałaby wszelkie możliwości awansu ze statusu satelity do pozycji partnera. I z tej przyczyny w bloku wschodnim federalizować się można tylko pionowo tzn. ze Związkiem Sowieckim, lecz nie poziomo, tzn. poza obrębem Związku Sowieckiego.

Integracja pionowa nie jest dyktowana ekonomią, lecz tylko i wyłącznie polityką. Względy gospodarcze dyktowałyby integrację poziomą na wzór integracji Europy Zachodniej.

Mimo, że o Sowietach napisano tysiące tomów imperializm sowiecki oczekuje swojego dziejopisa i analityka. Wyobraźmy sobie, że Polska w jej obecnych granicach stanowiłaby część terytorium cesarskiej Austrii czy carskiej Rosji. Nie byłoby to po prostu możliwe. Likwidację Polski umożliwił jej podział. Bez podziału nie byłoby likwidacji.

Parafrazując powiedzenie Churchilla można by stwierdzić, że jeszcze nigdy tak nieliczni nie rządili tak licznymi. Mimo, że na terytorium Polski znajdują się sowieckie jednostki Polska nie jest *de facto* okupowana. Polską rządzą Polacy.

Moskwa stosuje tę samą klasyczną taktykę zarówno w stosunku do poszczególnych partii, jak i do państw satelickich. Popiera jedną frakcję przeciwko drugiej i wysłuchuje skarg jednych na drugich. Stosunkowo niedawno Witaszewski był w Moskwie, celem przestudiowania sowieckich metod zmierzających do zabezpieczenia tajemnic partyjnych. Wiadomo powszechnie, że w Warszawie tajemnice partyjne przeciekają przez wszystkie drzwi, skrytki i gabinety. Przy tej okazji Witaszewski zaprezentował towarzyszom sowieckim skrzętnie zebrany „materiał ilustracyjny” obciążający prem. Cyrankiewicza i jego ludzi. Chruszczow wezwał Cyrankiewicza do Kijowa, gdzie z kolei Cyrankiewicz obciążył Witaszewskiego itd. itd.

O szczebel wyżej w stosunkach międzypaństwowych — stosowany jest identyczny schemat. Jeżeli Gomułka rozmawia sam na sam, w cztery oczy w czterech ścianach zamkniętego gabinetu z Ulbrichtem czy z jakimkolwiek innym przywódcą satelickim — nigdy nie mówi w cztery oczy, tylko zawsze w sześć. Chruszczow jest zawsze potencjalnie obecny przy tych rozmowach i wie, że najmniejszy „poślizg” zostanie mu doniesiony.

Przed wojną rolnictwo w Czechosłowacji stało na najwyższym poziomie. Ubiegłego lata w Czechosłowacji wprowadzono

racjonowanie mięsa. W Warszawie ukuto dowcip, że Nowotny pragnie rozszerzyć plan Rapackiego na strefę nie tylko bezatomową, ale i bez-mięsną. Przeciętny wiek kołchoźnika w Czechosłowacji wynosi 51 lat. Wieś ogłoszono nie tylko z młodzieży, ale i z ludzi w średnim wieku.

Zabrzmiało to jak herezja, ale z socjologiczno-psychologicznego punktu widzenia jest czasem trudniej pojąć komunizm niż hitleryzm. Jest rzeczą niepojętą jak Czechów, najbardziej zachodnich Słowian zmuszono do kopiowania stalinowskich schematów gospodarczych, które wszędzie okazały się nonsensem.

Wywożenie do Niemiec na przymusowe roboty, łapanie, obozy koncentracyjne, piece krematoryjne — to wszystko były przejawy terroru wobec którego narody podbite były bezsilne. Lecz jak bez łapanek i masowych rozstrzeliwań zmuszono Czechów — urodzonych pragmatyków i realistów do organizowania życia gospodarczego wbrew prawdom zdrowego rozsądku i elementarnej kalkulacji — jest niewątpliwie jedną z większych tajemnic dwudziestego wieku. I dlatego twierdzę, że imperializm sowiecki ciągle jeszcze oczekuje swego dziejopisa i analityka. Wszystko co do tej pory napisano o Sowietach nie tłumaczy w pełni zachowania się wschodnio-europejczyków.

Chruszczow nie jest ani czarownikiem ani czarodziejem. Politycy sowieccy dyskontują natomiast umiejętnie przewrót, jaki dokonał się w psychice małych i średnich narodów w epoce nuklearnej.

Ułani szarżujący czołgi niemieckie byli patetyczni. Era atomowa obdarła z romantyki nie tylko ułanów, lecz zredukowała możliwości wojskowe średnich narodów niemal do zera. Znaleźliśmy się z ciężkim bagażem historycznym w atomowej ślepej ulicy, z której nie ma wyjścia. Nasza tradycja, historia, literatura — to wszystko nie ma żadnego związku z rzeczywistością. System wartości, jakim żyliśmy od pokoleń, a którego ostatnim pomnikiem było Powstanie Warszawskie — zawalił się jak domek z kart.

W konsekwencji oświadczył nam bez reszty kompleks „grochu o ścianę”. Wszystko co piszemy w kraju czy zagranicą nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość. Rzeczywistość tworzą za nas inni, a my możemy komentować ją, lecz tylko do pewnego stopnia i w określony sposób.

Sytuacja jest nieporównywalna z żadnym dostępnym nam doświadczeniem historycznym. W okresie zaborów czy w czasie okupacji niemieckiej nikt z nas nie wątpił w potencjalną, polityczną podmiotowość narodu polskiego. Lecz dziś akceptujemy obcą rzeczywistość w przekonaniu, że to jest jedyny klimat dla nas dostępny.

Na kompleks „grochu o ścianę” składa się kilka elementów. Stosunkowo niedawno powtarzaliśmy za naszym ministrem spraw zagranicznych Józefem Beckiem: „nic o nas bez nas”. Dziś sto milionów ludzi w Europie wschodniej może powiedzieć: „wszystko o nas bez nas”. Byliśmy świadkami bezprzykładnej dewalu-

cji wielkości politycznych w Europie. Potencjał atomowy Wielkiej Brytanii wynosi około 2 procent potencjału atomowego Sowietów. Gdzież jest Francja?

W okresie kryzysu kubańskiego, gdy ważyły się losy wojny i pokoju — decyzja spoczywała w rękach dwóch ludzi. Ci sami panowie są władni dojść do porozumienia ponad głowami całej ludzkości. Ponieważ 95 procent potencjału atomowego Zachodu jest w rękach Ameryki a 100 procent potencjału atomowego bloku wschodniego jest w rękach Sowietów — Chruszczow i Kennedy mogą w teorii narzucić światu uzgodniony dyktat.

Na pierwszy rzut oka tak to istotnie wygląda. Lecz wróćmy na chwilę do kryzysu kubańskiego. Założmy, że rozwój wypadków potoczył się inaczej i doszło do wojny światowej. Wówczas przyszedł historyk — musiałby stwierdzić w swojej analizie, że gentlemanem, który *de facto* doprowadził do wojny nie był ani Chruszczow ani Kennedy tylko *ktoś trzeci* a mianowicie Fidel Castro, przywódca miniaturowej rewolucji w miniaturowym państwie.

Jest moim głębokim przekonaniem, że jeżeli dojdzie do wojny to nie rozpoczyna jej ani Stany Zjednoczone ani Sowiety. Oba super-mocarstwa pragną pokoju — oczywiście na możliwie najkorzystniejszych warunkach. Jeżeli dojdzie do wojny zdetonuje ją ktoś trzeci.

A kto to jest ów trzeci? Ów trzeci to jesteśmy my, małe i średnie państwa do których w Europie należą zarówno Niemcy jak Polska, Francja i Włochy. Małe i średnie państwa ważą w gruncie rzeczy szalę wojny i pokoju, a nie Waszyngton i Moskwa.

Jeżeli Amerykanie czy Rosjanie rozpatrują niebezpieczeństwo wojny to myślą przede wszystkim o uczulonych punktach na terytorium państw trzecich jak Berlin czy Kuba. Amerykanie biorą pod uwagę państwa satelickie, jak NRD. Dopóki Niemcy zachodnie były nieuzbrojone rewolta w NRD nie groziła międzynarodowymi komplikacjami. Lecz dziś Bundeswehra ma najlepsze czołgi w Europie dla których mur Ulbrichta nie stanowiłby żadnej przeszkody.

Super-mocarstwa pragnąc zaasekurować się przed inicjatywami państw trzecich dążą z jednej strony do monopolizacji broni atomowych — z drugiej strony propagują koncepcję wojny konwencjonalnej i zlokalizowanej. Wojna konwencjonalna i zlokalizowana niesłaby zniszczenie państwu trzecim nie zagrażając w niczym obu super-mocarstwom. Zlokalizowanie konfliktu jest możliwe, ale nie wszędzie. Trudno wyobrazić sobie wojnę lokalną w Niemczech. Amerykanie w takiej sytuacji mieliby do wyboru albo kapitulację i utratę Niemiec, albo ryzyko światowej wojny atomowej.

Pomiędzy Ameryką a Sowietami nie ma żadnych spornych spraw terytorialnych. Źródłem napięcia jest podział państw trzecich. W ostatecznym rozrachunku ów podział zadecyduje bowiem o przewadze i o zwycięstwie.

Gdyby nie istniały interesy narodowe państw trzecich — gdyby przestrzeń oddzielająca Amerykę od Rosji traktować można za „no man's land” — ugruntowanie światowego pokoju nie przedstawiałoby większych trudności.

I jeszcze jeden punkt niezmiernie wagi. W epoce przedatomowej powstańcy walczący z ciemieścią swego kraju — szli z szablami przeciwko szablom, z karabinami przeciwko karabinom. Dziś zaborca posiada samoloty, czołgi i broń maszynową. Można jeszcze dodać, że carska Rosja czy cesarska Austria były państwami „liberalnymi” w porównaniu z współczesnymi państwami komunistycznymi. Państwa zaborcze nie dysponowały ani NKWD ani UB a ich aparat policyjny był daleki od współczesnych doskonałych wzorów sowieckich. Taktycznie jakiegokolwiek powstanie dziś ma niewątpliwie daleko mniejsze szanse sukcesu niż pół wieku temu.

Z drugiej jednak strony obiektywnie należy stwierdzić, że powstanie dziś niesie z sobą dla zaborcy *niewspółmiernie większą groźbę niż pół wieku temu*. O tym zapomina się w stolicach państw trzecich, lecz pamięta się w Moskwie.

Następny „Budapeszt” może być wstępem do światowej wojny atomowej. Rewolta w Niemczech wschodnich może w konsekwencji przynieść zmiecenie z powierzchni ziemi Moskwy i Leningradu. Zbuntowany naród satelicki jest dziś w możliwości uruchomić łańcuch reakcji o nieobliczalnych wprost skutkach.

Powstania i rewolwy w 19 wieku nie groziły ciemiećcom konsekwencjami tej skali. Nie istniały bronie atomowe i nie istniały polityki globalne.

Ponieważ tak Ameryka jak i Sowiety prowadzą polityki globalne — zlokalizowanie konfliktu w praktyce może okazać się nieosiągalne. W perspektywie globalnej utrata Niemiec nie byłaby klęską Niemiec ani nawet klęską Europy tylko super-klęską Stanów Zjednoczonych.

Na tych przykładach chciałem wykazać, że kompleks „grochu o ścianę” w świetle obiektywnej analizy nie jest uzasadniony. Narody „trzecie”, a w szczególności narody satelickie zafascynowane majestatem super-mocarstw nuklearnych — przyjęły w wielu wypadkach beznadziejną postawę miotaczy grochu o ścianę. Zafundowaliśmy sobie nowy mit, który nas paraliżuje i przytłacza.

Nie doradzamy powstania i nie namawiamy do rewolty. Wojna atomowa nie leży zarówno w interesie supermocarstw, jak i państw średnich i małych. Wojna atomowa z całą pewnością nie leży w niczyim interesie.

Lecz nie można tego samego poglądu rozciągnąć na problem pokoju. Pokój przedstawia najwyższą wartość dla supermocarstw, które pragną zachowania status quo. Gdyby w NRD wybuchły rozruchy — gdyby doszło do walk pomiędzy policją, a robotnikami — Amerykańscy oficerowie myśleliby o zlokalizowaniu konfliktu. Myśląc o zlokalizowaniu konfliktu myśleliby o miastach amerykańskich, które znalazłyby się w niebezpieczeń-

stwie, gdyby ognisko lokalne przekształciło się w otwartą walkę wojsk amerykańskich i sowieckich, a w dalszej fazie w światową wojnę atomową.

Lecz trudno wymagać od dowódcy zachodnio-niemieckiego, który w danej sytuacji dysponowałby korzystnie stacjonowaną dywizją pancerną by westchnął filozoficznie i powiedział sobie, że lepiej by policja Ulbrichta wystrzelała tysiące niemieckich robotników niż żeby bomby atomowe spaść miały na Nowy Jork czy Leningrad.

Dopóki nikt nie strzela do naszych współ-rodaków — wszyscy jesteśmy za pokojem. Lecz gdyby czołgi sowieckie otworzyły ogień do demonstrujących tłumów w Warszawie byłbym pierwszy za bombardowaniem Moskwy i sądzę, że w tych uczuciach nie byłbym osamotniony. Pokój i dobrobyt innych nie może być okupiony zlokalizowaniem wojny do tragedii jednego narodu.

Nie jesteśmy nic mniej pokój miłującym narodem niż Amerykanie czy Rosjanie. Różnice nie dotyczą pokoju tylko stosunku do *status quo*.

Ani Rosjanie nie uciskają Amerykanów ani Amerykanie nie ciemiężą Rosjan. Ich wzajemna wrogość jest manifestacją czysto polityczną. Innymi słowy ani Amerykanie ani Rosjanie nie są w konflikcie zaangażowani własną skórą.

Kampanie pacyfistyczne na Zachodzie, popierane przez Moskwę międzynarodowe kongresy pokoju itd. — dla narodów satelickich mają tylko jedno orędzie: wszystko jest lepsze od wojny atomowej nawet narzucony komunizm. Tego typu pacyfizmem można usprawiedliwić dosłownie wszystko. W porównaniu ze stu megatonową bombą lepszy byłby nawet Oświęcim bo jednak z Oświęcimia garść ludzi zdołała się uratować. Czy to oznacza, że Oświęcim należałoby zaakceptować, by uchronić od ruiny miasta sowieckie?

Podkreślam jeszcze raz: wszyscy jesteśmy przeciwko wojnie atomowej, ale stopień naszego zaangażowania w konflikcie jest różny. W okresie kryzysu kubańskiego ani Rosjanie nie strzelali do tłumów amerykańskich ani Amerykanie nie masakrowali bezbronných Rosjan. W takiej sytuacji było stosunkowo łatwo zarówno Chruszczowowi jak i Kennedy'emu zdobyć się na racjonalistyczne, kompromisowe rozwiązanie. Lecz Berlin to nie Kuba. Jeżeli wybuchnie konflikt w Niemczech wschodnich, na Węgrzech czy w Polsce nikt nie będzie myślał o stu-megatonowych bombach atomowych i o „końcu świata”. Dojdzie wówczas do głosu latami tłumiona nienawiść i latami tłumiona tęsknota do wolności.



Celem niniejszego szkicu było wykazać, że pozycja narodów, które nazwałem „trzecimi” — nie jest bynajmniej słaba, mimo, że nie posiadają broni atomowej. Lecz reakcje owych narodów są bardzo różne. Zachodnia Europa kontynentalna, a zwłaszcza

Francja, pod przywództwem de Gaulle'a — zdecydowana jest na drodze twardych i niespiesznych negocjacji uzyskać status pełnoprawnego partnera w wolnym świecie, który symbolizuje prez. Kennedy. De Gaulle choć prasa angielska przyrównała go do Napoleona i Hitlera — nie jest ani jednym ani drugim. Jest natomiast nieustępliwym negocjatorem, który umie powiedzieć „nie”. Do tej pory była to specjalność wyłącznie sowiecka. Skłonny jestem przypuszczać, że — jeżeli nie zajdą nieprzewidziane wydarzenia — de Gaulle do dwóch lat wyprostuje stosunki francusko-amerykańskie i w konsekwencji pozycja Paryża w sojuszu atlantyckim ogromnie wzrośnie.

Niestety po drugiej stronie „żelaznej kurtyny” magia supermocarstwowa hipnotyzuje narody satelickie. W rezultacie powstał kompleks beznadziejności, który w znacznym procencie oświadczył również emigrację. Wszelka myśl — już nie mówię o pełnej wolności, lecz o poprawie sytuacji wydaje się bezprzedmiotowym rzucaniem grochu o ścianę.

W rzeczywistości narody „trzecie” z Polską włącznie zajmują w owej grze epoki pozycję kluczową.

Amerykanie i Rosjanie to są narody supermocarstwowe, atomowe, przemysłowe, które w razie wojny nie mają niczego do zyskania a natomiast wszystko do stracenia. Tak jedni jak i drudzy dążą do ustalenia swojej przewagi, aby zabezpieczyć pokój i zwycięstwo bez wojny. Gdyby doszło do światowej wojny atomowej Rosjanie usiłowałiby przede wszystkim zniszczyć Amerykę a Amerykanie Rosję. Ten cel prawdopodobnie zostałby osiągnięty. I tu leży przyczyna, że oba supermocarstwa do wojny się nie spieszą.

Błąd podstawowy jaki popełniają politycy zarówno w Moskwie jak i w Waszyngtonie — polega na tym, że obie strony w sporze uważają, iż porozumienie amerykańsko-sowieckie wystarczyłoby do zabezpieczenia pokoju. To jest przykład — nie jedyny — myślenia politycznymi kategoriami z 19 wieku.

Jeżeli tak byłoby istotnie to należałoby zadać proste pytanie: skoro zarówno Amerykanie jak i Rosjanie nie chcą wojny — to kto i co zagraża pokojowi?

Pokojowi zagrażamy my, sto milionów ludzi niepokodzonych, względnie pogodzonych czasowo ze *status quo*. To brzmi nieco patetycznie, ale niemniej odpowiada ściślej i obiektywniej prawdzie. Zagrażamy pokojowi wbrew woli i nie z naszej winy. Lecz trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Miliony ludzi, którzy nie godzą się z komunizmem, którzy nienawidzą Rosjan tak — jak nigdy dotąd nikt nikogo nie nienawidził, którzy dławią w sobie poniewierane poczucie narodowe jak parę w przegrzanym kotle — ludzie ci mogą w danej sytuacji podpalić świat nie wiedząc o tym, że podpalają świat.

Schemat „budapeszteński” to znaczy interwencja z jednej strony, a umycie rąk z drugiej strony — nie jest żadnym rozwiązaniem. Przeciwnie „Budapeszt” żywią nienawiść, a tym samym zwiększają potencjalne niebezpieczeństwo.

Można dowodzić, że nacjonalizm małych i średnich narodów w epoce atomowej jest anachronizmem. Lecz to stwierdzenie niczego nie rozwiązuje. Faktem jest natomiast, że adwent ery atomowej nie tylko nie uciszył nacjonalizmów, lecz wręcz odwrotnie znacznie je spotęgował.

Zadaniem naszym w wolnym świecie winno być cierpliwe wyjaśnianie o ile możliwości obu stronom w sporze, że pewne minimalne żądania narodów wschodnio-europejskich muszą być uwzględnione. Muszą być uwzględnione z uwagi nie na szczytne ideały tylko z uwagi na bezpieczeństwo. Ze względu na bezpieczeństwo Nowego Jorku i Waszyngtonu — Leningradu i Moskwy. Pokój i bezpieczeństwo nie mogą być inaczej osiągnięte.

Centralnym problemem naszej epoki jest znalezienie modus vivendi pomiędzy supermocarstwami, a państwami „trzecimi”. W 19 wieku, który nie znał ani broni atomowych ani wojen światowych — porozumienie wielkich mocarstw mogło zapewnić pokój i bezpieczeństwo. Lecz w epoce broni nuklearnych i polityk globalnych — metternichowski, policyjny pokój jest budowlą wielce niedoskonałą i niebezpieczną.

Nie pomogą żadne układy i ograniczenia dotyczące zbrojeń atomowych dopóki nie zostaną zlikwidowane potencjalne źródła napięcia w Europie środkowo-wschodniej. Sprawa u dna jest prosta — chodzi tylko o jej pełne zrozumienie. Ponieważ nie możemy pozwolić sobie na światową wojnę atomową — tym samym nie możemy pozwolić sobie na ujarzmianie i satelizację całych narodów. Nie ze względu na moralność, lecz ze względu na bezpieczeństwo. W 18 i 19 wieku zaborcy ryzykowali wojnę ale wojnę konwencjonalną, do której w pełni byli przygotowani. Kto jest dziś przygotowany do wojny atomowej? Rosjanie muszą zrozumieć, że 19 wieczny imperializm stosowany przez nich w Europie wschodniej i wobec narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego — jest nie tylko anachronizmem, lecz anachronizmem niebezpiecznym, który w epoce atomowej może przynieść im zagładę.

Juliusz MIEROSZEWSKI

NOWA KSIĄŻKA

ZOFII ROMANOWICZOWEJ

SŁOŃCE DZIESIĘCIU LINII

POWIEŚĆ

Cena 14s. lub \$2.00 lub 10.00 F

Miejszem akcji nowej książki Zofii Romanowiczowej jest Paryż podczas jednej z manifestacji algierskich jesienią 1961. Bohaterkę i narratorkę zarazem spotyka tego dnia klęska osobista. Poprzez serię reminiscencji i opisów los jej przecina się na chwilę z losem zbiorowym.

„SŁOŃCE DZIESIĘCIU LINII” z każdą stroną bardziej wciąga w swoją gorączkową atmosferę, aż do końcowej katastrofy. Autorka mówi o miłości w sposób przejmujący i śmiały, nie lękając się jej powagi i ciężaru. Cały ten dzień jest urzekający, i każdy szczegół ma podobnie magiczną wagę. Autorka nie wygłasza sądów politycznej czy moralnej natury; lecz poszukuje, wędrując przez labirynt wzburzonego miasta, sensu tego co ją spotkało.

Książka do nabycia we wszystkich polskich księgarniach
lub u wydawcy

“LIBELLA”

12, RUE SAINT-LOUIS-EN-L'ILE — PARIS IV

Wylączne przedstawicielstwo na Wielką Brytanię:

B. ŚWIDERSKI

20, QUEENS GATE TERRACE — LONDON, S.W.7.

Fragment z dziennika

27. I. Piriapolis

Te zapiski moje o zjeździe penklubowców... za dużo żartu, za mało buntu, nie powiem żebym był zadowolony, czyżbym, zarażony ich impotencją, nie umiał ugryźć mojego tematu?

Nie została dość uwydatniona dekadencja literata — że literatura kapcanieje z każdym rokiem, jeśli nie pod względem dzieł, to pod względem swoich ludzi. Co prawda... jeśli autentycznych kompozytorów, nie doliczymy się na świecie, w jednym pokoleniu, więcej niż pięciu, czy sześciu, trudno żądać aby autentycznych pisarzy było dużo więcej. Reszta, to jest, powiedzmy, tych kilkudziesięciu panów z pierwszej kategorii nie będących duchowo na wysokości zadania, choć, owszem, znanych, uznanych, sławnych nawet i z perspektywą uzyskania po śmierci pomników, placów, ulic?... nie, oni już nie są literaturą w dobrym gatunku. Zauważmy grozę, bijącą z tego stwierdzenia. Z tym masłem sztuki rzecz tak się ma, że jeśli nie jest extra, bezwzględnie najlepszej jakości, już je czuć margaryną.

Elita literatury światowej staje się z każdym rokiem liczniejsza; ale i z każdym rokiem bardziej wątpliwa. Dzieje się tak, ponieważ technika podrabiania wyższości, jak wszystkie techniki postępuje naprzód. Wybitność, a nawet wielkość, jest jednak do pewnego stopnia kwestią techniki — i dziś inteligentny pisarz drugiej klasy wie już wcale nieźle, co i jak w sobie zreformować żeby przedostać się do klasy pierwszej. Na przykład: lepiej abym nie był zanadto duchowy, a tylko zmysłowo-duchowy; i trzeba uruchomić w sobie antynomie; wskazana jest mgła



nieokreślenia; dobra jest brutalna bezpośredniość Rimbauda, ale niektóre chwytły współczesnych Jankesów też są nie do pogardzenia, oraz, na wszelki wypadek, lepiej nie tracić z oczu pewnych recept na wielkość „obiektywną”, lansowanych ostatnio we Francji. Zdyskwalifikowanie w czambuł tych technicznych zabiegów byłoby niemądre... nie, dla czegoż ktoś, niepozbawiony iskry Bożej, nie miałby świadomie urabiać siebie, posługując się doświadczeniami innych? Czyż geniusz prawdziwy nie zaczyna się jednak, prawie zawsze, od naśladowania genialności? I zdaje się, że taki podrabiany geniusz wchodzi w krew, staje się ciałem.

Nie mam przeto nic przeciw samej metodzie. Niemniej dzięki temu zapewne elita europejska z roku na rok słabiej trzyma się na nogach. Są to przeważnie ludzie wywindowani, którzy zanadto siebie „zrobili”, których znakomitość, pozbawiona spontaniczności, jest elaboratem. Dziewięćdziesiąt procent — czy tylko dziewięćdziesiąt? — dzisiejszej literatury francuskiej, to osoby, które przyswoiły sobie pewien styl, gatunek, poziom, będący dobrem zbiorowym, zawarty w powietrzu intelektualnym, artystycznym, Francji. Ich osobista zasługa redukuje się zbyt często do tego, iż umieją nosić kupiony w sklepie garnitur, jakby zrobiony był na miarę... ale pomiędzy Francją Pascala i Francją Mauriaca jest taka różnica, jak pomiędzy Mają nagą i Mają ubraną. Porównajcie jedność ludzi z epoki Verlaine'a z dzisiejszym gronem, gdzie prawie wszyscy są do zastąpienia. Tak się dzieje i w innych literaturach. Był czas w życiu Europy, kiedy można było zaprosić na śniadanko Nietzschego, Rimbauda, Dosztojewskiego, Tolstoja, Ibsena, — ludzi niepodobnych do siebie, jakby każdy był z innej planety — jakież jednak śniadanie nie pękłoby od takiego zespołu? Dziś można by śmiało urządzić bankiet generalny dla całej elity europejskiej, odbyłby się bez zgrzytu, bez iskry.

Na takim podłożu skapcianią wyrasta coraz bardziej hańbiąca rola impresaria... literatura, wytrącona z ducha indywidualnego, dostaje się w ręce czynników pozadurowych, społecznych. Nagrody. Konkursy. Akademie. Związki profesjonalne. Wydawcy. Prasa. Polityka. Kultura. Ambasady. Zjazdy. Trzeba przecie zorganizować i zmusić do funkcjonowania — funkcja i organizacja stały się pijawką, wysysającą już i tak anemiczną krew. Nie byłoby to moim zdaniem do tyła klęskowe, gdyby nacisk pochodził jedynie z zewnątrz, człowiek sztuki wie, że nie jest człowiekiem społecznym, instynktownie broni się przed zakusami profanów. Wiadomo: społeczeństwo będzie zawsze żądać od nas tego, czego nie możemy dać. Ale gorzej, że, jak się rzekło, litera-

tura staje się coraz mniej żywa i wskutek tego traci odporność i zdolność wytwarzania antytoksyn, zdawałoby się nawet, że w niej dokonuje się jakaś selekcja na opak, o charakterze samobójczym. Nie tylko dlatego, że gorszy zaczyna rządzić i poganiać lepszym w ramach tej biurokracji (artysta, im lepszy, tym mniej ma czasu na „funkcjonowanie”), ale i dlatego, że w najlepszych elementach nieczysty bierze górę nad dumną nieustępliwością duszy. Brak śmiałości. Nawala stanowczość. Poczyna zanikać skłonność do decyzji ostrej, jasnej, która oczyszcza, do zbawczej krawieństwa, świat robi się mętny. Nie są bezpośredni duchem, naturalni duchem, i, wobec tego, że sami coś nie coś sfabrykowali sobie tego ducha, nie są znów tak bardzo od tego aby literatura stała się funkcją, fabrykacją, produkcją — mają już w sobie tę bezosobowość, która na nich z zewnątrz napiera.

Potulność! Nie ma mowy aby duchy zapraszane, nagradzane, honorowane, fetowane, ogłupiane, ośmieszane, zbuntowały się i wzięły na kiel, znalazły środki dość wybuchowe aby rozsadzić tę swoją sytuację. Pogódźmy się z faktem: geniusz, talent, coraz mniej jest dynamitem i już niewiele mu pozostało ze świętej niewinności leśnych kwiatów, górskich kwiatów. Wobec tego, że w społeczeństwie wszystko jest funkcjonalne, zamówieniu społecznemu na ducha odpowiada pewna produkcja wyższości, wielkości i powstaje nowy gatunek funkcjonariusza: funkcjonariusz duchowy. Plunąć... Kopnąć... Odejść...

28. I.

Czy starczy mi sił i rozumu? I ja przecie jestem z tych co posiedli technikę urabiania się w stylu wielkiej sztuki, wyznam, że posiadam w tej materii subtelne sekrety, te nawet, prowadzące do wyników, które sąsiadują tuż, tuż z wielkością prawdziwą. Czy starczy mi zdrowia, gdy jestem, jak oni, może bardziej chory?

Moja prawda i moja siła polegają na nieustannym psuciu sobie gry. Ja ją psuję sobie i innym. Nie zwalczam w sobie fałszu, ograniczam się po prostu do ujawnienia go, gdy tylko we mnie się pojawił: psuję sobie szyki, zmuszam siebie do innych taktyk, zmieniam sobie sytuację. I tego domagałbym się od moich dostojnych kolegów: nieustannego psucia sobie szyków, rujnowania sobie sytuacji, zrywania tej pajęczyny póki energie najgłębiej osobiste nie wydostaną się na swobodę.

Ale... przykre... Rujnować sobie sytuację...

Sartre, w którym skoncentrowała się patologia epoki, jest też jaskrawym przykładem i tego kryzysu — wielkości, czy suwerenności, czy może godności ludzi wybitnych w literaturze funkcjonalnej. Dziwne i przykre są jego nagłe staczania się ze szczytów na płaską równinę, wygląda jakby miał dwa głosy, jeden z ducha, kategoriyczny, drugi — ni stąd, ni zowąd — belfra i moralisty. Nie udaje mu się połączyć dziedziny prawdy zasadniczej z dziedziną spraw codziennych, z życiem praktycznym, następuje w nim wtedy jakiś pisk wewnętrzny, nieprzyjemny, trywializujący. Do czegoż prowadzi go dumna krańcowość twierdzenia, że literatura to wolność? Do tego iżby, niczym belfer dzieciom, wyznaczał pisarzowi jego funkcję społeczną: masz być tu, nie tam, po stronie lewicy, przeciw prawicy! Rozdział w „Situations” w którym, po druzgoczącej krytyce, zabiera się do pozytywnych wskazań i pouczeń odnośnie roli pisarza w społeczeństwie, oddycha wszystkimi słabościami kazań, wszystko jedno, księżowskich czy marksistowskich... i widać prawie, jak samotność jego wtedy wstydzi się i cierpi.

Pomijam już to dziwne uproszczenie w jego wywodzie: iż ktoś, nie będący po stronie lewicy, jest przez to samo wrogiem proletariusza. Ależ ja mogę być konserwatystą będąc jednocześnie jak najszczerzym komunistą — to tylko kwestia wyboru środków, prowadzących do celu, to jest do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka — ja mogę być zdania, że rewolucja za dużo kosztuje, za dużo rujnuje i zwiększy jedynie niedolę i niewolę mas, a wyzwolenie proletariatu może nastąpić tylko na drodze powolnej i ostrożnej ewolucji w miarę zachowawczej; i mogę nawet uważać, że nadmierne skoncentrowanie się na tym jedynym problemie jest w ostatecznym rezultacie szkodliwe dla rozwoju ludzkości, a więc i dla robotników.

Ale, pytam, który z filozofów dawniejszych zniósłby w sobie taką kakofonię poziomów, tonów, ujęć? Oni jednak, mniej „zrobieni”, bardziej naturalni, nie doznawali żądz autodestrukcji i autokompromitacji, jak intelektualista dzisiejszy, który, nie ufając sobie, sadzi się na tonik brutalny, rodem z niższej sfery. Bohaterka jednej powieści Tomasza Manna, położywszy się do łóżka z windziarzem hotelowym, wykrzykuje wniebowzięta: „Co ja, madame taka to, a taka, poetka, osoba z towarzystwa, z gołym windziarzem w łóżku!”. Mnie by ta anegdota nadawała się do Sartra nie tyle ze względu na zawartą w niej dialektykę „bazy” i „nadbudowy”, ile ze względu na windę. Albowiem zdarza się czasem i w naszej epoce skrupulat, który w panice, że wynosi go w górę nie własna jego treść, ale mechanizm, naciska guzik, aby zejść co prędzej w dół.

4. II. Piriapolis, plaża

Babusowaty baobab babi z zadem rozsadzającym, na łydach i udach rozpierających, wypiętą olbrzymio na wsze strony — ratunku! — wsadzona w plażę jak ciśnienie krowio-kretyńskie, jak klin przegłupi, ratunku, pękną szwy, trzaśnie, wywali się mięsem!... Gdzież rzeźnik, który by dał jej rady?

Kobiety starsze, tłuste.

Kobiety starsze, chude.

Spójrz, przechodniu, na te połcie.. lub na te piszczcele... spójrz, proszę, czy widzisz? W rozkrowieniu rozwałkowanym ohydy bezwstydnie bezczelnej jedno zachowało się z dawnych czasów, jak wspomnienie. Stópka... ani chuda, ani gruba i... przy patrz się... czyż nie podobna do stópki twojej narzeczonej? Czy więc zrozumiałeś? Czy wiesz już, jaki potencjał cielesnego cynizmu i jaka obojętność na brzydotę kryją się w ślicznotce twojej? Uroczę panny, wdzięczne mężatki, zalecajcie mamom aby siedziały w domu, niech was zanedo nie dekonspirują!

5. II.

Dwie koncepcje Wittlina. Wittlin, jak się okazuje, ma zupełnie inną koncepcję Wittlina, niż ja. Píše mi dalej: „Jaki tam naprawdę jestem, tego nie wie ani pan, ani ja nie wiem. Co do mnie, przyznam się, że nie mam czasu tym się zajmować”.

Z listu jednak widać, że niezbyt zadowolili go moja teza, jakoby był wytworem i przedstawicielem kultury mieszczańskiej. Píše, że pochodzi z rodziny od dawna na wsi osiadłej, wychował się na wsi, miasta w sercu nie nosi, a życie jego, ciężkie i obfite w walkę, tyleż wojenną, z bronią w ręku, co, potem, z piórem w ręku, jest „jaskrawym zaprzeczeniem mieszczańskich puchów”.

Zgoda, pomyliłem się umieszczając go w mieście, gdy jest dzieckiem wsi. Ale ani mi w głowie nie powstało pomawiać o „mieszczaństwo” *sensu stricto* kogoś, o kim piszę, że z całej literatury emigracyjnej najwięcej ma do czynienia z piekłem. Jest on, w moim pojęciu, istotą intensywną z tego powodu, że łączy w sobie (z przejrzystością górskiego strumienia) krańcowe sprzeczności, że jest „człowiekiem pocziwym” osadzonym w katastrofie, obcującym z przepaścią.

Wittlinie! Mogłem z łatwością nakreślić sylwetkę pańską dostatecznie mdłą aby pod każdym względem była *comme il faut*, ot, taka, wie pan, przyjacielska... ale nie chciałem wyrządzać

panu tej obrazu i krzywdy. Opisałem Wittlina, który we mnie żyje... i dziwi mnie doprawdy, jak pan mógł nie dostrzec, że pan żyje we mnie dramatycznie.

7. II.

Zaczątek mojej przyjaźni z Władimirem Weidle też mógłby posłużyć jako ilustracja niemocy, skrepowania, ogarniających nas, literatów, w dobie literatury zeświecczonej, uspołecznionej. Przypominacie sobie, odwiedzałem go w hotelu, dałem mu „Dziennik” w niemieckim wydaniu. Otóż te rozmowy nasze były bardzo życzliwe, ale jak po grudzie — wiedziałem, że mam w nim czytelnika, powiedział, że Pornografię woli bodaj od Ferdynurke i nie ukrywał wrażenia, jakie na nim robił Dziennik, do którego zaglądał w chwilach wolnych od sesji, przyjęć, wywiadów, *dans mes moments perdus ou plutôt dans mes moments retrouvés*. Ale zaciążyła nad nami inscenizacja, on ukazywał mi się w aureoli swojej funkcji, swojego znaczenia, krytyk, myśliciel, profesor, przemawiający, osaczony prasą, zapraszany — ja więc wobec niego czułem się jakoś boleśnie młodo i jak ktoś wyłaniający się z cienia, „dochodzący”.

Zbyt dobrze wiedzieliśmy: on, że ja, w Argentynie, potrzebuję jego paryskiego autorytetu, pomocy; ja, że on wie, że potrzebuję jego pomocy. Gdybyśmy byli gdzieś na wsi, na łonie natury, to nie byłoby takie groźne — ale braliśmy udział w wielkim przedstawieniu, zorganizowanym przez prezesa Aitę — on, bo miał w nim rolę — ja, bo w nim roli nie miałem — i nie umiając przezwyciężyć mechanizmu popadliśmy w apatyczną rezygnację.

Trwało to, póki nie wsiadł na okręt, nie odpłynął. Nie ulega kwestii, że w obecnej atmosferze życia literackiego chwilą najszczęśliwszą jest rozstanie, pożegnanie, odosobnienie.

W jakiś tydzień potem ukazała się w tutejszej La Prensa wypowiedź jego o mnie — krótka, ale tak stanowcza, iż podzielała niczym wybuch bomby zegarowej wywracając hierarchie sławnego zjazdu. Mnie to sprawiło przyjemność... lubię, w Argentynie, gdy moje europejskie prestiże przeciekają kroplami, powolutku, wywołując zbaraniecie, dąsy, nieufność, oraz nieco złości. Ale moja przyjemność mnie rozwścieczyła — i rozwścieczyła na niego — gdyż było to coś w rodzaju zdrady, oto ten człowiek już odalony ode mnie, więc oczyszczony, wysublimowany z hotelu, z gremium, z Aity, z Wiktorii Ocampo, mimo wszystko znowu dopada mnie jako „znany krytyk” i umieszcza w literaturze...

tym razem o tyle dotkliwiej, że z moją rozanieloną aprobatą! Napisałem z podziękowaniem.

Milczenie. Po kilku miesiącach — list, w całości poświęcony Dziennikowi. Krótka ocena, analiza, wyszczególnienie punktów, które jemu stały się najważniejsze... nie wiem, może gdybym go nie poznał w okolicznościach tak... drażniących... ale ten list znowu mnie speszzył!

Jedno jasne: zdobyłem go. Dosięgnąłem go w jego duszy, przedarłem się... i nawet zdziwiło mnie, jakżeż mogłem zapomnieć w całym tym rejtach, że ten Weidlé, uroczysty filar tego zjazdu, jak i wszystkich innych, nieposzlakowany w manierach i stroju, był jednak kimś spiskującym przeciwko sobie samemu, wrogiem ukrytym i zdrajcą tejże literatury, którą tak sobą podpierał, kimś nienawidzącym, jak ja „rzeczy” artystycznej, zrozpaczonym burzycielem „sztuki” w imię człowieczeństwa... więc mój bunt w dzienniku, wszystkie odcienie tej mojej rewizji, dotarły do niego bardzo istotnie i pisał do mnie, jak rewolucjonista do rewolucjonisty... taka była treść listu. Tylko... tylko... ten list był jednocześnie od a do zet listem literata do literata, krytyka do autora, określał *fachowo* to co jemu odpowiadało *duchowo* — schludna staranność, grzeczny respekt, uczesane to i wygładzone, ten buntownik zajeżdżający przede mnie samochodem o sposobie bycia prezesa banku, wysokiego urzędnika?...

List, który podzielał na mnie trochę, jak na Beethovena ukłón Goethego przed księciem Weimaru. Odpisałem.

Ale mój własny list był akurat taki sam, był ukłónem Goethego przed księciem Weimaru.

I w ten to sposób, kłaniając się księciu, nawiązaliśmy porozumienie... jak dwaj nędzarze, pukający do siebie przez ścianę lochu więziennego.

11. II.

Borges dosiadł aeroplanu i wraz z matką, donią Leonor, wyruszył do Europy po złote runo, które zwie się Nobel. Nie inna przyczyna skłoniła tego człowieka już po sześćdziesiątce, prawie zupełnie ślepego, i tę staruszkę, liczącą sobie, ni mniej ni więcej, osiemdziesiąt siedem wiosen, do poszybowania samolotem raketowym. Madryt, Paryż, Genewa, Londyn — odczyty, bankiety, festyny — żeby prasa pisała i żeby puścić w ruch wszystkie sprężyny. Reszta to, tak miemam, sprawa Wiktorii Ocampo („więcej milionów wsadziłam w literaturę, niż Bernard Shaw z niej wyciągnął”).

Nie wątpię, że Borges otrzyma Nobla. Borges zaistniał jakby umyślnie w tym celu. Jeśli kto, to Borges! Jest to literatura dla literatów, jakby specjalnie pisana dla członków jury, jest to kandydat akurat, jak trzeba, abstrakt, scholastyk, metafizyk, dość nieoryginalny, żeby znaleźć drogę już utorowaną, dość oryginalny w tej swojej nieoryginalności, żeby stać się nowym i nawet twórczym wariantem czegoś znanego i uznanego. I kuchmistrz prima! Kuchnia dla smakoszków!

Jeśli dawniej najpewniejszym pomostem do Nobla była saga o chłopach na tyle epiczna by nie wywołać niczyich dąsów i zastrzeżeń, ani nie narazić na ryzyko wpadunku, to dziś najskuteczniejszy jest *genre à la Kafka*, naturalnie, jak powiedziałem, w nowym i twórczym wariacie — w tej dziedzinie teren jest opracowany, wie się, jak trzeba czytać, jak rozumieć, jak komentować, wszystko się robi na pewniaka, a przy tym rzecz jest górna i głęboka.

Nie mam też najmniejszej wątpliwości, że odczyty Borgesa „o istocie metafory” i inne, tegoż autoramentu, będą należycie fetowane. Gdyż to też będzie akurat, jak trzeba: zimne ognie sztuczne, fajerwerki inteligencji inteligentnie wyinteligentnionej, piruety myśli retorycznej i martwej, która nie jest zdolna podjąć żadnej idei żywotnej, myśli zupełnie zresztą nie zainteresowanej myśleniem „prawdziwym”, świadomie fikcyjnej, układającej sobie na boczku swoje arabeski, glossy, egzegezy, konsekwentnie ornamentacyjnej. Ba, ale *métier*! Literacko bezbłędne! Ale kuchmistrz! Cóż w większy entuzjazm może wprowadzić literatów czystej krwi, niż taki literat bezkrwisty, literacki, werbalny, nie widzący, nie widzący niczego poza tymi swoimi kombinacjami mózgowymi?

Ależ on jest w sam raz, akurat jak te fiszki, które wrzucamy do automatów aby wszystko zaczęło się kręcić i płaszać w takt — nie wątpię, że dostanie Nobla. Jeśli miarą wielkości literatury jest jej nieliterackość, zdolność do przewyżniania samej siebie i docierania do rzeczywistości, to przyznać trzeba, że ten rodzaj wielkości nie skomplikuje Borgesowi pracowitych zabiegów. Jest więc pewne, że otrzyma Nobla — i zważywszy wszystkie nędze tej nagrody, przyznawanej, zwłaszcza w ostatnich latach, byle komu, będzie nawet noblistą wcale niepoślednim. Nie Borges mnie irytuje, samotnik, ja z nim samym i z jego dziełem może i dogadałbym się w cztery oczy — złoścą mnie borgiści. Złości mnie, że on zmobilizował całą „literaturę”, estetów, cyzelatorów, koneserów, zegarmistrzów, metafizyków, mędrali, egzagetów, wtajemniczonych, poetów, i jak tam jeszcze się wabi ta czereda!

I czyż nie jest bolesny ten jego exodus — oby chwilowy —

z królestwa ciemności w światło tych tam kinkietów, na owe parkiety? To podrygiwanie patetycznego ślepca z matką pod dziećmi, aby załapać czterdzieści tysięcy dolarów?

12. II.

Wysłałem do „La Razon” w Buenos Aires list następujący. Szanowny Panie Redaktorze:

Otrzyma pan, niestety, z opóźnieniem tych kilka słów, odnoszących się do wywiadu z Ernestem Sabato, który ukazał się przed miesiącem w „La Razon” w związku z jego podróżą po Europie. Ale nie tracą one chyba przez to na aktualności, idzie bowiem o wątpliwość, która przetrwała do dziś od czasów podróży Gide’a do ZSSR i wciąż nas dręczy: o ile można ufać wrażeniom *à vol d’oiseau* intelektualistów, co to odwiedzają pewne hermetyczne okolice świata.

Sabato odwiedził i Polskę. Oto co o tym mówi: „Polska jest krajem zaskakującym i myślę, że mocno zdziwiliby się nasi antykomuniści na widok narodu — przy całym swoim zsocjalizowanym przemyśle — wiernego swoim tradycjom, o wyrafinowanej kulturze, katolickiego... zdziwiłaby ich śmiałość malarstwa i scenografii, książek, które się ukazują: od „zgniłego burżuazji” Tennessee Williamsa, do Faulknera, poprzez Becketta i katolickiego Grahama Greena”.

Acha. A zatem w Polsce sztuka i literatura oddychają powietrzem wolności...

Mówi dalej Sabato:

„Rozmawiałem z pisarzami komunistycznymi, liberalnymi i katolickimi. We wszystkich żyje mistyczny podziw dla Gombrowicza, pisarza zamieszkałego w Buenos Aires... Wiedząc, że jestem jego przyjacielem, patrzyli na mnie trochę, jak na Mesjasza”.

Pięknie. Niechże teraz się dowie Ernesto Sabato, dziś wielka figura piśmiennictwa łacińsko-amerykańskiego, którego opinie, *acz à vol d’oiseau*, mają dużą wagę, jaka jest różnica pomiędzy wrażeniami z uskrzydłonej turystyki a doznaniem czegoś na własnej skórze. Opowiem po krótko moje osobiste doświadczenia z polską „wolnością”.

W okresie stalinowskim byłem żywcem pogrzebany w moim kraju. Ani wydań, ani wzmianki, choćby najmniejszej, w prasie. Nic.

W roku 1957-ym, gdy terror sfołgował i nastały rządy bardziej liberalne Gomułki, polskie instytucje wydawnicze uzyskały pozwolenie na wydanie moich utworów. Oprócz jednego: „Dziennika”.

Doskonale! Wydano je. Sukces. Wyczerpują się nakłady. Silny oddźwięk w prasie. Dużo artykułów, entuzjazm.

W 1959-ym — paf! — niespodziewana i radykalna zmiana. Znow — milczenie. Ani wydań, ani artykułów. Niekiedy, bardzo z rzadka, jakaś mała wzmianka, nieśmiała i ostrożna. Nawet tygodniki ściśle literackie nie dostrzegły jakoś, że w tym czasie mój dorobek pisarski rozprzestrzeniał się po Europie w różnych językach. A więc ponownie zostałem pogrzebany. I już cztery latka idą tej mojej drugiej śmierci we własnym kraju.

Dlaczego? Mnie o to nie pytajcie. Bo przecie, jeśli Sabato mówi, że nawet w pisarzach komunistycznych znalazł tyle admiracji dla Gombrowicza, to by wyglądało, że nie jestem artystą ani zbyt ciasnym, ani nadmiernie burżuazyjnym, ani politycznie zaangażowanym. Może więc dlatego, że nie wróciłem do Polski? Ależ gdyby Faulknerowi, czy temuż Sabato, czy Grahamowi Greene, powiedziano, że aby być drukowanymi we własnym kraju muszą w nim mieszkać, najpewniej wybuchnęliby śmiechem. Jakże to jest zatem? Podziwiają, uwielbiają, kochają i zarazem nie piszą o mnie, moich rzeczy nie drukują... skazują swoją miłość by psuć sobie wzrok usiłując coś wyczytać ze zdartych egzemplarzy, pozostałych z dawnych, wyczerpanych, wydań?

Cóż to za wolność, która z ostentacją toleruje „zgniłego burżuja” Tennessee Williamsa a zarazem dokonuje po cichu amputacji na żywym ciele narodu, likwidując pisarza własnego, polskiego, narodowego... „podziwianego” podobno i „kochanego”... nawet przez komunistów?

I... czyżby to nie było tak, że jestem im zakazany dlatego właśnie, że mnie kochają?

Wolność? Dla kogo? Dla Tennessee Williamsa, którym w Polsce nikt się zbytnio nie interesuje? A dla mnie?

Zamieszczam ten list, gdyż wiele razy przekonałem się z rozmów z przybyszami z kraju, że im nawet do głowy nie przychodzi, abym ja w Polsce był na indeksie. Po prostu jakoś tak... mało o mnie w gazetach... Niechże więc się dowie przynajmniej ten i ów, poprzez „Kulturę”.

Ale — między nami — jakże mieć pretensję do czerwonego reżymu, gdy tu, na emigracji, londyńskie „Wiadomości” z przy czyn lokalnych, podwórkowych, małosłkowych, koteryjnych, personalnych, przemilczają mnie tak solidnie, że i za stalinowskich czasów nie robiono tego lepiej. Gnębić pisarza gnębionego przez totalitaryzm, dokładać jeden rzemyk więcej do kagańca, który mnie dławii i wszystko dlatego, że nie piszę panu laurek? Wstyd, redaktorze Grydzewski!

Witold GOMBROWICZ

Powikłania jednej porażki

Kiedy w latach dzielących nas od października 1956 książki polskich autorów ukazywały się w przekładach na różne języki, a malarze i filmowcy zbierali międzynarodowe nagrody, pierwszy właściwie raz kraj na Zachodzie lekceważony, a po cichu znienawidzony, ukazywał się jako równorzędny partner. Prztyczek polityczny który temu pomagał, inny zresztą niż w 1831 r., kiedy jechało się na współzuciu, jest tu niezbyt ważny, rzadko bez niego się obejdzie, ale sam w sobie nie wystarcza jeżeli nie ma się nic wartościowego do pokazania. Choć jednak należało się cieszyć, była kropla goryczy w tym miodzie. Wtajemniczeni wiedzieli, że owa czarująca ekspansja korzysta z zasobów już tam, na miejscu, zamrażanych przez coraz większą stagnację i powszechną niemożność. Najprzykrejsza w tym stygnięciu była powtarzalność, tak że niemal można było uwierzyć we wzór nieunikniony, właściwy dziejom jednej nacji. Literatura polska jest pełna wątków zaczynanych wspaniale i zaraz zarzucanych, niby przez plemię Bandarlogu u Kiplinga. Te żalosne frędzle sterczą w każdym jej rozdziale. Naturalnie zawsze wolno powołać się na okoliczności zewnętrzne, niestety te mają krótkie życie i później obchodzą tylko specjalistów.

Kiedy ktoś ma znakomite karty i przegrywa, nieładne to widowisko. I słabą jest pociechą, że ulega warunkom silniejszym niż jego wola. Te warunki, cały manewr polityczny, pomine. Interesuje mnie wewnętrzny, żeby tak rzec, przebieg porażki. Zrobię więc przegląd kart czy motywów. Bynajmniej nie po to, żeby oddawać się jeremiadom. Warto rozmyślać nad niepowodzeniami, swoimi czy swoich kolegów, tylko jeżeli wynika stąd jakaś nauka na przyszłość.

1. Motyw mądrości nabytej doświadczeniem

Łatwo byłoby cytować całe stronicy, na których polscy pisarze zajmowali się w ostatnich latach swoją wyższością w porównaniu z ludźmi zachodniej Europy i Ameryki. Ci ludzie, ich zdaniem, mało rozumieją z dwudziestego wieku, są naiwni, w niewoli frazesów i odziedziczonych przyzwyczajęń, dlatego że oszczędziły ich doświadczenia zbiorowości, dostatecznie przykre, żeby człowieka pozbawić wielu złudzeń. Podróżując po zachodniej Europie ci Polacy zachowywali się jak Pascal, dla którego zabiegi i zabawy ludzi były *divertissement*, wysiłkiem odwrócenia uwagi od przepaści. I choć widać w tym skłonność do robienia kapitału z jedynej rzeczy jaką się ma tj. nieszczęścia, należałoby przyznać tym autorom obiektywną słuszość. Obiektywną, to znaczy nie mylili się powołując się na jedyną polską przypadłość. Trzeba zresztą zrozumieć, że nie samo cierpienie tutaj waży ale świadomość tak uzyskana, otwieranie się kolejnych kurtyn zasłaniających sekrety społeczeństwa.

Od tego jednak do literatury dość daleko. Człowiek jest zdolny przyswoić sobie tylko skromną dozę rzeczywistości i jest stworzeniem zapominającym. Konfrontacje z Zachodem pomijały zwykle prosty fakt, że seria wydarzeń naszego stulecia tam się zaczęła i że co nastąpiło później było już zawarte w wojnie okopów, w czteroletniej rzezi, niewiele lepszej niż piece Oświęcimia. Nie Paryż ale zbocza Wogezów zamienione na cmentarze są stosownym tematem do rozmyślań dla przybysza ze Wschodu. Milionom Francuzów i Niemców ukazała się wtedy niegorsza przepaść, ale nie znaczy to, żeby umieli zrobić z tego widzenia użytek. Tak samo dzisiaj nie bardzo wiadomo dokąd sięgnąć kiedy chce się dać do ręki cudzoziemcom polską powieść czy sztukę teatralną, z której przemawiałaby ta specyficzna polska mądrość. Obfita literatura o wojnie i transformacji społecznej nie może rywalizować z suchą kroniką i do kroniki sięgnąć przyszłe pokolenia, nie do beletrystyki. Beletrystyka była od początku zafałszowana: doświadczenie zbiorowe może służyć za materiał tylko jeżeli jest ujęte jako całość a polska zbiorowość składała się z więźniów i niemieckich i sowieckich kaźni albo ich rodzin. Obciąć tego do połowy nie podobna, chyba że względy doktrynalne przeważają nad prawdą ludzką. Ta prawda ludzka tak chyba przede wszystkim wyglądała, że kraj o mentalności najzupełniej prowincjonalnej dostał się w młyn diabelski, a właśnie prowincjonalność jest wstydliva i wymyka się kategoriom bardziej ogólnym. Jakkolwiek wysoko cenię talent autora,

który był i jest moim przyjacielem, Jerzego Andrzejewskiego. „Popiół i diament” ma niewiele wspólnego z prawdą 1945 roku, choć mówi maksimum tego co wolno było wtedy powiedzieć. Rzetelniejszy jest — kwestia swobód po 1956 r. — film Wajdy, jakkolwiek i ten film i „Kanał” niepokojąco przypominają o polskiej specjalności eksportowej, którą są oczywiście własne rany.

Ale zostawmy na boku tematy. Jeżeli mądrość rzeczywiście została zdobyta, powinna była prowadzić do odkrycia form z nią współmiernych, organicznie jakoś wywiedzionych z przeszłości polskiej literatury. Dlaczego więc polscy pisarze po 1956 zaczęli pracować ze ściągaczką przywiezioną z owego mniej doświadczanego Zachodu? Rzekomo jedyna, niepowtarzalna wiedza została wtłoczona w ramy wzięte np. z „teatru absurdu”, a jak wiadomo z formą zmienia się i treść. Tutaj znów daje o sobie znać stały wzór: zapomina się o rodzimych odkryciach, a potem podobne odkrycia importuje się z Paryża. Z przewrotu jakiego w teatrze dokonał Wyspiański nikt z autorów dramatycznych (poza Witkacym) nie wyciągnął konsekwencji, ale kiedy za granicą o wiele później, wszedł w modę teatr anty-psychologiczny, masek czy lalek, teatr moralitetu, opanował wyobraźnię w Polsce do tego stopnia, że nawet tak uzdolniony pisarz jak Sławomir Mrożek kalkuluje (w „Zabawie”) Becketta. Wielu (nie będę przytaczał nazwisk) okazało się grzecznymi, pilnymi uczniami egzystencjalizmu (literackiego, nie filozoficznego), podobnie jak poprzednio ich ambicje prymusów zaspakajał socrealizm. Najbardziej może charakterystyczny dla tej fascynacji (plus pogarda) jest „Wzlot” Jarosława Iwaszkiewicza, odpowiedź na „Upadek” Camusa: próba wywyższenia i usprawiedliwienia Polaków, którzy, jeżeli są świniami, to dlatego że muszą, a na „luksus” rozterek moralnych, takich jak na Zachodzie, nie mogą sobie pozwolić. „Wzlot” jest dziwnym połączeniem formy zapożyczonej od Camusa, społecznego determinizmu (nie człowiek jest odpowiedzialny tylko historia) i narodowej dumy z nieszczęścia, które pozwala jednostce uświadomić sobie własną bezwartościowość czyli okupić grzechy przez pokorę. Opowiadanie, znakomite jako pisarskie rzemiosło, opiera się na przeciwstawieniu polskiego „dużo” — zachodniemu „mało”. Jest to bardzo zawodne bo „mało” (obojętność na krzyk tonącej u Camusa) może, jako symboliczne ujęcie pewnej sytuacji ludzkiej, działać silniej niż długa lista krzywd i zbrodni.

Ze znalezieniem wyrazu dla specyficznej mądrości było więc niezbyt dobrze. Wyjątek stanowiła poezja i eseistyka. Dlaczego w Polsce poezja stale wysuwa się na pierwszy plan, właściwie nie rozumiem. Czyżby miał rację Borys Pasternak, kiedy pisał,

że w tym kraju każdy jest poetą? Tak czy inaczej, opłacała się tutaj ciągłość kolejnych awangard, przez co nowoczesna poezja polska nie musi zapożyczać się na ślepo u poetów zachodnich i jest dziś zdolna do dialogu z nimi na równych prawach. Doświadczenie zbiorowe utrzymało się w niej w sposób złożony, pośredni, nieraz w zapisach szyfrem a ten stop osobistego i historycznego zaprawiony sarkazmem jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju. Zaliczyłbym do poezji także gatunki graniczne, posługujące się lakonicznością i aluzyjnością, jak aforystyka St. Jerzego Leca, krótkie sztuki teatralne pisane przez poetów i film rysunkowy. Również socjologiczny czy filozoficzny esej osiągnął precyzję rzadko spotykaną na Zachodzie, a choć tam, na miejscu, ludzie mogą krzywić się na własne pisma literackie, tygodniki te, przez sam zakres poruszanych spraw, nie mają, myślę nigdzie, poza prasą literacką francuską, rywala. Niestety ani poezja ani proza nie-beletrystyczna nie mogą być zmuszane bezkarnie do akrobacji. Pewna ilość rozróżnień prostych i wulgaryzmów, możliwość nazwania czarnego czarnym, a białego białym decyduje tutaj o zdrowiu. Atmosfera cynicznego wszechrozumienia arkanów władzy — kiedy to nie tyka się żadnych pryncypiów, bo są i zakazane i śmieszne i bezużyteczne, choćby dawała miłe poczucie przynależności do tak wtajemniczonych jak żadni ludzie na Zachodzie nie są — zaraża wreszcie krytyka literackiego czy filozofa i na próżno będzie uciekał coraz wyżej jak wiewiórka. A poezja zostawiona samej sobie, wyłuskana z intelektualnego nurtu, który powinien dostarczać jej stale podniet czy okazji do sprzeciwu, może łatwo wyrodzić w kaprys, w zbiór jak najniezwykłej ułożonych słów (czym, zaiste, z natury nie jest).

2. Motyw utraconej politycznej wiary

Jak rozpadała się doktryna, to tutaj nie należy. Zaczniemy od punktu kiedy wszyscy spostrzegli, że rację miało dziecko i że król jest nagi. Nie da się zaprzeczyć, w dość długo trwającej hipnozie kryły się różne głębie psychologiczne czy psycho-społeczne, jednakże zasadniczo była to pomyłka intelektualna i jako taka domagała się intelektualnych środków. Wczesne zahamowanie porachunków z ideologią spowodowało ucieczkę w inny wymiar, tj. mnóstwo utworów literackich zaczęło proklamować, że nonsensem jest wierzyć w cokolwiek. Takie obwiśnięcie było tym i owym na rękę, jako mniej niebezpieczne dla rządzących niż ciekawość analityczna, prowadząca siłą rzeczy do nieortodok-

syjnych rozwiązań. Melancholicy musieli zabrnąć w ślepią ulicę bo ich siłą napędową był błąd logiczny: jeżeli ktoś wierzył w głupstwo nie wynika stąd jeszcze wcale, że winę ponosiła sama kondycja ludzka, skazująca nas na wędrówkę od jednej iluzji do drugiej. Źle rozwiązałeś zadanie z algebry, ale czy dlatego algebra ma być bzdurą? Bardziej pożyteczne niż transponowane opisy utraty wiary byłoby ćwiczenie semantyczne: wziąć jakiś swój dawny utwór i rozbierając zdanie po zdaniu pokazać jak błąd poczynął się z wykrętnie użytych słów.

Ci, którzy chcieli wybić intelektualny klin intelektualnym klinem zostali napiętnowani jako „rewizjoniści”. Dowolność i mglistość tego terminu, tym bardziej rażąca, że sam Marks chciał zbudować instrument odnawiający się bez ustanku, poprzez właśnie, ciągłą rewizję, pozwalała wynaleźć niemal stronnictwo, choć go nie było. Niemniej sam badawczy stosunek do myśli, tak określane, wchodzi w zakres rozważań o literaturze, niezależnie od form w jakich się wyładowuje. Poddanie wszystkiego rygorom rozumu jest zapewne zgubne, ale brak nadziei, że człowiek posługując się rozumem potrafi ziemię zagospodarować i uchronić stwarza zaraźliwą aurę. Literaturze pozostaje wtedy tylko puścić się w święty płas i potępienie „rewizjonistów” wyjaśnia dlaczego odżyły jakby nastroje Moderny z okolic 1900 r.

Urzędowa wykładnia powodów sympatii do „rewizjonistów” na Zachodzie, sformułowana np. przez prof. Adama Schaffa, jest fantastyczna. Mieli oni być koniem trojańskim, który zniszczy fortecę komunizmu od wewnątrz. Jednakże te sympatie rozpowszechnione były przede wszystkim w kołach postępowych i liberalnych, a opierały się na pewnych ogólnoludzkich, nie strategicznych, przesłankach. Po pierwsze, żeby „stawić na rewizjonistów” należało być dość daleko od konwencjonalnych wyobrażeń o anielskim Zachodzie i diabelskim Wschodzie czyli zakładać, że ustrój o gospodarce socjalistycznej, oczyszczony ze swojej totalitarnej skazy, mógłby być całkiem niezły. Po drugie, skoro żyje się w najzupełniejszym absurdzie, jak cały nasz zagrożony gatunek, tylko siły rozumu w bloku wschodnim, zwracające się przeciwko mesjanicznemu totalizmowi, mogłyby ziemię uratować. Wczesne tego zrozumienie przez przyjaciół „rewizjonistów” nie przynosi im chyba ujmy, choć, bądźmy szczerzy, kiedy niekomuniści zachęcali członków partii do odwagi, wkładała się jakaś śmieszność.

„Rewizjoniści” (jakkolwiek nikt nie wie co to jest) przegrywali nie tylko dlatego, że strach ich ogarnął. Ich myśl obracała się w błędnym kole subtelności narzuconych i nie dotknęli pięty achillesowej, wyglądającej spod szat filozofii marksistow-

skiej. Tą piętą achillesową jest brak teorii państwa. Marksizm kształtował się jako doktryna eschatologiczna i nie mógł takiej teorii wypracować, skoro państwo miało być „tymczasowe”. Jednakże spora to wada ustroju, kiedy nie ma on żadnych innych środków przekazywania władzy poza rewolucją pałacową, z użyciem noża i rewolweru, w sensie dosłownym albo przenośnym. Przy braku jakiegokolwiek publicznej kontroli, drżenie milionów ludzi i zgadywanie czy ten co władzę zdobył jest człowiekiem rozumnym czy wariatem, może być ideałem tylko dla bardzo mało wymagających, zważywszy, że już parę wieków temu przestano tym ideałem się zachwycać. Jakie środki publicznej kontroli i legalnego przekazywania władzy mogą być wynalezione w krajach o gospodarce znacjonalizowanej, nikt dziś nie potrafi przewidzieć. Parlamentaryzm, pojęty jako środek ujawniania woli ludu, okazał się, z wyjątkiem niewielu krajów, środkiem ujawniania woli wyłącznie konserwatywnej, albo fasadą wygodną dla goryli w uniformach. Wstręt komunistów do niego nie był tylko kaprysem niegrzecznych chłopców odmawiających mycia zębów i prawdopodobnie zdołali oni przekonać większość mieszkańców Polski, że gdyby w r. 1945 powrócono do wielopartyjności na modłę francuską, tej sprzed dyktatury Piłsudskiego, kraj dziś byłby, w najlepszym wypadku, Turcją. A jednak kontrola nad posunięciami rządzących jest konieczna i, prędzej czy później, nieunikniona, czego dowodem jest wyłanianie się jej, przy nieobecności ram legalnych, „na dziko”, w postaci walk pomiędzy frakcjami w obrębie jednej partii monopolistycznej. Nie jest wykluczone, że wyjścia z impasu będzie się szukać nie w optymistycznych rojeniach sprzed lat dwustu, ale w systemie dwupartyjnym, pojętym jako gra w szachy, w której każda strona wie, że na błędy nie może sobie pozwalać bezkarnie (do takiej rozgrywki pomiędzy dwiema izbami kontroli sprowadza się ostatecznie parlamentaryzm tam gdzie funkcjonuje).

Co to ma wspólnego z literaturą? Bardzo dużo. Literatura może być tylko wtedy dobra, kiedy w kraju gdzie powstaje rozwiązuje się problemy uniwersalne. Dla francuskich pisarzy XIX wieku nie ulegało wątpliwości, że Paryż jest stolicą cywilizowanego świata i że co zostanie w nim wypowiedziane, jest ważne dla człowieka w ogóle. Nie znaczy to, że literatura musi być „problemowa”: ona tylko korzysta z ruchu, z rozpędu, z nadziei, można powiedzieć, że byli Balzac i Stendhal dlatego że byli Cuvier, Geoffroy St. Hilaire, Lamarck, Saint-Simon, Michelet. I na odwrót, jeżeli pisarze zapewniają siebie, że „nic u nas nie może być rozwiązane, wszystko jest rozwiązywane gdzie indziej”, literatura kurczy się, staje się prowincjonalna. Taki właśnie jest

literacki sens schowania się „rewizjonistów” w mysie dziury. Jednakże dla postronnego obserwatora wyraźna sprzeczność zachodzi pomiędzy tak skromnym obrazem własnej roli, ciągle podtrzymywanym przez kpinę z samych siebie, i rzeczywistą pozycją 30-milionowego kraju. Polska jest drugim pod względem znaczenia krajem w europejskim bloku wschodnim; jako potencjał intelektualny jest w tej chwili (zmieni się to w ciągu najbliższej dekady) być może na pierwszym miejscu, co tłumaczy się rozmiarami spustoszeń jakich dokonały w Rosji stalinowskie rządy. Jeżeli literatura i sztuka są palimpsestem do rozszyfrowania, to nikt lepiej nie zdaje sobie sprawy z obecnego rosyjskiego dramatu niż ci, co śledzą nieśmiało i artystycznie wątpliwe próby młodych sowieckich poetów i malarzy, mozolnie wspinających się na ten niedosięgalny szczyt, jakim jest dla nich literacka i artystyczna Rosja sprzed 1913 r. Dlatego też np. amerykański slawista Hugh McLean, omawiając niedawno sytuację literatury rosyjskiej (w „Slavic Review”, wrzesień 1962) tak kończy swoje uwagi: „Ale młode pokolenie zdołało całkiem zdezorientować. Wiele młodych podejrzewa, że coś tu nie w porządku, że coś ich ominęło, że muszą znaleźć drogę do Europy. Kędy jednak prowadzi droga, już nie wiedzą; są oszołomieni i ślepi. Kto chce natrafić na prawdziwie twórczy, dynamiczny, intelektualnie wypracowany i cienki „dialog z Europą”, musi zwrócić się nie ku Rosji ale ku Polsce. Tam bogactwo, subtelność i głębia intelektualnego i artystycznego życia, zwłaszcza w młodym pokoleniu, daleko wykraczają poza to, o czym dziś marzą Rosjanie”. Przyjemnie to czytać ale i niebezpiecznie: od samodurstwa jeden krok. Z genialnie chwytliwych dzieci nie zawsze wyrastają geniusze.

W każdym razie trudno oprzeć się podejrzeniu, że ten potencjał intelektualny jest lekceważony i roztrwaniany, jak bywa zwykle kiedy wyławowuje się w zadaniach nie na swoją miarę — każda niezużyta energia niszczy i niszczy. Co do mnie, to przyznaję się, że nie miałbym ochoty pisać takich artykułów jak ten, a może w ogóle pisać po polsku, gdybym nie był przekonany że w ten sposób zajmuję się samym słoniem tj. zagadnieniami istotnymi dla *homo sapiens* a nie tylko stosunkiem jakiejś oddalonej marchii do słonia, zawsze hasającego gdzie indziej.

3. Motyw mechanizmu historii

Marksizm, przynajmniej w swoich najbardziej do dziś żywotnych źródłach, był anty-przyrodniczy i dostarczał ratunku

wszystkim intelektualistom zbuntowanym przeciwko społeczeństwu pojętemu jako kłębowisko „walki o byt”, wzajemnego pozerania się. Zamiast rzekomo niezmiennych praw sprytu i pięści, wprowadzał pojęcie etapu historii, na którym te prawa obowiązują i zwywał do położenia temu etapowi kresu. Jakkolwiek nacisk nauk przyrodniczych na marksizm był silny i zarażały go one metodologicznie, zawsze u sedna tkwiła wiara w całkowitą przemianę. Wytwór romantycznej epoki, marksizm był przeciwieństwem jakiegokolwiek Realpolitik i w swoich artykułach o polityce międzynarodowej Marks był takim samym romantycznym dziennikarzem jak Mickiewicz.

Po rewolucji rosyjskiej ta optymistyczna skłonność doprowadziła do ustanowienia mnóstwa *tabu*. Zaciekłość walki pomiędzy ludźmi cechować miała tylko społeczeństwo kapitalistyczne i towarzyszyć „bojowi ostatniemu”, natomiast w kraju, czy później w krajach, gdzie przełom już nastąpił, wilcze popędy człowieka zostały uznane za pozostałości starego systemu i wyjaśniane ciągle jeszcze obecną (a nawet „zaostrażającą się”) walką klasową. Stąd kilka dziesięcioleci idylli na papierze i dintojry w rzeczywistości. Na szczytach siedział, tak jak go przedstawiał imaginacyjny portret Picassa, osobnik smutny i dobry, ze zwisającymi wąsami, coś w rodzaju prof. Tadeusza Kotarbińskiego. „Stalin? To takie wielkie dziecko” — jak powiadał podczas wojny Wilam Horzyca.

Najprostsze rzeczy są zawsze najtrudniejsze do przyswojenia i Simone Weil, która dotknęła punktu dla marksistów bolesnego — ich woli kłamania samym sobie — do dzisiaj oburza. Według niej podstawą wszelkich stosunków ludzkich jest siła, a narzucony siłą podział na rozkazujących i wykonujących rozkazy nie tylko pozwolił ludzkości opanować przyrodę, również zaznacza się i będzie się zaznaczać coraz wyraźniej tzn. człowiek, żeby jeść, mieszkać, ubierać się, zależy coraz bardziej od innych ludzi — nie tak jak prymitywny rolnik czy myśliwiec. Nie znaczy to, żeby Simone Weil chciała wracać do dziewiętnastowiecznego scjentyzmu i stosować kategorie biologiczne. Jej zamiarem było zstąpić na samo dno, jeżeli tam jest prawda, bo tylko zdając sobie sprawę, że historia polega na przemianach w stosunkach siły, że okres kiedy mają one ustąpić miejsca idylli nigdy nie nastąpi, da się wynaleźć środki łagodzące walkę i utrzymujące ją w znośnych granicach. Kto chce udawać anioła, będzie zwierzęciem. Simone Weil zarzucała Marksowi, że wywodził stosunki siły tylko z produkcji a zapominał np. o wojnie. Pisała w 1943 r.: „Skutkiem tego pominięcia w pismach Marksa jest śmieszny chaos w jaki wpadają środowiska marksistowskie kiedy chodzi

o wojnę i problemy odnoszące się do wojny i pokoju. Nie ma w tym co nazywa się doktryną marksistowską dosłownie nic, co by wskazywało jakie stanowisko ma zająć marksista wobec tych spraw. W takiej epoce jak nasza, jest to luka całkiem poważna”.

W Polsce, kiedy wolno już było zapuścić wzrok za kulisy, dzieje komunizmu ukazały się jako rozdział z mrocznej szekspirowskiej kroniki. Odkryto też, że wygnana z podręczników „wersja pałacowa” historii jest nie do pogardzenia i że być może intryga władcy, zatruty sztylet, decyzja cesarza czy prezydenta znaczą nie mniej niż sprzeczności klasowe. Największym historykiem stał się Szekspir, lepiej zapewne w Polsce odczuty przez reżyserów, aktorów i publiczność, niż w letniawej temperaturze Zachodu. „Hamlet” jako dramat człowieka osaczonego przez agentów policji politycznej jest bardziej krwisty, bardziej elżbietański niż „Hamlet” z freudowskiej kliniki a Ryszard III grający o wielką stawkę to lepiej niż Ryszard III cierpiący na zaburzenia bo nie zasięgnął porady u uczniów Junga. Jakkolwiek jednak ogromne korzyści płyną dla teatru i literatury z takiego świeżego spojrzenia na surowość i tragizm historii, jakkolwiek można pogratulować Janowi Kottowi jego „Szkieł o Szekspirze”, więcej niż jedna interpretacja tego powszechnego urzeczienia mechanizmem władzy jest możliwa.

Im bardziej niemiłe są prawa walki, im bardziej rządzenie staje się kwestią politycznej techniki, tym słodsza jest „nasza mała stabilizacja” zwyczajnych śmiertelników na podgroździu. Niech kto inny wybiera zamkowe komnaty i noce w nich spędzane na obmyślanu nowego posunięcia, my nie. Ten wybór roli obserwatorów, ta bierność (zjawisko zresztą występujące dziś w skali światowej) ma w Polsce swoje antecedenсы i dla niektórych przynajmniej jest powrotem do postaw tak znanych i wygodnych jak stare pantofle. Nagle wyłazi znów na scenę tzw. geopolityka, tubalnym głosem zaczynają przemawiać duchy Wielopolskiego i Dmowskiego. W wieku, który całą geopolitykę przewrócił do góry nogami odradza się myślenie niewolników imperium, choćby niewielu już tylko szermowało staroświeckim podziałem na „reżym” i „społeczeństwo” (naturalnie „narodowe i religijne”).

Jednakże cały dziewiętnastowieczny dylemat: rewolta albo kolaboracja jest fałszywy. Ostatecznie nieprawdą jest, że mechanizm walki o władzę podlega takim samym niezmiennym prawom jak w plemieniu pawianów, albo że Mikołaj I czy jego sukcesorowie ustanowili raz na zawsze wzór dla tej części Europy. Poza tym wygoda jakiej dostarcza sąsiedztwo Rosji jest zbyt znaczna żeby nie odnosić się podejrzliwie do wiecznego „gdyby nie to”. A gdyby go nie było, to co? Problemy nad jakimi warto zastana-

wiać się w Warszawie są mniej więcej takie same jak te, które powinny zaprzętać mieszkańca Belgradu, Zagrzebia czy Lubliany, choć Jugosławia nie ma do swojej dyspozycji rosyjskiego ofiarne go kozła. Wszelkie natomiast zamykanie się w narodowych pamiątkach kościoła, run na pamiątki z dawnych czasów, skąd czerpie się poczucie powtarzalności historii, jest tylko objawem eskapizmu.

4. Motyw anty-heroizmu i europejskości

W bibliotece wielkiego uniwersytetu amerykańskiego, przeglądając książki poświęcone historii Polski i historii polskiej literatury, natrafia się na marginesowe uwagi gryzmolone przez studentów. Są to uwagi w większości wypadków dla Polski nieprzychylnie, przy czym, jeżeli chodzi o wiek XIX, czytelnicy zdają się mieć więcej sympatii do carskich satrapów niż do polskich patriotów. Powody takiej stronniczości są, jak się zdaje, wielorakie. Autorami tych książek w języku angielskim byli głównie Polacy, wychodzący z założenia, że inaczej pisze się dla publiczności rodzimej, a inaczej dla obcej i że „skoro nikt nas nie chwali, musimy chwalić samych siebie”. Uraz zapoznania wygląda z każdej strony i prowokuje do sprzeciwu. Ale i sam temat jest trudny, powikłany, nie warto więc oburzać się na studenta slawistyki jeżeli historia Polski i jej literatury wydaje mu się wąska, nacjonalistyczna. Różne ciekawe rzeczy ukazują się tam dopiero po głębszym wnikięciu. W dodatku powszechna dziś niechęć młodych pokoleń do patosu, tremolanda w głosie, szlachetnego frazesu, nie może usposabiać przychylnie do autorów, którzy zbyt przyciskali pedał.

Kpiny z własnej historii, jakim oddaje się w Polsce dzisiaj młode pokolenie, skłonne widzieć w przeszłości komiczny spektakl w rodzaju „Króla Ubu”, zasługuje na sympatię. Nadmiar polonocentrycznego bzika jest tak znaczny, że i po takiej operacji zostanie go dość, ale już na poziomie innych europejskich narodowych zespołów. Jeżeli jednak kpiny te są wyrazem tęsknoty do „europejskości” stanowią świadectwo jeszcze jednej iluzji. Ten kraj do zachodniej Europy nie należy i nigdy nie będzie należał. Przeszłość, czy aprobujemy ją czy sprzeciwiamy się jej, określa człowieka, a bunt jest takim samym sposobem ciągłego z nią obcowania jak hołd. Kto jest tak naznaczony, nie bardzo umie porozumieć się z zachodnimi Europejczykami. „Dialog z Europą” poprzez literaturę i sztukę, tak — ale warszawscy Francuzi mogą tworzyć tylko dzieła poronione. Trudność równie duża, choć innego gatunku, powstaje w stosunkach ludzi tak pamiętnych

na przeszłość z Rosjaninem. Czyżby więc „siami-siami”? Wcale nie. Odwołajmy się do doświadczenia. Jugosłowianin, Węgier, a potencjalnie, poza kurtyną łeków, Czech czy Słowak — oto domena własna, swojska i „długie nocne rodaków rozmowy”. W poronionych jak dotychczas pomysłach federacji środkowo-europejskiej tkwiło zdrowe ziarno — świadomość niezaprzeczalnej wspólnoty. Być może w jakiejś dalszej perspektywie okaże się, że laboratoryjny tygiel w jaki zostały wrzucone te narody był koniecznym potrzebny żeby wypalić mentalność wariacką w każdym z nich i wytworzyć zrozumienie wspólnego losu. Nie opracowuję planów politycznych, nie moja to specjalność, a jeżeli nie wspominam tutaj o Litwinach, Białorusinach czy Ukraińcach, to dlatego, że nie przystoi. Węgierska korona św. Stefana czy korona Jagiellonów niech sobie leżą spokojnie w muzeum, aż nikt już nie będzie miał snów o hegemonii.

Literatura czerpie korzyści z uświadomienia sobie swego terytorialnego obszaru. Podział Europy na takie obszary jest faktem, choć różnie z tym kiedyś bywało. Carlyle, zaczynając propagować w Anglii lat trzydziestych ubiegłego wieku filozofię niemiecką narażał się na drwiny bo nikt z Anglików nie był skłonny wierzyć że gdzieś, „na kresach”, wśród pocziwych piwoszów, mogła narodzić się jakaś filozofia. A przecie, parę wieków wstecz, Anglia spoglądała dalej jeszcze na wschód, poza Niemcy: motorem ruchu intelektualnego przed i podczas rewolucji Cromwella były pisma Jana Amosa Komenskigo, Czecha prowadzącego swoje protestanckie szkoły w Polsce i na Węgrzech. Tak czy owak, podział Europy na trzy części: zachodnią, środkowo-wschodnią i Rosję ustalił się od dość dawna i utrzyma się jeszcze długo.

Słabości są zwykle odwrotną stroną przewag i odwrotnie. Nigdzie poza tą domeną własną i swojską nie zauważyłem takiej zdolności do uchwycenia *historycznego szczegółu* w jego wieloznacznych związkach z innym szczegółem, i to jest niemała wartość uniwersalna. Uwaga nasza trenuje się tylko poprzez to co nas boli i jeżeli przeszłość groteskowo-tragiczna stanowi taką zaprawę, to warto było ją mieć. Zresztą przeszłość jest przez nas ciągle kształtowana i skoro fałszowało się ją „ku pokrzepieniu serc”, żadnym wyjściem byłoby od niej po prostu się odwracać. Dlatego nie mieli racji ci polscy literaci, którzy starali się tak pisać, żeby swoiste, specyficzne pogmatwanie nie pokazało nawet koniuszka ucha i żeby utwory ich były jak najbardziej „europejskie”. Nikt z nas tego nie potrafi, chyba, że chce skazać się na wtórność.

5. Motyw nowoczesności

Nowoczesność jest to stara dama, z brodą. Początki jej kariery przypadają na lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku. Od tego czasu układała sobie coraz to nowe twarze i nosiła coraz to niezwyklejsze suknie, które to twarze i suknie natychmiast były przejmowane przez nienawistnych jej a mało zręcznych mieszczuchów, filistrów, czy jak to się tam nazywa, co zmuszało ją do nowych wynalazków. Na ogół te wynalazki były szczęśliwe tylko w samotnej celi artysty i tak powstały wielkie dzieła, jak choćby otwierające całą historię nowoczesnej poezji „Kwiaty zła” Baudelaire’a, które do dziś nie straciły nic ze swojej głębi i siły. Zwulgaryzowane, upowszechnione, przeniesione do dziennikarstwa, architektury, zdobnictwa wnętrz, nowe sposoby raz użyte przez poetów i malarzy przesądzały o następstwie stylów, najpierw fascynujących, potem niedostrzegalnych, potem osądzanych jako złe. Nie ma powodu żebyśmy dziś patrzyli na „nowoczesny” (tak jak to się teraz rozumie) mebel, na większość dzisiejszej architektury, form wiersza itd. inaczej niż patrzymy na wiedeńską secesję, z jej roślinnymi motywami zastosowanymi do drzewczek windy. Kolejna „nowoczesność” weszła w cywilizacji zachodniej w fazę niedostrzegalności, zwyczajności, masowej produkcji, choć jakby już zaczynała razić dziwactwem usprawiedliwianym rzekomą funkcjonalnością. Oglądając się za siebie dostrzegamy w sztuce mnóstwo chybionych „izmów” i nieliczne trwałe osiągnięcia. Dla współczesnych pomiędzy pierwszorzędnym i podrzędnym nie było różnicy: i jedno i drugie było „nowoczesne”. Style dzielą losy związanej z nimi mody w strojach, zawsze tylko zabawnej po upływie lat dwudziestu czy trzydziestu. Są co prawda przejawy stylu pokazywane później z szacunkiem, i śmieszne i pouczające — tak dzieje ekspresjonizmu ilustruje się wyświetlając film „Doktor Caligari”.

Jedną z racji istnienia nowoczesności był sprzeciw: bohema odrzucała cały światopogląd i kodeks moralny „dobrze myślących”, a ponieważ wszystko co jest gotowe, zastane, przekazuje siebie w zamrożonym stylu, pozbyć się automatyzmu myślowego można było tylko oswobadzając rękę z uścisku tej martwej ręki jaką jest styl dziedziczony. W ostatnich dekadach ten schemat uległ na Zachodzie sporym zaburzeniom: tzw. kultura masowa wchłania z niespotykaną przedtem szybkością ostatnie formalne nowalio; coraz trudniej też jest awangardom umieścić przeciwnika. Kiedy był nim *bourgeois*, wyróżniający się i swoimi nałogami i strojem, było znacznie łatwiej, ale przy uniformizmie, przy,

zewnątrznym przynajmniej, zrównaniu robotników, studentów, urzędników, noszących te same stroje, oglądających te same filmy? Dalsze przygody „nowoczesności” są więc dziś sprawą niejasną.

Jej możliwości się jednak nie skończyły, skoro zaczęła robić nową karierę w Warszawie czy Budapeszcie, w Moskwie czy Sofii. Tam styl mieszczański XIX wieku podawany jako socrealizm całkowicie przegrał i musi ustąpić miejsca nowemu zachodniemu importowi (sam też był importem, tylko wziętym z innej zachodniej fazy). Dopomaga w tym świeżość kulturalna milionów ludzi opuszczających swoje wioski i pozbawionych wzoru do naśladowania. Styl „nowoczesny” w jego wersji masowej jest jazzowo-młodzieńczy, łatwiejszy do przyswojenia niż styl pluszowych kotar, kryształów i piersi obwieszonych orderami. Co więcej, sprzeciw, ten napęd „nowoczesności”, utrudniony na Zachodzie, tam działa w sposób jak najbardziej klasyczny. Profesor, obywatel jednego z krajów wschodniego bloku, zapytał swoją szesnastoletnią córkę jak zdefiniowałaby rejonistę. Odpowiedź: „Człowiek który ubiera się staroświecko, jest przeciw nowoczesnej sztuce i nie uznaje jazzu”.

W Polsce („paw i papuga narodów”) rozmaite warstwy „nowoczesności”, od warstwy obyczajowej po malarstwo abstrakcyjne, stały się, jak się zdaje, przedmiotem fetystycznego kultu: ujęcie da swobody intelektualnej, z innych terenów wypchnięte. Pamiętając o degeneracji języka jaka towarzyszyła innemu zachłysnięciu się moderną i secesją lat temu ponad sześćdziesiąt, wiele przegranych w literaturze można wyjaśnić tą awangardowością za wszelką cenę, kiedy to miesza się cele i środki. Biorąc przykład wiersza: wyrzucenie za burtę metrum i rymu nie jest bynajmniej tylko chwytem technicznym jak sądzą i legiony młodych grafomanów i oburzeni konserwatyści. Wyraża się tutaj przemiana w samym obrazie poety, który jako szaman, czarodziej we władzy lirycznego zaśpiewu, byłby zbyt bezbronny wobec dzisiejszego złożonego świata. Taka poezja wymaga jednak nie mniejszej ale większej dyscypliny. Tak samo w teatrze — czy to będzie „teatr absurdu” czy teatr Bertolda Brechta, jest i otoczka „nowoczesności”, zespół chwytów, które zastygają, martwieją kiedy przenosi się je automatycznie, i sedno nadające się do coraz to nowego artystycznego przemyslenia.

Wszystko jest zresztą zafałszowane przez nierównoległość w czasie jaka dzieli Polskę i Rosję. Nowoczesność sprowadza się w Rosji do „eksperymentu”, do „formy” i jest się tam już niekiedy za śmiałością, pod warunkiem że stare wino zostanie wlane w nowe beczki i że zachowa się ulubioną od kilku dzie-

siatków lat „czystość moralną”. Możliwe, że po chwilowych nawrotach do taktyki prymitywnej wejdzie tam w modę nowoczesność wtórna, dająca niewinne ujście sprzeciwowi, ta sama nowoczesność błyskotek, fatalaszek i chwytów, która w Polsce dostarcza złudzenia że coś się dzieje. Choć ostrożnie z Rosją: jeżeli linia ciągłości w poezji jest tam zerwana, stara tradycja solidnej prozy będzie owocować.

Lekceważąc trochę „nowoczesność” nie zaprzeczam temu co powiedziałem o zasługach polskiej poezji; jak zwykle jednak są to nazwiska do wyliczenia na palcach, a też, jako że nikt nie jest tytanem, zagrożone przez grę cieni, grę pozorów, która musi się przedłużać tam gdzie być za malarstwem abstrakcyjnym znaczy, lichy wie czemu, niemal manifestować politycznie.

6. Motywy bezsensu istnienia

Literatura i sztuka krajów zachodnich nurza się w tak ponurej czerni, że rozpatrując to jako symptom musieliśmy orzec o zupełnej dekadencji zabawiających się w ten sposób społeczeństw. Podobny wniosek byłby zapewne zbyt pośpieszny. Artysta zrozpaczony jest, od początku XIX wieku, zjawiskiem normalnym i społeczne organizmy wykazały dużą zdolność asymilowania sączonych przez niego trucizn, a nawet obracania ich na swój pożytek. Wywrotowa, nie mniej niż kiedy niepokoił ją głód i brutalność, literatura i sztuka dzisiejsza zajmuje się nudą i obrzydzeniem czyli *taedium vitae* albo, wyrażając się szlachetniej, alienacją, który to termin ma dowieść, że nie jest się nieprzyzwoitym metafizykiem ale przyzwoitym socjologiem, czyli docenia się ustrojowe determinanty tego stanu. Miliony zwykłych zjadaczy chleba nie mogą jednak spędzać życia na medytacji nad własną nudą i obrzydzeniem. Nie mają na to czasu, a jeżeli mają czas, szukają rozrywki. Piewcy zgagi są więc mniej czy bardziej zamknięci w swoich środowiskach elitarnych. Co prawda od czasu do czasu przedostają się na szerszą widownię, ale ich powieści, sztuki, filmy nie są przez publiczność pojmowane zgodnie z ich intencjami. Nicola Chiaromonte napisał niedawno szkic o daremnych próbach wyrażenia alienacji językiem rzekomo specyficznym filmowym. Filmy Antonioniego publiczność traktuje dosłownie, jako historyjkę, nie troszcząc się o ich sens symboliczny, a jedynym skutkiem zbyt wyrafinowanej techniki jest całkiem nie symboliczna nuda, która, zgadzam się z Chiaromonte, jest nieraz na tych filmach nie do zniesienia. Istnieje więc może jakby regulator w samych środkach, ten sam, który sprawił, że w

ciągu stu lat Lautréamont nie przestał być pisarzem tylko dla pisarzy. Urządzony w San Francisco festiwal poetycki, na który zwieziono młodych poetów z różnych stanów, skończył się kłapą z powodu arogancji autorów, manifestujących niezrozumiałym mamrotaniem swoją pogardę dla publiczności („filistrów”), choć publiczność przyszła tłumnie i choćby dlatego zasługiwała na względy. Ale te utarczki obolałych są właściwie bez znaczenia. Dziesiątki milionów Amerykanów patrzą co tydzień na telewizyjną serię „Car 54”, przygody dwóch nowojorskich policjantów, kretynów o gołębih sercach, na „problemową” serię „Route 66” pokazującą różne niezwykle spięcia pomiędzy ludźmi, na serię prawniczą „The defenders” czy na Westerny. I wszędzie złośliwość, małość, chciwość, chytrość są pogńębione, zwycięża dobroć, przyjaźń, szlachetność, a człowiek, który nie ma już siły żyć, wysiłkiem woli i z pomocą innych odnajduje jakiś sens w wytrwaniu. Nie może chyba być inaczej, bo ludzie boją się przepaści nad którą chodzimy jak po cienkim lodzie i pożądają pascalsowskiego „divertissement”.

Co się jednak stało, kiedy, jak w Polsce, bohema, jej język, jej sposób odczuwania, jej nuda i obrzydzenie, rozszerza się na znaczną część, jeżeli nie większość, ludności miast? Na Zachodzie styl jazzowo-młodzieńczy jest mało filozoficzny, choć w Paryżu założono „Internationale Situationiste”: „sytuacioniści” uważają wszystkich „blousons noirs”, „teddy boys”, chuliganów, beatników, niezależnie od szerokości geograficznej, za swoich braci i *odruchowy* bunt przeciwko ogólnoplanetarnemu łaadowi technokratycznemu chcą przekształcić w program. Ale ich koledzy z bloku wschodniego mogliby powiedzieć słowami bajeczki Jachowicza: „Dla was tylko zabawa, nam chodzi o życie”. Kiedyś intelektualni marzyli o rewolucji, która by ludzi przemieniła na ich, intelektualistów, podobieństwo i każdemu pozwoliła myśleć na własny rachunek. To się im już gdzieś tam częściowo udało, ze skutkiem takim jak zwykle, kiedy zaprasza się kogoś na wspólną nieistniejącą befszytk ideologiczny. Warszawa zachwyca dziś cudzoziemskich literatów i artystów, bo co na Zachodzie jest wyjątkiem w masie ludzkiej zajętej swoim domkiem, łowieniem ryb czy hodowlą kanarków, tam upowszechnia się całkiem ładnie. „Ufilozoficznienie” zrobiło spore postępy, powstał pewien klimat kulturalny i trochę choćby nim zarażeni obywatele PRL podróżując po krajach zachodnich są w sytuacji romantyków zdumionych krowią egzystencją *bürgerów*. Tam jednak, gdzie stale budzi się ogromne apetyty światopoglądowe nie mogące ich zaspokoić, musi się krzewić mniej czy bardziej jawny nihilizm. Dżinn został wypuszczony z butelki przez administratorów i będzie

im coraz bardziej zagrażać, zmuszając do stosowania kosztownych środków zaradczych zmierzających do ponownego „ukrośnienia” przez skutery, samochody, domki i łódki.

Nuda i obrzydzenie, jeżeli się je rozpatruje od strony samej literackiej techniki, są wątpliwym dobrodziejstwem. Zrodzone z bezsilności jednostki, prowadzą do bezsilności. „En attendant Godot” Becketta (czy np. Edwarda Albee „Who is afraid of Virginia Woolf?”) tak się kończy jak się zaczyna i *circulus vitiosus* jest już w samej formie. Pisarze „maudits” XIX wieku umieli odnieść się władczo do swojej rozpaczki ale więcej w nich było gniewu czyli woli. Jeżeli ten czy ów utwór polski ostatnich lat cieszy zachodnich awangardzistów, bo dowodzi, że alienacja jest powszechna i nikomu nie słodko, są to, artystycznie, triumfy krótkotrwałe.

Spostrzegam ze drżeniem, że sporządzając ten bilans nie zdobyłem się na nic więcej niż opis treści „Wesela” Wyspiańskiego. Najpierw wielka i nieokreślona nadzieja, która była tylko zbiorowym czadem, potem senny taniec pod skrzypce chochoła Inercji. Taki taniec może być zresztą o tyle ulgą, że ruchy partnerów są mechaniczne. Wyspiański nie miał do zaoferowania żadnej wskazówki poza radą-protestem: że nie chcą chcieć. Obawiać się można, że i dziś nie wykracza się poza równie słabe propozycje, choć stawka jest większa, nie jest nią jeden naród. Artykuł mój powinien być więc zrozumiany wyłącznie jako przejaw buntującej się energii witalnej czyli „pamiętnik artysty”, notatki tylko dla własnej higieny.

Czesław MIŁOSZ

Czy Ameryka była dla Norwida infernem?

Amerykanię któż są?... Europejczycy!
Norwid

Odpowiedź sugeruje już sam tytuł studium Władysława Folkierskiego „Norwidowe inferno amerykańskie”, ogłoszonego w niedawno wydanym w Londynie „Norwidzie żywym”.

Werdykt tytułu rozwijają i uzasadniają wywody autorskie. Już od pierwszych zdań, sformułowanych fortissimo. „Z swej podróży — czytamy u wstępu studium — wrócił poeta do Europy innym człowiekiem. Wyjeżdżał był z resztkami złudzeń i nadziei — wracał rozbity, nawet więcej, pogruhotany na resztę życia”. Dalej zaś autor twierdzi, że „Ameryka stała się Norwidowi — istnym przekleństwem”.

Prawda, dowiadujemy się też z tego studium, że „Gehenna poety była wewnątrz niego” (podkreślenie Folkierskiego). Ale studium nie pozostawia żadnej wątpliwości i co do tego, że obce duchowo poecie środowisko amerykańskie było ważnym współczynnikiem tej Gehenny. Z Norwida „szczytnym i wewnętrznym rozumieniem poezji kłóciło się gwałtownie otoczenie amerykańskie. Na tę atmosferę, owiewającą go zewsząd, Norwid reagował boleśnie, wręcz się w niej dławił i dusił”. W szczególności dręczył go „brak jakiegokolwiek wiekowej historii czy tradycji, wszechwładza chwili obecnej, a może więcej jeszcze pogoń za jutrem bez żadnej przeciwwagi w przeszłości”. „Drugim wrogiem mu składnikiem aury amerykańskiej było przeraźliwe zmerkantylizowanie wszystkiego”.

Obraz, jak widzimy, bardzo przygnębiający, malowany gęsto nakładaną czarną farbą, nigdzie nie rozjaśniony. Zaiste „bez światła-cienia”. Jak przystało na inferno.

Folkierski nie jest pierwszym, który w takich to kategoriach ujmował pobyt Norwida w Ameryce. Jeszcze za życia poety, i to wcześniej, bo w r. 1861, Felicjan Faleński w szkicu o Edgarze Allanie Poe taki to robił bilans Norwidowej wyprawy do Stanów Zjednoczonych:

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



„Lat temu nie wiele, Cyprian Norwid, ów umysł głęboko kon-templacyjny i tyle rozumiejący przeszłość, iż wygląda, jakby nie żył d z i s i a j , zagnany okolicznościami, ujrzał się z nagle na tej ziemi obiecanej. Ale nie wytrzymał tam długo i przy pierwszej sposobności otrząśł nawet złotodajny proch jej ze swego obuwia, wyrwijąc się byle prędzej z powrotem. Tchu tam brakło poecie, gdzie stąpił, gdzie się zwrócił, czuł się odosobnionym, jakby go nakryto szklanym dzwonem, którego ścian się nie domyślasz, bo są przejrzyste, a spod których jednak wyciągnięto powietrze. Tęskny myśliciel nie miał nawet spocząć gdzie, wśród tej obczyzny, zaprzątniętej tylko jutrem. W istocie, w czymże tam przestawać wędrowcowi, odbitemu od swoich? W Ameryce całej nie znajdzie cegły jednej, która by była mchem porośła”.

Opinia Faleńskiego nie jest do pogardzenia. Ma nawet wagę pośredniego świadectwa biograficznego. Faleński bowiem, kiedy te słowa pisał, był już mężem Marii Trębickiej, oddanej przyjaciółki i powiernicy Norwida, listy do której z Nowego Jorku są dla nas najcenniejszym źródłem wiadomości o pobycie poety w Stanach.

Ale ktoś inny z ludzi bliskich Norwidowi, jego bratowa, Anna, podsumowała doświadczenia amerykańskie poety zupełnie inaczej: „*Il s'embarqua pour le Nouveau Monde, d'où il revint avec une grande admiration et indulgence pour les Américains*”. „Wrócił z wielkim podziwem i pobbżliwością dla Amerykanów”.... Nie takie to uczucia wynosi się z inferna.

Jak ze sprzeczności tych wybrnąć? Oczywiście, przez prze-studiowanie tego wszystkiego, co Norwid miał o swoim doświad-czeniu amerykańskim do powiedzenia. Materiału nam nie brak-nie. Nie zachowało się wprawdzie najbezpośredniejsze i najpeł-niejsze źródło informacji, jego przeplatany rysunkami diariusz amerykański, zdaniem Kraszewskiego, który go miał w rękę, najcenniejsze dzieło Norwida. Ale Norwid do swych wrażeń ame-rykańskich i przemyśleń na temat Ameryki wcale często nawra-cał przy różnych okazjach, tak w twórczości literackiej, jak i w korespondencji. Rozprawa Folkierskiego nosi podtytuł: „Na pod-stawie nowych źródeł”. Te nowe źródła to listy Norwida do zmar-tychwstańców, dzisiaj już dostępne w wydaniu Franciszka Germana (1). Zasadniczego obrazu pobytu Norwida w Ameryce, tego jaki znamy nade wszystko z listów poety do Trębickiej, te trzy nowe listy Norwida na tematy związane z pobytem jego w Ameryce, nie zmieniają. Ale dają one tak wymowny wyraz jego osamotnieniu, jego rozpaczliwej chęci wyrwania się z Ame-ryki, tak żywo dają nam odczuć rozstrój nerwowy poety pod koniec jego pobytu w Stanach, iż pod sugestią ich, najoczywiście,

(1) Krakowski „Znak”, zeszyt z lipca-sierpnia 1960 r. Jak przypisek do rozprawy Folkierskiego, datowany „październik, 1959”, informuje, miał on w czasie pisania swego studium dostęp tylko do odpisów tych listów. Odpisy to niestaranne, nieraz zniekształcające sens całych zdań. Autor, który nie dożył druku swej rozprawy, nie ponosi odpowiedzialności za ten stan rzeczy.

Folkierski uznał, że proces Norwid-Ameryka da się bezapelacyjnie zamknąć ryczałowym, potępiającym wyrokiem. Nie ma powodu bawienia się w subtelności proceduralne, powoływania przed trybu-nał wszystkich świadków. Kto by tam ceremoniował się z piekłem. Nie tylko więc w studium o „Norwidowym inferno” nie uwzględ-niono żadnych wypowiedzi poety o Ameryce z lat po powrocie do Europy, ale też i zlekceważono te dane z jego amerykańskiej korespondencji, które zdają się wskazywać na to, że prawda o pobycie Norwida w Ameryce jest bardziej powikłana i wieloposta-ciowa.

Trzeba zatem wszczać przewód apelacyjny.

Trzy zdaniem autora „Norwidowego inferno” były powody, dla których zdecydować się on na podróż za ocean: nieszcześliwa miłość do Marii Kalergis, złe przyjęcie jego twórczości, w szcze-gółności „Promethidiona”, i niezgranie się ze współemigrantami w Paryżu. Za najistotniejszą z tych trzech uważa sprawę z panią Kalergis. I tu ma niewątpliwie rację. Wprawdzie Norwid już w r. 1850 twierdził, że była to sprawa zamknięta, należąca do prze-szłości. Ale pisząc tak, łudził się, czy raczej, chciał się łudzić. Folkierski we wnikliwym wywodzie przekonywająco pokazuje, jak bardzo dla Norwida w Ameryce była to bolesna, niegojąca się rana. I pozostała taką raną także i później. Ileż wymowy — typowo Norwidowej wymowy przez przemilczenie — ma takie zwierzenie z listu do Karola Krasieńskiego z r. 1858:

„ — Otóż w Warszawie są dwie partykularnie najdroższe mi rzeczy: 1. spokój siostry mojej i 2
.....
ale po to przepłynąłem ocean, aby być silnym i wyleczyć się z tej słabości”.

Bolesny ten kompleks wiąże się wcale istotnie ze stosunkiem Norwida do Ameryki. Norwid wprawdzie lubił wywodzić swój ród od potomków króla Jana Trzeciego, ale przyszedł na świat w rodzinie, która należała do drobnej szlachty i której daleko było do posesjonatów, a co dopiero do arystokracji. To że został przez panią Kalergis odrzucony, przypisywał przesądom stano-wym. Takie rozumienie własnej tragedii sercowej uczuliło go na sięg tych przesądów w społeczeństwie polskim. I nauczyło go wy-soko cenić brak takich przesądów po drugiej stronie Atlantyku. Wielokrotnie, jak zobaczymy, będzie do tego tematu nawracał.

Wszystkie trzy wyliczone przez Folkierskiego powody zawa-żyły na decyzji Norwida wyjazdu z Europy. Na to jednak, aby tę decyzję przeniesienia się na drugą półkulę właściwie ocenić, trzeba ją osadzić w kontekście historycznym. A został on w studium Folkierskiego tylko przelotnie wspomniany.

Wiadomo, emigranci polistopadowi wierzyli, że wojna 1830-31 r. była tylko jednym ogniem wielkiego europejskiego pro-cesu wyzwolenia-rewolucyjnego, który przycichł na krótko, ale lada chwila wybuchnie ze wzmożoną siłą. Utwierdzało ich w tym przekonaniu gorące przyjęcie, z jakim spotkali się podczas prze-

marszu przez Niemcy. Mickiewicz, jak wiadomo, w swej egzaltacji wierzył, że taka wojna lada moment powinna przyjść. I w tej swej wierze emigracja starała się na wszelkie sposoby utrzymać. Dobrze ilustruje ten stan psychiczny przykład Lelewela, który wolał cierpieć biedę, nie chciał przyjąć ofiarowywanego mu stanowiska, bo takie stanowisko wiązałoby go z Brukselą, a on przecież w każdej chwili musi być gotów do wymarszu do Polski. Ideologia emigracyjna głosiła, że emigracja to kadry armii wyzwolenczej, które mają być w pogotowiu. Usprawiedliwiała taka ideologia brak stabilizacji życiowej, biedę, poniewierkę. Wszystko to miał być przecież tylko stan tymczasowy. Sceptyk Słowacki, który krakał: złożyć kości swoje na obcej ziemi, nie znajdował posłuchu. I on zresztą z czasem dał się porwać tej wierze-gorączce.

Wymodlona burza rewolucyjna przyszła późno, w r. 1848. I przyniosła za sobą poważny kryzys emigracji. Nie tylko dlatego, że skończyła się tak, jak skończyła. Fale rewolucji odbijały się od zachodnich granic imperium Mikołaja I. Nie poruszyła rewolucja zaboru rosyjskiego. A car czuł się na tyle pewny i bezpieczestwa w granicach swego państwa, i swojej armii, że mógł sobie pozwolić na wysłanie korpusu ekspedycyjnego na Węgry.

Załamanie się z takim wytężeniem egzaltacji przez lata żywionych nadziei przyniosło, jak zawsze klęska, potrzebę rewizji. Poniektórzy korzystali z amnestii i wracali. Inni zrozumieli, że jeśli mają zostać na emigracji, to trzeba im się w tej emigracji zagospodarować, trzeba pomyśleć o urządzeniu się na dobre. Niegościnnie brzegi europejskie stwarzały dla większości masy uchodźczej warunki vegetacji tylko. I wtedy to właśnie przyszła fala emigracji do Ameryki. Emigracji masowej. Głośno o niej w wypowiedziach z owych lat. Oto co pisał Bohdan Zaleski w liście do Jana Koźmiana z września 1849 r.:

„Emigracja cała chora. Rozprzega się po widomiu. Wielu wraca za amnestią, wielu wyrusza do Ameryki, reszta trawi się w tęsknocie i zniechęceniu. Nędza, jakiej nigdy nie było”.

A w dwa miesiące później w liście do tegoż adresata Zaleski donosił:

„Do stu podobno, a między nimi i kilkanaście rodzin, wyjechało do Ameryki — po co?”.

W rok potem pisał Klaczko w korespondencji paryskiej do „Gazety Polskiej” z 6 grudnia 1850 r.:

„Dobrowolnie opuściło Francję w tym tygodniu 30 emigrantów. Za staraniem p. Zamojskiego popłynęli do Ameryki”.

A w dwa lata później czytamy w liście Goszczyńskiego do Ludwika Nabelaka:

„Cóż ci mam powiedzieć o emigracji? Stan jej zawsze smutny: wielu wyjeżdża za amnestią, wielu puszcza się do Ameryki lub Australii”.

Starał się jakoś pomóc tej emigracji, ułatwić ją, zorganizować Władysław Zamoyski. Zainteresował tą sprawą oddanego Polsce lorda Dudley'a Stuarta. W liście lorda Dudley'a do Zamoyskiego z 5 stycznia 1851 r. znajdujemy ciekawą skargę. Oto The Literary Association of Friends of Poland (tak nazywała się instytucja angielska, opiekująca się emigrantami polskimi, w samej rzeczy nie „literacka”, ale polityczno-charytatywna) finansuje wyjazdy emigrantów polskich do Stanów, zobowiązując ich do przesłania po przyjeździe informacji, jak się urządzili, a tymczasem ci nie piszą:

„Prosiłmy ich, żeby dali nam znać, jak im się powodzi, gdyż ta wiadomość może się tym przydać, co po nich pojadą, — obiecali. A któryż z nich napisał. Dwóch czy trzech, znalazłszy się w kłopotach, zwróciło się do nas po ratunek, i od nich wiemy, że ich towarzyszom dobrze się powodzi”.

Norwid z emigracją był skłócony, reagował na podniety po swojemu, bardzo po swojemu. Ale przecież w emigracji tej tkwił i aura emigracji była jego aurą, procesy, które w niej zachodziły, i jego obejmowały. Wyjeżdżając do Ameryki, Norwid równocześnie i zrywał ze swoim środowiskiem, i utożsamiał los swój z losem szarej braci emigracyjnej.

Decyzja wyjazdu była decyzją długo ważoną i co się zowie desperacką. Tym bardziej desperacką, że wyjeżdżał usposobiony do Ameryki, jak się zdaje, źle. Świadczyłaby o tym jego korespondencja z Bohdanem Zaleskim z 1851 r. Już wtedy Norwid nosił się z zamiarem przeniesienia się do Stanów. Powściągał go przed tym Zaleski, biorąc za punkt wyjścia krytykę jakichś „ekonomicznych” rad Ignacego Domejki dla uchodźstwa, które to rady — wolno się domyślać — polegały na tym, że powinni przenieść się za Atlantyk, bo tam łatwiej będzie im się urządzić. W liście z 10 maja 1851 r. Norwid przyznawał Zaleskiemu rację, pisząc: „To co o Domejki radach Emigracji, radach ekonomicznych, wspominałeś — prawdę masz — jest amerykańskim zepsuciem”.

Wyjechał Norwid do Ameryki 12 grudnia 1852 r. z Liverpoolu statkiem Margaret Evans. Wyjechał nie sam. Tym samym żaglowcem, który przewoził biedotę europejską przez Atlantyk w ciągu długich sześćdziesięciu dwu dni, wypłynęło z nim razem jeszcze dwóch Polaków.

I oto kiedy się tam już osiedlił, jego, wielkiego poetę ironii i historii, dosięgła w Nowym Jorku ironia historii. Tam dowiedział się o wybuchu wojny trzech największych mocarstw europejskich przeciwko Rosji. I o tym, że w Turcji powstają polskie formacje wojskowe. Do historii wojna ta przeszła pod nazwą wojny krymskiej. Ale któż w roku pańskim 1853 czy 1854 mógł wiedzieć, że teatr tej wojny będzie tak ograniczony i peryferyczny, że pożar jej nie obejmie ziem polskich, że wstrząśnie ona tylko olbrzymem rosyjskim, ale go nie powali? „Może nie dożyję dru-

giej chwili równie dla Ludzkości i Ojczyzny ważnej", pisał Norwid w maju 1854 r. do księży Jełowickiego i Semenienki.

W tej nowej sytuacji decyzja przeniesienia się do Ameryki wydała się pociecie gorzej niż tragiczną omyłką. Wydała się grzechem. Statki towarowe przewoziły biedotę europejską z Hamburga czy Liverpoolu za grosze. Ale z Ameryki do Europy jeździli tylko zamożni ludzie, i na podróż taką, już statkiem pasażerskim, trzeba było funduszy, których Norwid, mimo że zarabiał nieźle, nie posiadał. Zwrócił się więc z rozpaczliwymi listami do Mickiewicza i Herzena. Mickiewicza błagał, apelując do jego „ojcowskiego sumienia”, aby orędownął za nim u Ksawerego Branickiego czy Rogera Raczyńskiego. Pisał, że pieniądze są mu potrzebne na podróż „do Polski albo do Turcji”. Tak realnie rysowały mu się wtedy, w rozgorączkowaniu wiadomościami o wojnie, możliwości powrotu do kraju. Herzen był tylko jego przelotną znajomością. W liście przypomina mu się, że spotykali się w Paryżu „chez Madame Herwegh, rue du Cirque Nr 10, en 1848 et 49”. Ale wiedział, że to człowiek życzliwy Polakom i — bogaty.

Jak się zdaje, ani Mickiewicz, ani Herzen na listy te nie odpowiedzieli, a napewno nie dostarczyli żądanej pomocy. Sytuacja — dopóki nie znalazło się wyjście w postaci szczodrej pomocy Marcellego Lubomirskiego, utracjusza, który uciekł do Ameryki przed wierzycielami, a w r. 1854, otrzymawszy schedę po matce, wracał do Europy i zabrał Norwida ze sobą — wyglądała na beznadziejną. Już po powrocie z Ameryki pisał Norwid do Michała Kleczkowskiego: „wyjechać musiałem, iż w taką popadłem melancholię, która mało mnie od obłąkanego odróżniała”.

Stanowisko amerykańskiej opinii publicznej wobec nowej wojny czyniło pobyt poety w Stanach jeszcze dotkliwszym i musiało go jeszcze bardziej zrażać do Ameryki. Oficjalnie Stany były w konflikcie neutralne, ale opinia publiczna opowiedziała się po stronie Rosji. Nie dla jakichś sympatii do caratu. Kiedy po upadku powstania węgierskiego Kossuth udał się do Stanów, był tam podejmowany jako bohater walki o wolność. Zaważyły tu inne względy: w pewnej mierze zasadniczo wroga postawa wobec polityki kolonialnej mocarstw, a przede wszystkim konflikty polityczne, jakie zadrażniały stosunki polityczne Stanów z obu mocarstwami zachodnio-europejskimi. Nie było takiej płaszczyzny starć z Rosją.

Dopiero w takim kontekście historycznym staje się rzeczą zrozumiałą, dlaczego Norwid tak namiętnie starał się z Ameryki wyrwać i dlaczego niemożność wyjazdu wtrąciła go w rozpacz, która groziła pomieszaniem zmysłów.

Wybuch wojny krymskiej zadecydował o tym, iż Norwid postanowił wracać do Europy. Co wcale nie znaczy, aby jego proces aklimatyzacji w Ameryce przebiegał lekko.

Ciążyła mu samotność. Był w stosunkach osobistych człowiekiem trudnym, drażliwym — tym drażliwszym, że jego miłość własną raz po raz raniła konieczność zwracania się do obcych

po pomoc pieniężną — ceremoniantem. Ale przy tym wszystkim wcale nie był stworzony na samotnika i w późniejszych latach długo i boleśnie będzie się uczył samotnictwa.

I prawdą jest też, że doskwierał mu brak śladów starej europejskiej tradycji. Starał się też stworzyć na swój prywatny użytek jakąś jej namiastkę. Wzruszający ślad tego mamy w liście do Marii Trębackiej z 22 lutego 1854 r.:

„Cieszę się z tego czasem, że kiedy śnieg na dworze, ogień się czerwieni w kącie izdebki mojej, której wnętrze sam sobie wymalowałem i opasałem barelfem *en grisaille*, przedstawiającym różne sceny ze starożytnej i nowożytnej historii — dodałem także medaliony mężów wielkich, ale podług znajomych i przyjaciół. August Cieszkowski jak Sokrates, kto inny jak Plato, kto inny jak Aleksander, kto inny jak Safo”.

Przygnębiało go też zmaterializowanie otoczenia. Ale i tu w ocenie trzeba zachować odpowiednią perspektywę. W wykładach „O Juliuszu Słowackim” wspomina Norwid, że czytywał w Ameryce Emersona. Kiedy przyjechał do Stanów, mógł w witrynach księgarni nowojorskich widzieć „Moby Dicka” Melville’a. W tym samym roku 1854, w którym opuszczał Stany, wyszedł „Walden” Thoreau. Prawdopodobnie ani książek Melville’a, ani Thoreau nie miał w ręku. Ale nazwiska te powinny być ostrzeżeniem przeciwko łatwemu, ryczałtowym ocenom. Wyobraźmy sobie na chwilę, że los rzuca Norwida bez dobrej praktycznej znajomości języka, z dala od ludzi bliskich między episyjów, powiedzmy, Lyonu. Też by mu dokuczało groszorbstwo otoczenia. Tylko, że bez amerykańskiego rozmachu.

Miał zresztą ten pobyt w Ameryce i jedną jasną stronę. Oto po raz pierwszy i jedyny w życiu Norwid potrafił tam zarobić na utrzymanie jako artysta grafik. I to zarabiał dobrze. Nie była to dlań błaża okoliczność. Już w pierwszym amerykańskim liście do Trębackiej pisał:

„Znam jednego artystę, nie bardzo i cenionego na świecie i u siebie, któremu za rysunek tej wielkości co pół tego listu płacą 20 franków na monetę francuską — przy drożyznie więc tutejszej można żyć i innym być użyteczny”.

Temat ten nawraca i w jednym z następnych listów. I to w jakże wymownym sformułowaniu:

„Jestem tu w tym społeczeństwie najzupełniej mi przeciwnym i ze wszech miar innym i obcym dlatego, że mi potrzeba materii, ażeby nie być fałszywym człowiekiem. Mogę tu żyć z pracy rąk moich, co jest prawdziwą poezją”.

W późniejszych latach Norwid będzie do tych zarobków raz po raz nawracał i raz po raz przypominał swoim korespondentom, że w Ameryce nie był jako artysta bezużyteczny, że talent jego znalazł tam swoje zastosowanie, że potrafił się tam utrzymać

z pracy rąk swoich (2). Jest w tych uporczywie nawracających przypomnieniach element samoobrony. Jeśli sztuka jego mogła znaleźć zastosowanie w Ameryce, to nie jest ona bez wartości. Ale łączą się te przypomnienia także — i to przede wszystkim — z jego przemyśleniami na temat społecznej roli sztuki. Współczesną sobie cywilizację europejską potępiał między innymi i dlatego, że widział w niej rozdział między sztuką a życiem. Sztuka przestała w niej być integralną częścią życia społecznego, stała się czymś marginalnym, luksusem. To że artysta może się utrzymać ze swojej sztuki, świadczy o tym, iż wypełnia on swoją funkcję społeczną, że ma swoje miejsce w organizmie społecznym. Zgodnie z takimi poglądami, mimo że miał wielkie trudności ze znalezieniem wydawców, domagał się za druk utworów swych honorariów autorskich, choćby i nominalnych honorariów. Nie szło tu wyłącznie o pieniądze, ale i o zasadę, dla której gotów był ryzykować i bez tego słabe swe możliwości druku.

Im dalej w czas tym te zarobki amerykańskie nabierały większej wartości w oczach Norwida. Stawały się dlań symbolem właściwych, zdrowych stosunków między artystą a społeczeństwem. „Mam publiczność artystyczną i w Europie i w Ameryce dla mnie”, pisał w r. 1869 do K. W. Wójcickiego. Najwymowniejszym jest tu list, pisany z przytułku św. Kazimierza na trzy miesiące przed śmiercią, w lutym 1883 r., do Franciszka Duchńskiego. Norwid winien był Duchńskiemu jakieś pieniądze. Nie miał czym długu spłacić, zaproponował mu więc transakcję. Na umorzenie długu pośle swą akwarelę, ale pod warunkiem, że Duchński dopłaci jeszcze 15 franków, bo wtedy dopiero suma równać się będzie cenie akwareli. I dodawał dla wytłumaczenia swego postępowania:

„Dołączać nie mam co, że po amerykańsku robię te rzeczy, albowiem nie tylko należy bywać Izraelem dla Biblii — Ateńczykiem dla niewiast — Rzymianinem dla mężów i Amerykaninem w treściach oceny i pracy — ale jeszcze przecież ja w Ameryce to praktykowałem był! i lepiej niż tu.

„Tak należy się, aby interes był jasno — prosto — obustronnie korzystnie stawianym”.

Rok 1863 pokazał, jak daleko potrafiły pójść sympatie Norwida dla Stanów Zjednoczonych. A był to rok, w którym interesy polityczne amerykańskiej Północy i niepodległościowe polskie znalazły się w kolizji. Ameryka jest wtedy w trzecim roku wojny domowej. W wojnie tej mocarstwa zachodnie, Francja i Anglia, popierają Południe i uznają za stronę wojującą południową Konfederację. Rosja, w której żywa była jeszcze wtedy pamięć świeżej klęski, poniesionej w wojnie krymskiej, i która

(2) Zob. listy do Bohdana Zaleskiego z r. 1855, do Michała Kleczkowskiego z września 1856 r., do J. I. Kraszewskiego z r. 1867, do Bronisława Zaleskiego, Augusta Cieszkowskiego, Zofii Radwanowej i Ludwika Na-bielaka, wszystkie z r. 1868, do K. W. Wójcickiego z r. 1869.

obawiała się, iż rozbicie się Stanów na dwa wrogie sobie państwa wzmoże pozycję polityczną mocarstw zachodnich, popierała abolicjonistyczną Północ. W r. 1862 istniała groźba angielsko-francuskiej interwencji w wojnie. Zanosilo się na brytyjską blokadę morską Północy. Storpedował pomysł takiej blokady Petersburg oświadczając, iż w razie ogłoszenia jej opowie się po stronie Północy.

Wszystkie polskie nadzieje w rozpaczliwie nierównej walce zbrojnej wiązały się z możliwościami interwencji Zachodu. Dyplomatyczna interwencja przysłała w lutym i marcu 1863 r. Rosja odpowiedziała na nią, że powstanie to wewnętrzne sprawa rosyjska, do której państwa zachodnie nie mają prawa się mieszać. Dalsze noty państw zachodnich w sprawie polskiej poszły do Petersburga 17 czerwca. Równocześnie francuski minister spraw zagranicznych, Drouyn de Lhuys, sondował Londyn na temat możliwości przejścia do akcji militarnej w razie ponownej odmowy. W Rosji liczone się z ewentualnością takiej wojny.

I oto w takiej to sytuacji przychodzi do skutku w lecie 1863 r. wizyta eskadry rosyjskiej floty wojennej w Nowym Jorku i w San Francisco. W Ameryce żywa wtedy jeszcze była pamięć groźby brytyjskiej blokady z 1862 r. i rosyjskiej interwencji, która ją uniemożliwiła. Wizytę floty zrozumiano jako dalszą przyjacielską demonstrację. W obu portach marynarze rosyjscy byli gorąco fetowani jako przyjaciele Północy.

Dziś wiemy, że wizyty te nie były proamerykańską demonstracją, ale asekuracyjnym zabiegiem na wypadek wybuchu wojny z mocarstwami zachodnimi. Flota rosyjska była słaba i technicznie przestarzała. Drewniane jej okręty zaopatrzone były co prawda w maszyny parowe, ale używano tych maszyn jedynie w wyjątkowych wypadkach. Zasadniczo była to flotylla żaglowców. Na wypadek wybuchu wojny — rozumowali Rosjanie — okręty takie w bazach rosyjskich bez trudu mogłyby zostać zniszczone przez bez porównania silniejszą i lepiej wyposażoną flotę brytyjską. W portach amerykańskich były one bezpieczniejsze.

Z tych wszystkich względów zdajemy sobie sprawę dzisiaj, mądrzejsi o studia historyków. Nie domyślała się ich opinia publiczna Stanów Północnych. Widziała w wizycie po prostu przyjacielską demonstrację wobec kraju, uwikłanego w ciężką wojnę na śmierć i życie. Nic dziwnego, że reagowała na nią głośno, nie szczędząc Rosjanom wyrazów przyjaźni. Za to zawrzało w prasie paryskiej. I nie tylko w prasie. Broszura Félix'a Aucaigne „L'Alliance Russo-Américaine” piętnowała sojusz *yankee-tartare* i wygrywała przeciwko Ameryce sprawę polską. „On ne peut s'empêcher de reconnaître — pisał Aucaigne — qu'il y a plus d'une analogie frappante entre les événements de Pologne et ceux d'Amérique”.

Trzeba mieć ten kontekst historyczny w pamięci, aby odpowiednio ocenić Norwidową obronę polityki Północy w jego

liście do Karola Ruprechta, członka powstańczego Rządu Narodowego:

„Powiem więc Ci *nad-naturalnie*, to jest: nie wedle sentymentów, nerwów i przyzwyczajęń, ale wedle przekonań i idei na miejscu doświadczeniem *naprzód* wypróbowanej — a przeto *nad-naturalnie*, nie zaś *naturalnie*.

„Ameryka północna dla niczego na świecie nie zmieni Republikańskich zasad.

„Jest wolną w umyśle swym, i dlatego z każdym łatwo traktuje, ale kto by jej *dotknął republikańskich jej zasad*, wyrzuci go precz — przyjęcie eskadry Petersburskiej pochodzi z dwóch przyczyn: 1^o dlatego iż Amerykańskiemu umysłowi *wszystko a wszystko* proponować można i niczym *jako wolny* nie uprzedzi się i nie obruszy się — 2^o dlatego: że oni, granicząc z Rosją, jak my np. z Austrią (mniej tym, że Rosja nic Ameryce nie zabrała), uważali od dawna za stosowne stworzyć sobie *Amerykańską partię* w Imperium Petersburskim.

„Tylko wolni ludzie, tylko ci, co nie są od kolebki żelazem napiętnowani jako *niewolnicy*, wiedzą o tym: że granicząc z Rosją trzeba w niej mieć *swą partię* — inaczej albowiem spotykają się zawsze dwa *monolity*, nic pośredniego niemające — a skoro dwa monolity się zetną z sobą, zostaje nicstwo i trzaskanie się sił ostateczne. Moskwa mogła mieć *swą partię* w Polsce Republikańskiej... ale Polacy w Rosji nigdy się o to nie pokusili — sensu tyle politycznego nie mając! Polakom ubliżałoby to, by tyle sensu politycznego mieli, żeby stworzyć sobie partię *swą* w Rosji, z *którą graniczyć na wiek wieków muszą*: albowiem Polacy rachują raczej na (jak to mówią) *poświęcenie krwi pokoleń co 15 lat* — na *periodyczną rzeź* niewiniątek, aż Bóg z obłoków wyjrzy, co też i prorocy Polscy zapowiedzieli dawno — *wiedząc co nastąpi!*

„Jeżeli więc w New York ugłaszają Eskadrę Rosyjską, to z trzech powodów: 1^o że są ludzie umysłów wolnych — 2^o dlatego że, granicząc z Rosją, umyśliли byli zdawna mieć swoją amerykańską partię w Rosji — 3^o z powodu, który jest *grzechem polaków, grzechem społeczności niewołującej nigdy myślą i niemającej żadnej wiary w siłę myśli i prawdy* — albowiem z powodu: iż *belwederczyk*, hrabia Adam Górowski, napisał po angielsku dzieło rozpowszechnione w Ameryce, a dzieło *wykazujące logicznie, iż cała przyszłość republikańizmu na świecie zależy od podbicia sobie przyszłości Rosji*. Pismo to w liczbie kilkakroć tysięcy rozeszło się w Ameryce i przygotowało umysły”.

Z pasją pisana jest ta diatryba. „Żrąca jest i paląca” gorycz jej mowy. Wiadomo, Norwid bardzo a bardzo krytycznie odnosił się do powstania. Ale to jeszcze wszystkiego nie tłumaczy. Norwid z takim gniewem odpowiada tu Ruprechtowi także i dlatego, że krytyka polityki amerykańskiej dotknęła go w jego zasadach republikańsko-demokratycznych. Urzeczywistnienie takiego ustroju widział w Ameryce i Amerykę dla takiego do ustroju cenil. Ileż wymowy ma tu zjadliwa aluzja do zabiegów o względy Austrii. Szło o to, że rząd powstańczy starał się o zapewnienie sobie życzliwości Wiednia. Staracie się o względy Austrii — wytyka tu Norwid Ruprechtowi — bo wam są one potrzebne, a oburzacie się na prorosyjską politykę Stanów Północy, mimo że Stany z Rosją

żadnego poważnego konfliktu nie miały (co nb. jest prawdą) i mimo że Stanom powinno zależeć na Rosji, bo to ich sąsiad (zwrotu o „graniczeniu z Rosją”, oczywiście, nie można brać dosłownie, ale Rosja była wtedy jeszcze i państwem amerykańskim: miała Alaskę).

W swej pasji, a trochę i prowokacyjnie, z wrodzonej mu przekorności, szermuje tu Norwid wobec swego korespondenta i Gurowskim, interesującą choć arcynieciekawą moralnie figurą, podobnie „szalonym Polakiem” (tak go tam przezwano) z otoczenia Lincolna, namiętnie oddanym propagandzie abolicjonizmu i zbliżenia amerykańsko-rosyjskiego (Marx podejrzał, że to intrygi prorosyjskiego Gurowskiego pozbawiły go stanowiska korespondenta nowojorskiej „Daily Tribune”). Ten apostata narodowy figuruje tu z epitetem „belwederczyka”.

Jak zwykle u Norwida, namiętności jego znajdują swój wyraz również i w swoistej pisowni, wymownej także i w swoich niekonsekwencjach: „Republikańskie zasady” pojawiają się tu po raz pierwszy, pisane z dużej litery, ale kiedy Norwid przechodzi do piętnowania tego, co uważa za bezmyślność polskiej polityki, wtedy pisze o „grzechu polaków” (jeśli wolno wierzyć dokładności Miriamowego wydania „Listów” Norwida z 1937 r.).

I jak zazwyczaj u Norwida, poza tym wybuchem pasji znajdujemy pewien system przemyśleń. Ludzie niewolni nie mogą sobie pozwolić na racjonalną politykę. W działaniu politycznym kierują się, jakbyśmy dziś powiedzieli, urazami, a jak Norwid pisze, „wedle sentymentów, nerwów i przyzwyczajęń”. Kierowanie się odruchami jest dla takich ludzi czymś *naturalnym*. Dlatego to Norwid uprzedza swego adresata, że będzie mówił „*nad-naturalnie*”, bo „wedle przekonań i idei”. Amerykanie są ludźmi wolnymi. Mają swe zasady, „republikańskie zasady”, których nie pozwolą ruszyć. Ale poza tym, właśnie dlatego że są wolni, mogą sobie pozwolić na politykę zgodną ze swymi interesami, nie odruchów lecz przemyśleń.

Mniejsza o to, o ile słuszna jest ta teoria, głosząca, iż politykę demokracji wyróżnia kierowanie się racjonalnymi przesłankami, a nie odruchami. Nie każdy myśliciel pisałby się na nią. Wystarczy przypomnieć, iż na biegunowo odmiennym stanowisku stał Platon. Istotnym dla nas jest tu co innego. Oto w teorii takiej znalazł wyraz kult demokracji i w związku z tym kult ustroju Stanów Zjednoczonych, wcielającego te zasady republikańskie w życie. Te same poglądy znalazły wyraz w wierszowanym traktacie, w późniejszej o lat kilka *Rzeczy o wolności słowa*. Tam znów jako przykład Norwid wysunie ustrój Stanów Zjednoczonych. Ustrój ten, dowodzi, przenika pewna idea, „słowo”, która potrafiła opanować ludzi różnych tradycji, „korzeni”. I w tym jego wielkość:

*Nie rodzimość to bowiem języka zrobiła
W Ameryce parlament, ale słowo-siła,
Tworząc świat cały nowy, jak niebieskie ciała*

*Za dni pierwszych, gdy twórczość byty wymawiała.
Nie język przenajczystszy genezą korzeni
Waszyngtonowi orła dał i garść promieni,
Lecz Ten, co ze wszech figur i ze wszech przymiotów,
Ze wszystkich tkan, ze wszystkich uciszeń i grzmotów
Czyni ogromną aurę wolności sumienia:
Wysokość sfery słowa, nie wartość korzenia!*

Nie zdziwi nas zatem, że Norwid przeznaczył Ameryce specjalną rolę w swojej historiozofii, w tym co nazwał „archistrategią dziejów”. Każda cywilizacja — wywodzi on w czwartym z wygłoszonych w r. 1860 wykładów „O Juliuszu Słowackim” — miała dwa bieguny, punkt wyjścia i punkt zamierzchu swego”. Dla starożytnego Izraela takim „punktem zamierzchu” jest Samaria, dla Rzymu — Galia. Jak z wywodów Norwida wynika, ten „punkt zamierzchu” należy rozumieć jako nową cywilizację, która pierwotnie dawnej upodrzedniona, z czasem ją przewyższa, okazuje swą nad nią wyższość. Tak było z Samarią w stosunku do Jerozolimy: „Nie Syjonu obywatela, ale Samarytanina Pan okazał być pierwszym i wybranym”. Galijska Marsylia była pierwotnie kolonią karną Rzymian. Po wiekach Galia-Francja okazała swą przewagę nad Rzymem: „Jakkolwiek znowu z Galii na Kapitol weszli mężowie silni, a chorągiew Łazarza i Magdaleny do Galii wynanych powiała nad murami Watykanu”, — głosi Norwid w r. 1860, kiedy to wojsko francuskie stało garnizorem w papieskim Rzymie. Podobnie ma się rzecz ze stosunkiem Europy do Ameryki: „Jak zaś Jeruzalem do Samarii i Rzym do Marsylii, tak następnie całe średniowieczne katolickie imperium ma się do Ameryki. Samarytanin i Marsylczyk amerykański w osobie Washingtona pogroził znów staremu światu palcem, a w osobie Anglii odepchnął go”.

Podobne przeciwstawienie Europy i Ameryki zagra też w „Tajemnicy lorda Singelworth”. Osobliwa ta nowela powstała w r. 1877. Był to rok, w którym Norwid poddał się w walce z przeciwnościami żywymi. W lutym został pensjonariuszem Zakładu św. Kazimierza, z którego nie wyszedł już do końca dni swoich. Zrywa wtedy wszelkie stosunki towarzyskie, zamyka się w sobie.

„Tajemnica lorda Singelworth” jest nowelą, opartą na humorze skatologicznym. Jak — co już Miriam zauważył — u Swifta. I jak u Swifta skatologia ta jest wyrazem ostatecznej mizantropii. Lord Singelworth, gdziekolwiek się w świecie znajduje, dokonywa codziennych wycieczek balonem. Robi to i w Wenecji. Tajemnicze te wloty silnie intrygują weneckie towarzystwo. Powstają na ich temat rozmaite teorie. Jedni uważają, że lord wznosi się w powietrze dla dokonania obserwacji meteorologicznych. Dla innych kluczem do rozwiązania zagadki jest rzekomo spady z balonu papier „bez napisów i jedynie czytelny dla nosów policji Jego Cesarskiej Mości”. Przypuszczają oni, że lord Singelworth załatwia w powietrzu swoje potrzeby fizjologiczne. Dochodzi do

zakładu. Na wniosek narratora zakładający udają się do ekscentrycznego Anglika z prośbą o wyjaśnienie zagadki. Okazuje się, że te wycieczki balonem to gest protestu. Lord Singelworth odrywa się od ziemi, wznosi w powietrze, bo tylko tam w górze jest czysto. „Ludzie nie są jeszcze czysti... są dopiero perfumowani”. W tych wyjaśnieniach lorda Singelwortha ze skatologicznej groteski przechodzimy w oskarżycielski patos. Ale i ten patos znajduje swój wyraz z swoistych terminach. Piękna Wenecja z jej arystokracją i wspaniałymi pałacami to kloaka, pełna kału. Kloaką jest współczesna cywilizacja: „Tymczasem miasta wasze, siedziby i społeczności sklepią się, budują i rozwijają na kloakach”. Patos ten ma mocne akcenty społeczne: „Prawda jest, że te i owe municypalności walczą mężnie, lecz ażeby usunąć nieco falangę kału, muszą one całą falangę ludzi zdegradować, zamieniając ich w bryły bez powonienia i bez towarzyskiego wdzięku, i z którymi do stołu sięść nikt nie chce”.

Nowela ma charakter kompensacyjnej fantazji. Pójście do przytułku było dla Norwida straszliwym upokorzeniem, zejściem poniżej poziomu jego otoczenia. Lord Singelworth szybuje w balonie. Jego „tajemnica”, tak jak ją sobie towarzystwo weneckie rozszyfrowało, ma więc wymowę grubiańskiego, dosadnego oświadczenia, złożonego przez Norwida społeczeństwu i tej cywilizacji, która go tak ostatecznie pogubiła. Przeskok w skatologię, obscoena (w noweli wspomniany jest gubernator rosyjski o nazwisku „Kutasów”) nabiera tu szczególnej wymowy na tle znanej skłonności Norwida do dyskrecji wyrazu, elegancji, finezji gestu. „Tajemnica lorda Singelwortha” to jego „Tymon Ateńczyk”. I jeśli gdzie, to tu właśnie można mówić o reakcji pisarza, który się poczuł „pogruchotany na resztę życia”.

Otóż z tego to globalnego potępienia wyłączył Norwid Amerykę. Zrobił to za pomocą krótkiego, marginesowego, ale tym niemniej bardzo wymownego komentarza narratora, wypowiedzianego „szczerze i na stronie”, a więc z zawieszeniem wszelkich ironicznych akcentów, których w noweli nie brak. Komentarz to do relacji o tym, jak interpretuje wyczyny lorda Singelworth jedna z postaci noweli, improwizator Toni di Bona-Grazia:

„Natomiast improwizator Toni di Bona-Grazia z większym niż kiedy zapalem głosił, że ulatujący podróżnik jest mężem misji, jest uprzedzicielem i zwiastunem wielkiej epoki nowej, która ma stać się dla ludzkości całej rodzajem puryfikacji i czymś do *Revivalu* amerykańskiego podobnym... *revivalu*, o którym (mówiąc i szczerze i na stronie) ani nasz stary, *ukształcony i niewolniczy* kontynent nie ma słusznego pojęcia, ani byłby na siłach, ażeby go u siebie spróbować i zaszczepić!”.

Rewiwalizm to ruch protestancki, wyrosły z pietyzmu, szczególnie żywy w Ameryce. Wywodzą się z niego baptyści i metodyści. Ale Norwid lubił słowa etymologizować, przywracać im „wydźwięk pierwszy”. I tu również, jak wskazywałby kontekst, „revival” należy najprawdopodobniej rozumieć po prostu w

pierwotnym znaczeniu etymologicznym jako „odrodzenie”. Tylko wtedy jasno się tłumaczy jego aspekt polityczny: przecież Ameryka zostaje tu przeciwstawiona „niewolniczej” Europie.

Jak widzimy, Norwid żywił kult dla Ameryki jako kraju demokracji. Demokracji politycznej i społecznej. Tej drugiej przede wszystkim. Społeczeństwo amerykańskie, nie znające przesądów społecznych, raz po raz przeciwstawiać będzie własnemu, polskiemu. Przeciwwstawienie to pojawi się pod jego piórem w różnych tonacjach.

Lelewelowska „Historyczna paralela Hiszpanii z Polską” spopularyzowała myśl o analogiczności kolei losów historycznych i warunków społecznych obu krajów. W r. 1868, na wiadomość o ogłoszeniu w Hiszpanii republiki, Norwid snuje następujące refleksje w liście do tegoż Karola Ruprechta, któremu tak się do stało za krytykę polityki amerykańskiej w r. 1863:

„— Stan Europy jest taki: jeśli *Hiszpania* Republiką, to *po ciesznie wielkie dla Polski* — nie polityczne ale historyczne; albowiem: jeśli taki heroizm, nabożeństwo, bezpraktyczność, ciemnota-w-ludzie, szlachetność-w-indywiduach, przeszłość momentalnie Republikancka, Don Kichotyzm, pretensje Epiczne itd., itd., itd. — zdolają wynieść na widnie po Republikancku, to zupełnie że dla Ojczyzny naszej otucha! — to zupełnie dla *Europy nieusprawiedliwienie*. *Może to będzie pierwszy krok Ameryki* — przez kolonie hiszpańskie — przez Kube — przez Ocean, który jest zbliżeniem, nie oddaleniem”.

„Może to będzie pierwszy krok Ameryki”: Ameryka występuje tu w nowej roli. Nie tylko jest krajem demokratycznym, ale też misją jej jest rozpowszechnianie demokracji w świecie.

Kiedy indziej to samo przeciwstawienie pojawi się w tonacji humorystycznej. Tak jest w świetnej, ilustrowanej rysunkami-karykaturami, anegdocie o dwóch szlagonach, którzy wyemigrowali do Ameryki i tam postanowili sobie wzajemnie kucharzować:

„Kiedy byłem w północnej Ameryce, było tam dwóch szlachciców, byłych kapitanów, z wąsami sporymi. Ci ułożyli się demokratycznie, że będą żyć w braterstwie-swiątym i że skoro jeden będzie pracował na mieście, to drugi ugotuje jemu obiad — a obydwaj mieli kuchenne znajomości dość rozległe, ale obydwaj, mimo Amerykańskiego powietrza demokratyczny wpływ, byli szlachcice. I kiedy się tak po bratersku ułożyli i uściskali rzewnie, jeden kapitan wyszedł na miasto, drugi zaś przygotowywał obiad i bardzo cieszył się, wyglądając chwili urzeczywistnienia ich wzajemnej konstytucji gospodarskiej... i przyszła ta chwila, i oto drugi wraca i zastał nakryty stół. Siada — towarzysz, brat, kapitan podaje zupełny. Ten, który siadł do stołu, zaledwo łyżką dotknął zupy i wargami jej chłypnął, odwraca się do kolegi swego i mówi:

„.....cóż to?? przydymiona!?”
na to kapitan-kucharz *paff!* go w policzek... i tak się skończył pierwszy i ostatni obiad tych dwóch obywateli, którzy na końcu świata zapomnieć pierwiej nie umieli, iż każdy z nich miał być kiedyś kucharza”.

W jednym z ostatnich swych listów wspomina Norwid amerykańskiego nababę w Paryżu, którego dochód roczny miał wynosić 72 miliony (w nie oznaczonej bliżej walucie). I dodaje ironicznie: „Po polsku mówiąc, nieszczęśliwy człowiek! bo *gdzież znajdzie stosowną partię???* ale że to amerykańnin, więc ożeniwszy się z damą bez grosza, będzie ją kochał i poważał”. Gorycz tej ironii łatwo jest zrozumieć. Norwid wytłumaczył przecież sobie swe niepowodzenia wobec pani Kalergis różnicami majątku i pozycji społecznej. I w związku z tą osobistą tragedią szczególnie rolę w jego przeciwstawieniach Polska-Ameryka odegra motyw Kościuszki.

W młodości swej Kościuszkę kochał się w Ludwice Sosnowskiej, córce hetmana polnego litewskiego. Panna była mu wziętną, ale dumny ojciec uważał biednego kapitana za nieodpowiednią partię dla swej córki. Legenda chce, że został potraktowany kijami przez służących Sosnowskiego. Ostatecznie Kościuszkę wyjechał do Ameryki, a panna wyszła za mąż, znalazłszy „stosowną partię”, księcia Józefa Lubomirskiego. W Brooklynie spotkał się Norwid z innym Lubomirskim, księciem Marcelem, wtedy emigrantem i obywatelem republiki, za której wolność walczył Kościuszkę. Widział w tej odmianie losów swoją ironię historii. Pisał o niej w zakończeniu „Białych kwiatów”: „*Księżę obywatel Rzpltej amerykańskiej* przyjmował radośnie to: *wet za wet po wieku...*” „Sosnowcy” staną się pod jego piórem synonimem pychy magnackiej, tak w poezji („Na pokładzie Marii-Stelli”), jak i w korespondencji. W r. 1876 Polacy paryscy postanowili uczcić stulecie ogłoszenia amerykańskiej Deklaracji Niepodległości wybiciem medalu z podobizną Kościuszki. Zwrócono się w tym celu do Norwida, który odpowiedział brutalnym szyderstwem. Odpowiedział niepomaganie, z pasją, w której była i kropla szaleństwa, bo Kościuszkę był tu maską dla dania upustu własnemu poczuciu krzywdy. Szczególnej wymowy nadawała sytuacji obecność w Komitecie arystokratów, ks. Władysława Czartoryskiego i hr. J. K. Działyńskiego: oto teraz „Sosnowscy” chcą czcić Kościuszkę.

„Miałem dziś — pisał do Jana Szwańskiego — deputację, która ode mnie miała jechać do hotelu Lambert do X. Czart., do hr. Dział. i do W. Zaleskiego — deputację, abym uczestniczył w medalu dla Amerykańskiego jubileuszu wyzwolenia.

„Odpowiedziałem: że nic nie przyjmuję i nic nie zrobię. Że się od wszystkiego cofam, bo w niczym społeczeństwo polskie mnie nie uczestniczy.

„Że, jeżeli chcą wybić medal dla p. Kronenberga albo innego możnego (którego ceniał), to ja służę, albowiem uczucie ogółu będzie szczere, ale dla Kościuszki to tylko wtedy służyłbym, gdyby na medalu napisane było, iż *będąc kłtem wybitym i wypchniętym za drzwi przez rodaka, popłynął do Ameryki, która od razu poznała się na nim*”.

W r. 1863 w liście do Ruprechta Norwid tak namiętnie wystąpił w obronie Stanów Północy także i dlatego, że wojna ta pro-

wadzona była pod hasłem zniesienia niewolnictwa Murzynów. A sprawa ta bardzo leżała mu na sercu. W czwartym z odczytów „O Juliuszu Słowackim” wywodził, iż sprawa murzyńska jest dla Ameryki „biegunem ujemnym”. Owego „bieguna ujemnego” nie należy utożsamiać z owym „biegunem” z rozważań na temat prawidłowości cykliów cywilizacyjnych z tegoż odczytu, który jest „punktem zamierzchu” cywilizacji. Są to bowiem, jak tłumaczy, inne, „drugiej potęgi osie”. Takimi „ujemnymi biegunami” są też dla Anglii — Irlandia, a dla mocarstw rozbiorczych — Polska. Dla Polski takim „biegunem” była kiedyś sprawa kozacka, dla Francji zaś — jej rewolucje. A zatem, jak przykłady te wyrażnie wskazują, ów „biegun” na „drugiej potęgi osi” to to, co w mniej idiosynkratycznym języku nazwalibyśmy uciskiem, prześladowaniami obcych czy swoich w dziejach poszczególnych państw.

Tak pisał Norwid w r. 1860, kiedy dojrzewała już amerykańska wojna domowa. I kiedy musiał mieć jeszcze w świeżej pamięci sprawę abolicjonisty Johna Browna, skazanego na śmierć pod koniec 1859 r. za zbrojne wystąpienie, najazd na arsenał rządowy w Harper's Ferry, z którego chciał zrobić schronienie dla zbiegłych murzynów. Protestował przeciw temu wyrokowi w dwu wierszach „Do obywatela John Brown” i „John Brown”, które dziś należą do najbardziej znanych w jego dorobku. Protest tych wierszy brzmi mocno. Za wyrok na Browna oskarżona jest cała Ameryka („A ludzie bladzi, stłumieni i cisi Rzekną, iż w Brownie Ameryka wisi”). Wyzyskiwano też te wiersze niejednokrotnie dla antyamerykańskiej propagandy. Tak było np. w opowiadaniu Ewy Szelburg-Zarembiny „Pamiętam Norwida list do Ameryki”, ogłoszonym w złym roku 1952 w tomie „Spotkanie”. Zapomniano albo też nie chciano pamiętać, że jeśli Norwida wyrok na Browna przejął taką zgrozę, to dlatego, iż podobny wyrok mógł być wydany w kraju wolności, w kraju, który był nadzieją demokratów świata. Pisz o tym bardzo wyraźnie:

*Lecz oto właśnie tam, gdzie wolność sama
Całą się stawa tradycją narodu,
Na wskroś otwartą z wschodu do zachodu —
Gdzie dzieje nie są jak gmach, lecz jak brama:
Właśnie że owdzie, w Ameryce młodej,
Starzec, wiekowi swoim równy wiekiem,
Iż człowieczeństwem dzielił się z człowiekiem,
Krętszy mającym włos, czarne jagody;
Starzec szlachetny — i Mojżesz murzynów,
Głowę swą idzie nieść z głowami synów!*

Zwrócono już uwagę — pierwszy J. W. Gomułcki — że postać Norwida jest tu bliska tej, jaka znalazła wyraz w nieco później napisanym apelu Wiktora Hugo „John Brown”. W patetycznym tym apelu i Hugo daje wyraz przekonaniu, że wyrok na Browna rzuci hańbę na cały naród amerykański. I on podkreśla,

iż wyrok wstrząsnął nim właśnie dlatego, że wydany został w kraju, który jest natchnieniem demokratów całego świata:

*„L'attentat prend les proportions de la nation qui le commet;
et quand on se dit que cette nation est une gloire du genre humain,
que, comme la France, comme l'Angleterre, comme l'Allemagne, elle
est un des organes de la civilisation, que souvent même elle dépasse
l'Europe dans de certaines audaces sublimes du progrès, qu'elle est
le sommet de tout un monde, qu'elle porte sur son front l'immense
lumière libre, on affirme que John Brown ne mourra pas, car on
recule épouvanté devant l'idée d'un si grand crime commis par un
si grand peuple!” (3).*

Reakcja Norwida przy całej swej sile oburzenia i ostrości potępienia była więc — jak u Wiktora Hugo — reakcją człowieka, który wierzył w misję demokratyczną Stanów Zjednoczonych. Wolno nawet pójść dalej: Norwid właśnie dlatego na wyrok ten zareagował tak gwałtownie, bo wierzył w amerykańską demokrację i wiadomość o wyroku w tej właśnie wierze go zraniła.

John Brown będzie odtąd dla Norwida jednym z wielkich chorążych postępu. Nazwisko jego stanie się dlań nazwiskiem-symbolem. Nad zniesieniem pańszczyzny w Polsce — czytamy w jego uwagach do Bronisława Zaleskiego z r. 1874 — pracowali „z potem czoła” tacy „bohaterowie” jak „liberatorowie niewolników (...) Washington i John Brown”.

Jeden jeszcze aspekt życia amerykańskiego zwrócił szczególną uwagę Norwida: amerykańska zdolność pracy i rozmach tej pracy. I tu również nasuwać mu się będzie pod pióro gorzkie przeciwstawienie stosunków polskich i amerykańskich. Najmocniejszy wyraz przeciwstawienie to znalazło w pięknej, jednej z najpiękniejszych i najgłębszych jakie napisał, rozprawce z 1864 r. „Do Spartakusa (o pracy)”:

*„Wiadomo jest wszystkim na świecie, że praca odnosi się swoją
dzielnością i obfitością do miary wolności; — gdzie więcej wolności,
tam i pracy więcej, i o ile wolniejszym społeczeństwo, o tyle dziel-
niejszą jest i praca.*

*„Od pamiętającej potop Niagary do brzegów Wisły, i od Nilu
do Bałtyku pojrzyjcie sprawdzenia szukając. W Persji, w Turkiestanie,
na Ukrainie szlachcic ma kilkudziesięciu służących, z których każdy
ze wstrętem się budzi, ze smętkiem liberię wkłada, i potem — skoro
o posługę zawołasz — wszyscy biegają szukać jeden drugiego, i wszy-
scy stękają i kłaniają się, i nikt nie jest nigdy usłużonym. W Anglii
jeden służący robi tyleż i jest bardzo zadowolony z siebie obywatel.
W Ameryce on zakontraktowanym jest w to zajęcie jak każdy bliźni*

(3) Polski przekład apelu Hugo przytoczył niedawno prof. Zdzisław Libera w rozprawce „Norwid o Johnie Brownie”, ogłoszonej w zbiorowych „Nowych studiach o Norwidzie”, Warszawa, 1961, str. 88-90, ale przytoczył go w tekście okaleczonym, z którego wypuszczono zacytowany tu ustęp.

jego człowiek, i wie, że może jutro kontrakt jego skończy się, a on potem robić będzie co innego, a on może i prezydentem kiedyś Rzeczypospolitej być zamierzy, co gdyby uwzględnić się dawało, wotować będzie na niego obywatel, któremu on dawniej usługiwał.

„To są ludzie — to są mężowie pokory Homerycznej...”.

W r. 1863 Norwid myślał o założeniu polskiej gazety w Paryżu. Nic z tego nie wyszło. Rozgoryczony, przypisywał niepowodzenie swego pomysłu marazmowi kulturalnemu środowiska. I przeciwstawiał mu stosunki amerykańskie: „W Ameryce uparty bój-ciągły zupełnie inną się mierzy skalą, z powodu iż tam każdy człowiek czytać umie i czyta, a najniepopularniejszej rzeczy druk, NA PRÓBĘ WYDAWANY, drukuje się w liczbie 60.000 egzemplarzy”.

Rozgoryczenie znalazło też swój upust w wierszu „Gadki”, który musiał cenić, skoro włączył go do cyklu „Vade-mecum”. I ten wiersz jest zbudowany na przeciwstawieniu stosunków polskich i amerykańskich. Polacy, czytamy tam, lubią godzinami rozprawiać o polityce. Amerykanie, ceniący czas, ekonomiczniej i sprawniej zaspakajają swoje zainteresowania polityczne, zakładając dziennik (nie przewidywał Norwid przed stu laty potwornej elephantiasis gazet amerykańskich). Ale w poincie wiersza przeciwstawienie to ironicznie odwraca się przeciwko samemu sobie:

*Pytasz: „Czemu?... gdziekolwiek są Amerykanie,
Choćby ich było tylko stu — lub ani tyle —
Mają Dziennik, który się rozwinąć jest w stanie?”
Czemu?? — bo wyżej złota cenią oni chwile —
Lecz gdyby mieli zwyczaj przez całe godziny
O polityce gadać — byłby Dziennik wszędzie
I nigdzie... byłoby coś, z czego nic nie będzie...
— Skutki to wielkie!... lubo niewielkie przyczyny.
Mówisz: — „Gdybyśmy byli jak Amerykanie,
Którym to jest właściwym...” —
...przerywam Ci, Panie,
Bo w żagle dmiesz, a nie chcesz dobywać kotwicy:
Amerykanie któż są?... — Europejczycy!*

W pięć lat później, w r. 1868, zachwycać się będzie rozmachem, z jakim rozwijają się instytucje kulturalne Chicago:

„Wiesz, — pisał do Ludwika Nabelaka, — iż w Ameryce (u tych Amerykanów, których uczony Niedźwiecki ma za ładą co) jest, mówię, miasto nad jeziorem Michigan. Miasto to (Chicago) jest amerykańskim Lipskiem — środowiskiem wydawnictwa i całego księgarskiego ruchu i druku. Tak dalece, że wszyscy Europ(ej)scy księgarze mają pośredników i deputatów swych w Chicago. — Jest tam 3 kolegia medyczne — 2 seminaria — i uniwersytet.

„Miasto to było bagnem wtedy, kiedy Emigracja Polska wychodziła z Polski.

„W 1830 roku tam, gdzie dziś miasto, były łąki i wody po użdźnienie końskie jeźdźca.

„— Był to czas, kiedy Franciszek Grzymała rękopisma swe w kwiecie ich zbierał (4). Ale cóż: kiedy Ci wariaty Amerykanie na nic nie poczekała!”.

Mistyka pracy kazała też Norwidowi bezkrytycznie powtórzyć potoczny amerykański argument, tłumaczący, że Indianie giną, bo sami są sobie winni; nie chcą pracować:

*Widziałem Indian dzikich w Ameryce
I wiem, w ojczyźnie własnej wyszli na co,
Gdy pogardzili rzemiosłem i pracą.*

Słowa te przytoczone są z traktaciku wierszem pt. „Praca”. Praca była dla Norwida i losem, i dostojeństwem człowieka. Z pracą wiązał funkcję społeczną sztuki. Ale entuzjazmując się rozmachem pracy amerykańskiej, bardzo krytycznie odnosił się do jej motywów. Zmaterializowanie uważał za klęskę dziewiętnastego wieku, a społeczeństwo amerykańskie było w jego oczach szczególnie zmaterializowane. Chłostał je też za to zmaterializowanie w tejsze „Pracy”:

*.....plemię, co inaczej żyło:
Porozkietnanych puścizną warsztatów,
Które się więcej niż kto wzbogaciło,
Najrealniejszych pełne demokratów —
Ideałowi niepodległe w niczem —
Wolne jak pieniądź, co się toczy krągło.*

W „milionie” ofiar amerykańskiej wojny domowej widział karę historii za to zmaterializowanie społeczeństwa. Myślał w kategoriach moralnych: zdrady ideałów i odpłaty za tę zdradę. Ale po przekątną spotkał się ze współczesną historiografią amerykańską, uwydatniającą ekonomiczne przyczyny konfliktu.

Widział w Ameryce „Tyr i Sydon” współczesnego świata. Pod koniec życia napisał jedną z najlepszych swoich nowel „Ad leones”, poświęconą sprawie korupcji sztuki przez pieniądź. Czynnikiem tej korupcji jest w noweli amerykański dziennikarz i finansista — wymowne zestawienie zawodów — o wymownym również nazwisku Izaak Edgar Midlebank Jr. Florentyński rzeźbiarz modeluje grupę dwojga męczenników chrześcijańskich, mężczyzny i kobiety z krzyżami w ręku, rzuconych do jaskini lwa. Na rzeźbę tę znajduje nabywcę, właśnie owego amerykańskiego

(4) Franciszek Grzymała — ośmieszony wierszopis emigracyjny. Prawdopodobnie mamy tu aluzję do jego, niedostępnych mi, emigracyjnych wierszy „Pierwiosnek polski na r. 1851” czy „Prace rymotwórcze”.

finansistę. Amerykaninowi rzeźba, owszem, podoba się, gotów jest za nią zapłacić 15.000 dolarów, ale domaga się zmian. Figury grupy zamiast krzyżów mają dostać w ręce klucz. Masa gliny, z której rzeźbiarz miał ulepić lwa, przekształca się w kufel. Grupa stanie się teraz w rozumieniu Amerykanina apoteozą Kapitalizacji. Apoteoza to bardzo dwuznaczna, jeśli się pamięta o pierwotnej symbolice grupy. Ludzie, którzy w zamierzeniu artysty mieli być ofiarą dzikich zwierząt, zostają rzućeni na pożarcie kufrowi. Kapitalista i rzeźbiarz wymieniają podpisane przez siebie teksty kontraktu. Amerykanin zobowiązuje się kupić rzeźbę, przedstawiającą Kapitalizację, która będzie „nie o wiele przechodzić ceną swoją 15.000 dolarów”, — jak widzimy, w sprawach pieniężnych nie jest on pedantem, — i domaga się, aby rzeźba ta została wykonana „z marmuru białego, bez plamy i skazy”. Tekst, który zredagował i podpisał artysta, sformułowany jest trochę inaczej. Zobowiązuje się on wyrzeźbić grupę „z marmuru białego, o ile można, bez plamy i skazy”. W tym „o ile można” jest miara ironii Norwida, dyskretnej w wyrazie, a celnej.

Jakże więc w ostatecznym rozrachunku ułożył się stosunek Norwida do Ameryki? Wymowniej i piękniej, niżby to jakiekolwiek postronne podsumowanie zrobić mogło, odpowiedział na to pytanie sam Norwid w liście do Marii Trębackiej, napisanym niedługo po powrocie z Ameryki, w r. 1856:

„Gdyby, w kraju *wielką* mającym historię, a *żadną* realizację oświaty społecznej, zapytał mnie kto o kraj, gdzieby mnie najchętniej marzenia powiodły?

„Odpowiedziałbym, że ów „pokryty kominami od fabryk i szynami kolei żelaznych”.

„Gdyby, w kraju mającym konwulsje-realizacji-oświaty społecznej a żadnej historii, zapytał mnie kto o toż samo, odpowiedziałbym:

„Ze ów, gdzie bohaterowie po złote runo z poetami co rok wyjeżdżają, szlachetność i pieśń uważane są za witalne podstawy społeczeństwa, artyści są kwatremistrzami wielkich duchowych marszów, a każda z kobiet ma w sobie pół symbolu — a innych drzew nie ma, jeno cyprysy, myrthy, oliwa i laur — a koń jest już nieledwie pół-heroicznej godności osobą.

(.....)
„I powiedziałbym, że inaczej na to zapytanie odpowiadać się nie godzi idącym do *wiecznego Jerozalemu*”.

Przeciwstawienie to, w którego podtekście wyczuwa się wyraźnie dwa stałe bieguny myśli społecznej Norwida, Polskę i Amerykę (choć w rozprowadzeniu go uciekł się tu Norwid do elementów obrazowania klasyczo-włoskiego) w z górą ćwierć wieku później, ujęte od strony polskiej rzeczywistości, zagra w jednym z ostatnich wierszy Norwidowych, w „Słowianinie”. Warto przypomnieć jego pierwsze linijki:

*Jak Słowianin, gdy brak mu naśladować kogo,
Duma w szerokim polu, czekając na siebie —
Gdy z dala jadą kupcy gdzieś żelazną drogą,
Drżą telegramy w drutach i balon na niebie;
Jak Słowianin, co chadzał już wszystkiemu w tropy,
Oczekiwa na siebie samego bez wiedzy —
Tak — bywa smętnym życie... wieszczowie! koledzy,
Zacni szlachcice, Żydy, przekupnie i chłopcy!*

Różnie w historii układały się w świadomości polskiej obrazy Stanów Zjednoczonych. Dla pierwszych pokoleń Polaków, walczących o wolność i demokrację w ojczyźnie, była ona symbolem wolności. Żeby użyć sformułowania Mickiewicza z „Ksiąg”, Ameryka „stała się ziemią wolności, ziemią świętą”.

Był też i inny obraz Ameryki, kraju czerwono-skórych, egzotycznej przyrody i fantastycznej przygody. List-poemat Norwida z Ameryki skwitowała Deotyma epistołą, pisaną naprzemian prozą i wierszem. Deotyma była epigonką preromantyzmu. W swoich wystąpieniach improwizatorskich stylizowała się na Korynnę pani de Stäel, a swoje wyobrażenia o Ameryce — w szóstym dziesiątku wieku pary i elektryczności — czerpała z Chateaubrianda:

„Śpiewak — pisała — ozwał się do mnie słowem, pełnym pobłażliwej zachęty i ostrzegających przepowiedni; a głos Jego skądże mnie doleciał?

*Z drugiej półkuli, z tej ziemi młodzieńczej,
Która jest wiecznym celem mej tęsknoty;
Tam to roślinność tłoczy a nie wieńczy,
W powietrzu tańczą skrzydlate klejnoty;
Tam grzechotników piosenka straszliwa
Znaczy rytm w szumie wulkanów i lasów.
Wędrowiec w głębi wonnych puszczy odkrywa
Śmiercią zakłętą pałace Inkasów.
Nad niemi kondor, ta postać wspaniała,
Jako sęp sroga a jak orzeł dumna,
Mknąc się przegląda w Niagarowej fali,
O której twórca Atali
Rzekł: „To jedyna kolumna,
Która z potopu została”.*

Później zaczęło się kształtować jeszcze jedno wyobrażenie Ameryki: Molocha kapitalizmu i kraju bezdusznego zmateriowania. Wiersze o Johnie Brownie skomentował Miriam w r. 1911 w tomie A swego pamiętnego wydania. Młodopolski esteta postanowił w komentarzu swym wybronić Norwida z wszelkich podejrzeń o sympatie amerykańskie. Przytoczywszy więc szereg — wyłącznie negatywnych — cytatów z listów poety do Trębackiej i Zaleskiego, pisze on tam:

„Oto wszystko, co nam wiadomo o stosunku poety do społeczeństwa amerykańskiego. Ale nawet z ubogich tych wzmianek wi-

dać, że było mu one tak „najzupełniej przeciwnym”, że doprowadzało do jakichś scysyj, zatargów, „położeń koniecznych”, które ostatecznie, obok melancholii i marazmu, spowodowanych oddaleniem przeciwbiegunowym, skłoniły Norwida do szybszego, niż myślał, porzucenia Ameryki. Co go tak raziło w nowym świecie? Prawdopodobnie zmaterializowanie, tyrania wielkiego przemysłu i handlu, *cotton king*, potem rozgałęzione płaskie sekciarstwo; przede wszystkim zaś niewolnictwo, przeciwko któremu wszystko w nim spręgać się musiało”.

Cóż o komentarzu tym powiedzieć? — Przeciwno niewolnictwu niewątpliwie wszystko się w Norwidzie buntowało. Ale przecież nie zetknął się z nim w Nowym Jorku, w którym żył. Norwid był rygorystycznym, ortodoksyjnym, choć równocześnie wypranym z jakiegokolwiek nietolerancji religijnej, katolikiem. Protestantyzm amerykański, wolno przyjąć, był mu daleki. Ale nie wypowiadał się na jego temat. Chyba że ktoś się uprze, aby na jego konto zapisać dygresję o „revivalu amerykańskim” w „Tajemnicy lorda Singelworth”, dygresję bardzo pozytywną w tonie. Wyliczając różne prawdopodobne przyczyny, które miały Norwida skłonić do porzucenia Ameryki, nie wspominał Miriam oczywistej: wojny krymskiej. Podobnie jak nie wspominał żadnej z licznych, jak widzieliśmy, proamerykańskich wypowiedzi Norwida. Był z tekstami Norwida żyty, jak mało kto drugi. A jednak żadnej z tych wypowiedzi, pisząc swój komentarz, nie pamiętał. Nie chciał pamiętać.

Mity Ameryki — jeśli przez mity będziemy tu rozumieli symboliczne skróty pewnych treści ideowych — odznaczają się dużą żywotnością. Najmniej istotny, oczywiście, jest z nich mit Ameryki, kraju egzotycznej przygody. Zdewałował się on, ale po dziś dzień żyje w książkach dla młodzieży i popularnych filmach. Inaczej ma się rzecz z dwoma pozostałymi mitami. Mit Ameryki, kraju wolności, angażował z natury rzeczy emocjonalnie ludzi bardzo silnie. I każdy, kto się zetknął ze współczesną rzeczywistością polską, wie, że i dziś jest on w Polsce żywy.

Podobnie ma się rzecz z mitem Ameryki, Molocha kapitalizmu. Roznamiętnia on ludzi, i to wcale niekoniecznie tylko tych, którzy są programowymi przeciwnikami ustroju kapitalistycznego. Truizmem jest dziś twierdzenie, że świat się amerykanizuje. Mniejsza o to w tej chwili, w jakiej mierze jest to skutek wpływów amerykańskich, a w jakiej istnienia i poza Stanami tych warunków społecznych, przede wszystkim postępu technologicznego i wzrastającego dobrobytu mas, które sprawiają, że cywilizacja amerykańska wygląda tak, jak wygląda. Istotnym jest tu, że ludzie zdają sobie sprawę, iż to co się dzieje w Ameryce, dotyczy ich życia, kształtu cywilizacji, w której przychodzi im uczestniczyć. Tak się rzecz ma nie tylko w tzw. świecie kapitalistycznym. Ekonomista szwedzki Gunnar Myrdal trafnie nazwał Stany Zjednoczone „znieprawionym modelem” ZSRR. Stąd wywodzą się tak gwałtowne reakcje emocjonalne. Miriam, „dusza

dostojna”, pisząc rzekomo o Norwidzie, dawał w rzeczy samej wyraz swej nienawiści do współczesnej cywilizacji technologicznej.

I dla Norwida to, co się działo w Ameryce, miało swój aspekt uniwersalny, wytyczało „the shape of things to come”. Dziś każdy to rozumie. Ale w jego czasach wcale to nie było takie powszechne. Nie przychodzi ta świadomość do głosu w najpopularniejszej polskiej książce o Ameryce, w „Listach z podróży” o tyleż młodszego od Norwida Sienkiewicza. Ale bo też Sienkiewicz, podróżnik po Ameryce, należy do innej tradycji, tradycji Ameryki wielkiej przygody młodzieżowej. Nie darmo najczęściej cytowanym w „Listach z podróży” autorem jest Fenimore Cooper. U Norwida rzecz ma się inaczej. Pod tym względem Norwid jest w swoim stosunku do Ameryki zaskakująco współczesny.

Jeśli teraz, traktując te trzy tradycyjne ujęcia Ameryki, mity, jako swego rodzaju punkty triangulacyjne, staramy się zorientować, gdzie wśród nich umieścić Norwida, to okaże się przede wszystkim, że egzotyczna „poetycka” Ameryka nie istnieje dla niego. Jego prawda o Ameryce ma natomiast w sobie elementy tamtych dwóch pozostałych, zdawałoby się, wzajemnie znoszących się mitów, Ameryki, symbolu wolności, i Ameryki, symbolu zmaterializowania. Jest wielopostaciowa, chciałoby się rzec, dialektyczna. Potępia Norwid zmaterializowanie społeczeństwa amerykańskiego. Z namyślnym protestem występuje przeciwko sprzeniewierzeniu się ideałom wolności, jakie widzi w sprawie Johna Browna. Ale równocześnie Stany Zjednoczone to dla niego nade wszystko kraj wolności, wolności politycznej („republikanckie zasady”) i, na co szczególnie kładzie nacisk, społeczno-obyczajowej, kraj, w którym w stosunkach między ludźmi zatarły się tradycyjne przedziały społeczne. Równość owa, cenna sama w sobie, jest mu tym cenniejsza, że tylko w jej atmosferze możliwa jest pełna realizacja jego ideału pracy, w której człowiek znajduje sens swego życia i poprzez którą wyraża samego siebie. Ta wolność amerykańska ma dlań wartość paradygmatu, zwłaszcza dla stosunków polskich. Stąd wysoka temperatura uczuciowa, z jaką się o tych rzeczach mówi, patos i heroizacja tych spraw („To są ludzie — to są mężowie pokory Homeryckiej”).

Wpisał się więc Norwid swoim ujęciem Ameryki w szereg wyznawców mitu Stanów Zjednoczonych, kraju wolności. Takie widzenie Ameryki było znamienne zwłaszcza dla czasów romantycznych. Ale Norwid nie jest jego epigonem. Uwspółcześnił je, kładąc szczególny nacisk na jego aspekt społeczny, przemysłał po swojemu, wzbogacił o nowe treści intelektualne.

Nie ma tematyki amerykańskiej w twórczości Norwida przed jego wyjazdem do Stanów. Wyrosła ona z jego doświadczenia życiowego, z bezpośredniej obserwacji stosunków amerykańskich i porównywania ich z polskimi. Pobyt w Ameryce wzbogacił jego doświadczenie społeczne o nowy wymiar. Stanie się ona

odtąd istotnym elementem jego przemyśleń na temat współczesnej cywilizacji. Mimo że przeszedł w Ameryce przez ostry kryzys nerwowy, jest w swych sądach o niej wolny od urazów. Opinia bratowej jego, Anny, jest w połowie tylko słuszna. Norwid traktował społeczeństwo amerykańskie z wielkim podziwem i bez pobłażliwości (5).

Wiktor WEINTRAUB

(5) Cytaty z listów Norwida, jego nowel i wykładów „O Juliuszu Słowackim” wdl. wyd. Przesmyckiego „Pism do dziś odszukanych”, t. V, VI, VIII i IX, Warszawa, 1937; cytaty z „Do Spartakusa (o pracy)” wdl. „Pism politycznych i filozoficznych”, Londyn, 1957. Cytat z wiersza „Do obywatela John Brown” wdl. t. A „Pism zebranych” w wyd. Miriama, Warszawa, 1911; z „Pracy” wdl. „Wyboru poezji” w opr. St. Cywińskiego w „Bibliotece Narodowej”, Kraków, 1924; z „Gadek” wdl. „Vademecum” w opr. J. W. Gomulickiego, Warszawa, 1962. Inne wiersze przyszło cytować za pozostawiającym wiele do życzenia, ale poręcznym, wydaniem Piniego, „Dzieła”, Warszawa, 1934.

Źródła innych cytatów: z Faleńskiego — „Biblioteka Warszawska”, 1861, t. IV, str. 3-4; z Anny Norwidowej za A. Krechowieckiego „O Cyprianie Norwidzie”, Lwów, 1909, t. II, str. 171; z listów Bohdana Zaleskiego — „Przewodnik Naukowy i Literacki”, t. XXIX (1901), str. 9, 12; z artykułu Klaczki — „Pisma z lat 1849-51”, wyd. B. Erzepki, Poznań, 1919, cz. II, str. 73; z Goszczyńskiego — „Listy”, wyd. St. Pigoń, Kraków, 1937, str. 346; z listu lorda Dudley’a Stuarta — „Jenerał Zamojski”, t. V, Poznań, 1922, str. 351; z broszury F. Aucaigne’a, „L’Alliance Russo-Américaine”, wyd. 2, Paryż, 1863, str. 9; z apelu Hugo — „Actes et Paroles”, Paryż, 1938, t. II, str. 144; z wiersza Deotymy za komentarzem Miriama do t. A „Pism zebranych”, str. 983-5.

KWIECIEŃ 1943 — KWIECIEŃ 1963

“ZŁAMANA LUTNIA”

Pierwsza w języku francuskim
antologia wierszy getta i obozów
autorów polskich i żydowskich
w przekładzie

Ireny KANFER

ukaze się w kwietniu br.
w hołdzie dwudziestoletniej rocznicy powstanie w getcie
warszawskim.

Prolog naszego dramatu

CZAS: To, co się dziś dzieje, jest jednocześnie nieuniknionym skutkiem tego, co się działo w przeszłości, oraz przyczyną, źródłem i ziarnem, z którego rozwija się przyszłość. Od lat przeszło dwudziestu, Naród i Ziemia nasza przeżywają jeden z historycznych dramatów, w którym wszyscy bierzemy mniej lub więcej bezpośredni udział. Prolog tego dramatu rozpoczął się jeszcze o lat dwadzieścia wcześniej, czyli przed laty przeszło czterdziestu. Chcę go przed wami odegrać w SYNTETYCZNYM skrócie. Przypomnieć zdarzenia, które, choć dziś nie istnieją, jak i większość osób biorących w nich udział, ciężą na waszych losach, gdyż wykreśliły linie waszego życia.

Nie będę nic zmyślał ani fantazjował. Będzie to widowisko dokumentarne w treści, choć w formie artystycznie przekształconej. Usłyszycie rozmowy, które toczyły się naprawdę, i z ust osób biorących w nich udział usłyszycie słowa, które zostały utrwalone w oficjalnych protokołach lub innych dokumentach współczesnych. Przenosić was będę z miejsca na miejsce i pokazywał to, co się tam niegdyś działo i co, po dziś dzień, ma w życiu waszym trwałe ślady.

Cofam kurtynę czasu o lat przeszło czterdzieści. Uwaga — ZACZYNAJMY:

AKT PIERWSZY
Scena 1. — Odsłona 1.

RADIO Z GŁOŚNIKA: Uwaga... uwaga... uwaga! Nadajemy ważną wiadomość! Ogłaszamy dekret Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego Sowietów, wydany dzisiaj, dnia 13 listopada 1918 roku.

INNY GŁOS: Do wszystkich narodów Rosji! Do ludności wszystkich okupowanych Ziemi i Prowincji!

Wszecchrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy Sowietów niniejszym uroczyście oświadcza, że umowy podpisane w dniu 3 marca 1918 roku utraciły wszelkie znaczenie i siłę. Traktat Brzeski, jak również dodatkowa umowa, podpisana w Berlinie 27 sierpnia i ratyfikowana przez Wszecchrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy 6 września, w całości oraz we wszystkich ich punktach są uznane za zniesione. Wszystkie zawarte w Traktacie Brzeskim zobowiązania dotyczące zapłaty kontrybucji lub ustąpienia terytoriów i prowincji są uznane za nieważne... Wszystkie okupowane prowincje Rosji zostaną oczyszczone. Prawo do samookreślenia zostanie w pełnej mierze przyznane masom pracującym wszystkich narodowości... Przesyłając pozdrowienia ludności wszystkich prowincji wyzwanych spod jarzma niemieckiego imperializmu, Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika Sowiecka wzywa masy pracujące tych prowincji do braterskiego związku z robotnikami i włościanami Rosji i obiecuje im pełne, do końca idące, poparcie w ich walce o ustanowienie na ich ziemiach socjalistycznej władzy robotników i włościan.

Narzucony gwałtem w Brześciu pokój zostaje niniejszym przekreślony. Niech żyje prawdziwy pokój oraz światowy sojusz ludzi pracy wszystkich krajów i narodowości!

Scena 1. — Odsłona 2.

CZAS: Obecnie jesteśmy w Moskwie w gabinecie Komisarza Ludowego do Spraw Narodowości, Stalina. W pierwszych dniach grudnia 1918 roku odbywa się tam ważna narada.

STALIN: Towarzysze! Wezwałem was tutaj, aby omówić pewne konkretne sprawy. Musimy się wziąć poważnie do roboty. Wówczas, gdy w Rosji już od przeszło roku rozwiewa się czerwony sztandar a na Zachodzie, w Niemczech i w Austro-Węgrzech, wybuchy proletariackich rewolucji wzmagają się już nie z dnia na dzień, lecz z godziny na godzinę, w prowincjach okupowanych: w Finlandii, Estlandii, Łotwie, Litwie, Białorusi, Polsce, Ukrainie, Bessarabii i Krymie, w dalszym ciągu zachowują swe nędzne istnienie burżuazyjno-nacjonalistyczne 'rządy' z łaski dochodzących kresu imperialistów Zachodu. Przed rokiem prawie, na Trzecim Zjeździe Sowietów, w styczniu, mówiłem, i Zjazd przyznał mi rację, że istota wszystkich konfliktów, jakie powstają pomiędzy kresami a centralną władzą sowiecką, sprowadza się do kwestii władzy. Jeśli koła burżuazyjne tych lub innych prowincji starają się nadawać tym konfliktom charakter narodowościowy to tylko dlatego, że jest to dla nich wygodne:

wygodnie pokrywać narodowym strojem walkę z władzą mas pracujących w granicach danej prowincji. Dlatego też Rząd Sowiecki jest zdecydowany na prowadzenie tak zwanej wojny domowej z kresowymi burżuazyjno-nacjonalistycznymi rządami koalicyjnymi, których twierdzenia, że prowadzą walkę w obronie narodowej niepodległości, są tylko obłudną przykrywką dla akcji wymierzonej przeciwko ludzkiej pracy.

I dziś, gdy na Wschodzie i na Zachodzie już poszli do wszystkich diabłów 'wielcy' królowie i 'mocarni' imperialiści, w okupowanych prowincjach w dalszym ciągu rządzą się drobne króliczki i karłowaci drapieżcy, czyniąc gwałty i bezceństwa nad robotnikami i włościanami, aresztowując ich i rozstrzeliwując. Co więcej, dochodzące kresu 'rządy' gorączkowo organizują swoje 'narodowe' pułki białogwardyjskie, szykują się do 'akcji', knują i spiskują z niezlikwidowanymi jeszcze na razie rządami imperialistycznymi oraz budują plany o rozszerzeniu 'swoich' terytoriów. Znalazłszy się wola losu pomiędzy dwoma olbrzymimi ogniskami rewolucji na Wschodzie i na Zachodzie, te rozkładające się za życia cienie obalonych 'wielkich' królów, te karłowate 'narodowe' 'rządy' marzą o zgaszeniu powszechnego pożaru rewolucyjnego w Europie, o zachowaniu swego operetkowego istnienia, o zawróceniu wstecz koła historii! To, czego nie udało się dokonać 'mocarnym' królom 'wielkich' Niemiec i Austro-Węgier, owe małe 'króliczki' roją zrobić za 'jednym zamachem' przy pomocy paru zdeorganizowanych 'pułków' białogwardyjskich. Nie mam wątpliwości, że potężne fale rewolucji w Rosji i na Zachodzie bezlitośnie zmiotą w okupowanych prowincjach kontrrewolucyjnych marzycieli. Nie wątpię, że bliską już jest godzina, gdy 'króliczki' owych prowincji pójdą śladem swoich dawnych 'mocarnych' protektorów w Rosji i w Niemczech. Nie mamy podstaw, aby nie wierzyć, że kontrrewolucyjne przepierzenie pomiędzy rewolucyjnym Zachodem i socjalistyczną Rosją zostanie w końcu obalone. Już się pojawiły pierwsze oznaki rewolucji w okupowanych prowincjach. Strajki w Estlandii, demonstracje na Łotwie, powszechny strajk na Ukrainie, ogólny ferment rewolucyjny w Finlandii, Polsce i na Łotwie — są to tylko pierwsze jaskółki. Nie mam wątpliwości, że rewolucja i rządy sowieckie w tych prowincjach są sprawą najbliższej przyszłości. Wiecie wszyscy o utworzonej ostatnio pod przewodnictwem towarzysza Lenina Radzie Robotniczej Obrony, której zostałem wiceprzewodniczącym. Wiecie także o nakazie towarzysza Lenina: jest nam obecnie potrzebna armia trzymilionowa i taką armię mieć możemy i mieć ją będziemy. Armia ta pójdzie na Zachód. Pójdą z nią również strzelcy łotewscy oraz polsko-litewska Dywizja Zachodnia. Pojedziecie także i wy...

(*Ogólne poruszenie. Okrzyki: „Niech żyje Rewolucja!”, „Niech żyją Sowiety!”*).

STALIN (*w dalszym ciągu*): Wy, towarzyszu Stuczka, ze swoimi Łotyszami pojedziecie do Wałku i tam ogłosiscie „manifest” o powstaniu niezależnego rządu 'niezawisłej' Łotewskiej Republiki Sowietów...

STUCZKA (*przerywa*): Po co to, Józefie Wissarionowiczu? Na prowincję ze stolicy pojadę, skoro mi Partia każe. Ale po co ta 'niepodległość' i 'niezawisły' rząd dla jednej gubernii...

STALIN (*surowo*): Znowu wracacie do dawnego. Już raz sprzeciwialiście się żądaniom partii w czasie rokowań w tym przeklętym Brześciu.

STUCZKA: I czy nie miałem racji? Wszystko się przecie dobrze skończyło...

STALIN: Jeszcze się nie skończyło. Jeszcze w Rydze jest Ulmanis, którym zaczynają się opiekować Anglicy. Nasi łotewscy strzelcy, przy pomocy Armii Czerwonej, muszą go jeszcze stamtąd wyrzucić.

STUCZKA: To wiadomo, ale po co zaraz ta 'niepodległość', czysta komedia. Wystarczyłaby zwykła sowiecka autonomia, jak w każdym obwodzie, okręgu, czy czymś podobnym, i nic więcej...

STALIN: Żeby niemieccy socjalzdraycy i ich chlebobawcy-burżuje, mogli na cały świat wrzeszczeć, że Sowiecka Rosja wcale nie niesie wyzwolenia małym narodom, lecz nosi się z zamiarami i planami imperialistycznymi. Zresztą nie ma o czym gadać. 'Niepodległość' i 'manifest' ogłosiscie w Wałku, bo taka jest uchwała KC oraz decyzja towarzysza Lenina.

Wy, towarzyszu Kapsukasie, pojedziecie na razie do Wilejki i tam ogłosiscie 'manifest' o utworzeniu rządu niepodległej Litwy ze stolicą w Wilnie...

MICKIEWICZ-KAPSUKAS: Towarzyszu Stalinie, komuniści litewscy ze względów zasadniczych odrzucają hasło samookreślenia narodów uciskanych aż do oderwania włącznie...

STALIN: Wiem, wiem, że ulegacie wciąż dogmatycznym błędom luksemburgizmu. Zanadto przyjaźnicie się z Polakami. Nie umiecie myśleć dialektycznie. Nie rozumiecie, że 'oderwać się' trzeba po to, aby mocniej zespolić. Toteż, żebyście się mogli wspólnie pouczyć i wspólnie przezwyciężyć wasze esdekapeelowskie odchylenie, do Wilejki i do Wilna pojedziecie nie sami, lecz z Pestkowskim i Cichockim. Nie wiem zresztą, czy bez nich moglibyście się porozumieć z Wilnianami.

KAPSUKAS (*tonem urażonym*): Ja przecież też umiem po polsku.

PESTKOWSKI: Do Wilna? Nie do Warszawy?

STALIN: Na razie do Wilna. Warszawa za daleko i z nią trzeba 'delikatnie'. Tam pojedzie Marchlewski. W charakterze posła czy ambasadora, na razie. Mają przecież warszawscy Polacy swoje przedstawicielstwo u nas.

CICHOCKI: Już nie mają. Zamknięte...

PESTKOWSKI: Nieczynne.

STALIN: Wiem, żeście je w krótkiej drodze zlikwidowali. I mieliście rację, bo było 'regencyjne' i zbyt reakcyjne oraz zbyt 'zaledniczone'. Ale jeśli oni wpuszczą Marchlewskiego, to i ich 'poselstwo' znów otworzymy. Opłaci się. Słyszeliście, co towarzyszu Lenin powiedział o robocie Radka w Berlinie? Jeśli w Warszawie będziemy mieli takiż 'płonący dom', niedługo z Wilna tam pojedziecie. Nie gasić, lecz rozniecać pożar.

PESTKOWSKI: W Warszawie, w Łodzi, w Zagłębiu, tam jest grunt przygotowany dla rewolucji proletariackiej. A Wilno co? prowincja. Tam walka rewolucyjna jeszcze się nie dość rozwinęła. Tam Matka Boska Ostrobramska panuje nad ludkiem ogłupianym przez klechów i patriotów. Tam zawczasie na rewolucyjny rząd i proletariacki ustrój sowiecki.

STALIN: Właśnie dlatego posyłam tam was z Kapsukasem, aby w ten sposób wytrącić broń z ręki wewnętrznych wrogów władzy sowieckiej, którzy twierdzą, że jest to władza okupacyjna przynoszona na ostrzu bagniet Armii Czerwonej. Wasza 'Dywizja Zachodnia', towarzyszu Cichocki, wejdzie do Wilna wraz z tymi 'polskimi ułanami', których niedawno tak pięknieście opisywali.

CICHOCKI: Bo dzielnie walczyli z wrogami rewolucji na Wołdze i Uralu.

STALIN: No to teraz będą mieli pole do popisu nad Wilią, a potem i nad Wisłą. Tylko czy dużo ich macie i czy dadzą sobie radę przeciwko panom i 'patriotom' bez pomocy naszej prawdziwej Armii Czerwonej...

Scena 2. — Odstona 3.

CZAS: Niewiele później w Warszawie, w zamieszkałym przez Naczelnika Państwa Belwederze, toczyła się inna rozmowa z przy-

*byłymi ze Wschodu Prezesem Naczpółu Władysławem Raczki-
wiczem i generałem Władysławem Wejtką.*

PIŁSUDSKI: Przed kilku dniami, po wysłuchaniu raportów Panów o tym, co się dzieje w Mińsku i w Wilnie, obiecałem, że zrobię co będzie w mojej mocy, by miejscowemu społeczeństwu pomoc w obronie przed bolszewizmem i powstrzymać najście czerwonej gwardii. Dziś, po zajęciu Mińska, w praktyce chodzi o Wilno, dokąd, jak rozumiem, ściągnęła większość oddziałów płk. Kobordy z Samoobrony Mińskiej.

RACZKIEWICZ: Ale w Mińsku zostało wielu Polaków i, w szczególności, Peowiaków.

PIŁSUDSKI: To dobrze. Mogą się przydać. Na razie jednak niech siedzą cicho. Utrzymam z nimi kontakt przez Kijów i Moskwę oraz udzielę możliwej pomocy materialnej i organizacyjnej. Co będzie dalej, zobaczymy. Na razie zaś chodzi o Wilno, które jeszcze można uratować. Informacje Panów w zasadzie się potwierdzają. Istotnie Niemcy zamierzają ewakuować Wilno w pierwszych dniach stycznia.

GEN. WEJTKO: Obawiam się, Panie Naczelniku, że wyewakuować już nic nie zdążą, a może i nie chcą. Zostawiają wszystko, zapasy broni i intendentury, bolszewikom.

PIŁSUDSKI: Może i nie bolszewikom. Postaram się, aby Niemcy wydali broń i żywność przedstawicielom miejscowej ludności, to znaczy w pierwszym rzędzie Samoobronie. Dobrze, że Abramowicz, Jundziłł i Chomiński podjęli rozmowy z Litwinami i Żydami. Jeśli dojdą z nimi do porozumienia, ułatwi to moje zadanie.

GEN. WEJTKO: Obawiam się, Panie Naczelniku, że nic z tego nie wyjdzie. Tarybowcy są zbyt ściśle związani z Niemcami, a wśród Żydów, szczególnie wśród młodzieży, jest sporo entuzjastów bolszewickich. Niedawno hałaśliwie demonstrowali na ulicach przy całkowitym poparciu *Soldatenratu*. Bo i w Berlinie dziś woła bolszewików niż Polaków.

PIŁSUDSKI: Jeśli to nawet prawda, to i na Berlin można znaleźć lekarstwo. Jednak z miejscowymi bolszewikami sami będziecie musieli dać sobie radę.

GEN. WEJTKO: To nie będzie trudne. Gorzej, gdyby nadeszły regularne rosyjskie wojska. Im, bez pomocy Warszawy, Samoobrona nie poradzi. Nie ma dość broni, w szczególności ciężkiego sprzętu i kulomiotów.

PIŁSUDSKI: Rozumiem to i zrobię, co będzie w mojej mocy. Przede wszystkim Wasilewski wyraźnie oświadczy Cziczerinowi, że zajęcie Wilna przez Moskwę, to *casus belli* z Polską.

RACZKIEWICZ: Czy to co pomoże? Oni idą na wojnę z Polską. Na wojnę domową w ich rozumieniu. Już przecie tworzą 'rewolucyjne pułki' warszawskie, siedleckie, sandomierskie...

PIŁSUDSKI: I o tym wiem. Polska jednak znajdzie dość sił, gdy będzie zmuszona do obrony z bronią w ręku p rzed inwazją armii rosyjskiego rządu sowieckiego. Wiedzą o tym i w Moskwie, a jeśli nie wiedzą, to się dowiedzą. Pomimo trudnej sytuacji we Lwowie, znajdzie się jeszcze trochę wojska, by pomóc i Wilnu.

GEN. WEJTKO: Dziękuję Panie Naczelniku. Z pomocą regularnego wojska polskiego nie damy Wilna bolszewikom.

PIŁSUDSKI: Przede wszystkim jednak musicie liczyć na własne siły, które przecie nie są małe. Pan, Generale, wróci natychmiast do Wilna, by siły te i obronę przeciwko Moskwie organizować. W imieniu Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich mianuję Pana Dowódcą wszystkich formacji Samoobrony Krajowej Litwy i Białorusi. Na nich musi się Pan oprzeć w pierwszym rzędzie. Do pomocy możliwie niezwłocznie doślę Panu jednego z moich oficerów, ale oddziały z Warszawy nie będą duże i kto wie, czy ostatecznie dotrą do Wilna. Niemcy mogą się opierać przepuszczeniu ich przez Białystok, Łapy i Grodno, na co będę nalegał, gdyż zajęcie Wilna przez bolszewików byłoby nie tylko nieszczęściem dla miejscowej ludności, lecz także prawdziwą katastrofą i zagrożeniem bezpieczeństwa Litwy i całej Rzeczypospolitej, ba, nawet całej Europy. Tylko czy zechcą to zrozumieć w Paryżu, gdzie wciąż nie chcą nas uznać jako normalnego, suwerennego państwa. Są tam ludzie, którzy twierdzą, że jestem takim samym 'czerwonym socjalistą', jak i ci, co dziś rządzą w Moskwie i w Berlinie.

GEN. WEJTKO: Miejmy nadzieję Panie Naczelniku, że i w Paryżu znajdą się rozsądni ludzie. Tym bardziej, że czasu jest tak nie wiele. Liczą się już nie tylko dni, lecz wręcz godziny.

Scena 2 — Odsłona 4.

CZAS: Toteż w Warszawie czasu nie tracono. Na 19 grudnia dwaj zaufani oficerowie zostali zawezwani do Belwederu. Jeden z nich, kapitan dr Zygmunt Klingier, jest już u Naczelnika, drugi, rotmistrz dr Olgierd Górka, czeka w adiutanturze.

PIŁSUDSKI: ...Więc zrozumiał Pan, Kapitanie? Czasu ma Pan nie wiele, a zadanie wielkie i trudne. Ludzie tamtejsi to

dobrzy żołnierze. Na początku może trochę nieufni i trudni, ale za to solidni i, gdy ktoś ich zaufanie i serca zdobyć potrafi, pójdą za nim choć do piekła.

KLINGIER: Wiem, wiem Komendancie! Kraj zapadły, nudny, senny, ale ludzie w dobrych rękach, jak воск miękcy. Może Komendant być pewny, zrobię wszystko, co należy. Nie dam Wilna Kacapom, przysięgam na wszystkie świętości. Z tarczą, albo na tarczy. Własnego życia i głowy nie pożałuję dla Wilna i mego Komendanta...

PIŁSUDSKI: Spokojnie, chłopcze. Nie brawurujcie, gdyż życia niepotrzebnie nie należy narażać. Nie na śmierć, lecz dla ratowania wielu żyć ludzkich Was posyłam. Najważniejsze, byście znaleźli odpowiednie podejście do tamtejszych ludzi. Byście się im czymś nie narazili. Bo wtedy... pamiętacie, co dalej mówi Pol o Litwinach?

KLINGIER: Że i w grobie nie przebaczą.

PIŁSUDSKI: Tak, i w końcu swego dopną. Lepiej by zrobili to z Wami, niż bez Was. No, ruszajcie kapitanie. Szczęść Wam Boże!

KLINGIER: A nominację otrzymam w adiutanturze?

PIŁSUDSKI: Nie będzie żadnej nominacji. Nie jedzie Pan oficjalnie z ramienia Naczelnika Państwa czy Naczelnego Wodza. Jedzie Pan z ramienia Józefa Piłsudskiego. I o swej misji nikomu ani pary z ust.

KLINGIER: Ale jakiś papierek, nominację czy pełnomocnictwo, mieć przecież muszę.

PIŁSUDSKI: Ach wy, austriackie papierowe dusze. Bez papierka ani kroku. Umie Pan pisać na maszynie? Weź Pan kawałek papieru, zwykłego, nie żaden urzędowy blankiet, siadaj i pisz. *(Dyktuje)*. „Panie Generale! Kapitan Klingier przyjeżdża jako oficer z mego ramienia w misji, o której mówiłem osobiście z Panem Generałem. Z szacunkiem Józef Piłsudski”. I adres: „Do Generała Wejtki w Wilnie”.

KLINGIER: *(z rozczarowaniem)* To wszystko? Nic o moich uprawnieniach czy pełnomocnictwach.

PIŁSUDSKI: Wszystko. Wyśłannikowi Józefa Piłsudskiego to MUSI wystarczyć. Szczęść Ci Boże, kapitanie.

KLINGIER: Odmeldowuję się Komendancie. Cześć!

GÓRKA: Komendancie! Rotmistrz Górka melduje się posłusznie na rozkaz.

PIŁSUDSKI: Siadajcie, panie Olgierdzie, mam dla Was ważną misję dyplomatyczną.

GÓRKA: Mam jechać do Paryża!

PIŁSUDSKI: Może później i w tamtym kierunku, na razie jednak w zupełnie innym. Pojedzie Pan, panie Rotmistrzu, do Kowna.

GÓRKA: *(ze zdziwieniem i rozczarowaniem)* Do Kowna?

PIŁSUDSKI: Tak, jako polski oficer łącznikowy do Dowództwa *Ober-Ostu*. Zamelduje się Pan u Szefa Sztabu, gen. Hoffmana, i złoży mu Pan memoriał w sprawie konieczności przewiezienia oddziałów polskich do Wilna dla zorganizowania tam miejscowej Samoobrony w celu utrzymania ładu i porządku w chwili opuszczania litewskich i białoruskich obszarów przez Niemców oraz ich ochrony przed bolszewikami i zbliżającymi się wojskami czerwonymi. Niech Pan zanotuje dalsze szczegóły memoriału. Niemcy mają wydać wileńskiej Samoobronie natychmiast, za godziwą zapłatą w gotówce, 2.000 karabinów zwykłych i 12 maszynowych wraz z odpowiednią ilością amunicji. Potem, w chwili opuszczania miasta, jeszcze 8.000 karabinów zwykłych i 32 maszynowych. Z amunicją oczywiście i też za opłatą w gotówce.

GÓRKA *(notując)* 8.000 i 32, razem 10.000 i 44.

PIŁSUDSKI: Tak. Dalej: Niemcy muszą przepuścić kolejną przez Łapy i Grodno do Wilna nasze transporty — niech Pan notuje, panie Rotmistrzu — 4 baony piechoty, pułk kawalerii i dwie baterie armat. Wojsko to przemaszeruje tylko przez miasto i zaraz je opuści, obsadzając opuszczane przez Niemców pozycje obronne przed Wilnem. W mieście pozostaną najwyżej dwie kompanie milicyjne dla pomocy Samoobronie w utrzymywaniu ładu i porządku. To wszystko, co napisze Pan w memoriale. Resztę doda Pan ustnie. Przypomni Pan gen. Hoffmanowi, że Berlin zwrócił się ostatnio do nas w sprawie nie czynienia przeszkód w przejeździe przez terytoria polskie niemieckich transportów wojskowych z Ukrainy. Powie mu Pan, że proponujemy zasadę wzajemności i że zgoda na przepuszczenie naszego wojska do Wilna ułatwi nam pozytywne załatwienie prośby Berlina. To jednak musi Pan zrobić bardzo delikatnie, aby nie wyglądało na szantaż z naszej strony.

GÓRKA: Rozumiem.

PIŁSUDSKI: Podkreśli Pan, że sprawa jest niezwykle pilna i musi być załatwiona w ciągu tego tygodnia, jeszcze przed Świętami. Zaczeka Pan w Kownie na odpowiedź, pozostając w stałej łączności telegraficznej z nami. Wyjedzie Pan dziś wieczorem. Potrzebne dokumenty otrzyma Pan zaraz w adiutanturze. No i życzyć powodzenia.

GÓRKA: Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Odmeldowuję się, Komendancie. Cześć!

Scena 2 — Odsłona 5

CZAS: Święta Bożego Narodzenia 1918 roku były obfite w wypadki, zarówno w Warszawie, jak i całej Polsce. Gdy w Belwederze koncentrowano się na sprawie ratowania Wilna, we Lwowie walki z Ukraińcami przybrały chwilowo niepomyślny dla Polaków obrót. Do Poznania, w towarzystwie oficerów alianckich, przyjechał z Paryża Paderewski i manifestacje powitalne ludności, 27 grudnia, przerodziły się w Powstanie Wielkopolskie: rozbrajanie i walki z Niemcami. Następnie, równie entuzjastyczne powitanie Paderewskiego przez Warszawę skłoniło skrajne czynniki tzw. „narodowe” do powzięcia koncepcji zamachu stanu i przygotowywania próby usunięcia siłą zbyt „czerwonego”, ich zdaniem, rządu. Wszystko to wpłynęło decydująco na los Wilna.

23 grudnia Górka telegrafował z Kowna, że gen. Hoffman ustosunkował się w zasadzie pozytywnie do postulatów jego memoriału, jednakże zgodę definitywną uzależnia od decyzji Berlina.

24 grudnia gen. Wejtko donosił z Wilna, że Niemcy mają całkowicie opuścić miasto 5 stycznia, jednakże faktycznie władza okupantów ustanie o kilka dni wcześniej. W obliczu zbliżającej się Armii Czerwonej niebezpieczeństwo bolszewickie w Wilnie wzrasta, Samoobrona zaś jest bezsilna, gdyż Niemcy wciąż kategorycznie odmawiają wydania jej broni. Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, Szef Sztabu Generalnego w Warszawie, gen. Szeptycki zwrócił się telegraficznie do Szefa francuskiej Misji Wojskowej w Budapeszcie, płk. Vyx, z prośbą o wywarcie odpowiedniego nacisku na Niemców, by nie uniemożliwiali miejscowej ludności stawiania oporu posuwającym się na Zachód bolszewikom. Vyx odpowiedział natychmiast, że osobiście nie ma żadnych możliwości działania w tej sprawie i depeczę Szeptyckiego przekazuje swemu Général-en-Chef w Salonikach w celu przesłania jej do Paryża. W Kownie, niecierpliwącemu się Górcie gen. Hoffman oświadczył, 24 grudnia, że wprawdzie z powodu Święt ostateczna decyzja zapadnie w Berlinie nie wcześniej niż 27 grudnia, ustalony na 5 stycznia termin opuszczenia Wilna przez Niemców nie zostanie przyśpieszony.

Dwudziesty siódmy grudnia nie był najlepszym dniem dla pobierania przez Niemców decyzji przychylniej dla Polaków. Gdy o godzinie 10 rano rozpoczęło się w Berlinie rozszerzone posiedzenie rządu Niemieckiej Republiki z udziałem wszystkich Sekretarzy Stanu oraz przedstawicieli Rad Żołnierskich, wydarzenia

w Poznaniu wysunęły się na plan pierwszy, przyćmiewając zarówno sprawę Wilna, jak i transportów z Ukrainy. Trudno się dziwić, że w ówczesnym nastroju obie te sprawy, wbrew początkowemu pozytywnemu stanowisku i wnioskowi zarówno władz wojskowych jak i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zostały załatwione negatywnie. W sprawie Wilna za pretekst posłużyła, nieprzewidująca takiej ewentualności, umowa zawieszenia broni ze Sprzymierzonymi. Powiadomiony o tym Górka tegoż wieczora opuścił Kowno, zaś gen. Szeptycki skierował jeszcze jedną alarmującą depeczę do płk. Vyx.

29 grudnia Naczelnik Państwa omawiał wytworzoną sytuację z ówczesnym Ministrem Spraw Zagranicznych, Leonem Wasilewskim.

WASILEWSKI: (kończąc)... tak w końcu Górka nic nie osiągnął.

PIŁSUDSKI: Skoro znaleźliśmy się z nimi w stanie wojny w Poznańskim, trudno wymagać, by szli nam na rękę na Wschodzie. Ale Berlin nie ma dziś ostatniego słowa. Wydarzenia na Wschodzie dotyczą nie tylko całej Polski, lecz również całej Europy. Czy jednak Paryż, dla którego Polskę reprezentuje wciąż Dmowski, zechce to w końcu zrozumieć?

WASILEWSKI: Przysłali przecież Paderewskiego tutaj.

PIŁSUDSKI: Ale czy i on rozumie, co się tu dzieje? Czy ma dość wiary w Polskę, w jej siły moralne i materialne? Paderewski uważa, że tylko Ententa może nas obronić przed bolszewizmem.

WASILEWSKI: Istotnie Paderewski chciałby sprowadzić wojska Sprzymierzonych tutaj. Sądzi, że sama ich obecność powstrzyma Moskwę przed dalszym posuwaniem się na Zachód.

PIŁSUDSKI: Nie rozumie, że międzynarodowe wojska na Wschodzie działałyby nie w naszym, lecz w rosyjskim interesie. Nie w interesie dzisiejszej Bolszewii, lecz dawnej i — może — przyszłej Wielkiej Rosji, której pamięć i widmo są wciąż żywe w Paryżu. W walce z Rosją o nasze prawa i interesy nie możemy liczyć na pomoc Zachodu. Sami musimy dać sobie radę. Byleby Zachód nam w tym nie przeszkadzał, jak to obecnie czynią Niemcy. (Po chwili) A gdybym tak, jako Naczelnik Państwa Polskiego, zwrócił się bezpośrednio do Paryża, do Clemenceau jako Przewodniczącego Najwyższej Rady Wojennej?

WASILEWSKI: O co?

PIŁSUDSKI: O wywarcie nacisku na Niemców, by wypuścili nasze wojsko do Wilna i wydali broń Samoobronie.

WASILEWSKI: Nie byłoby to zgodne z protokołem międzynarodowym, by Głowa Państwa sam występował w takiej sprawie. Można się także narazić na afront, że, skoro nas tam nie uznają, nie udzielą w ogóle odpowiedzi.

PIŁSUDSKI: Gwizdź na protokół i afront, gdy chodzi o Wilno.

WASILEWSKI: Formy w stosunkach międzynarodowych mają istotne znaczenie. Poza tym chodzi przecież o osiągnięcie pozytywnego skutku, którym nie będzie brak odpowiedzi. Do rządów mocarstw sprzymierzonych należałoby się zwrócić za pośrednictwem uznawanych przez nie polskich reprezentantów dyplomatycznych.

PIŁSUDSKI: Są to przecież reprezentanci Komitetu Narodowego w Paryżu, nie Rządu Polskiego w Warszawie. Nie zrobią tego, na czym nam zależy.

WASILEWSKI: August Zaleski z Berna nawiązał ze mną kontakt, i, sądzę, że robi, gdy go o to poproszę.

PIŁSUDSKI: Niech więc w formalnej 'drodze dyplomatycznej' powtórzy moją niedyplomatyczną depeszę. Dwa grzyby w barszczu nie zaszkodzą.

WASILEWSKI: Czy jednak decyzja o wysłaniu depeszy do Clemenceau jest nieodwołalna?

PIŁSUDSKI: Tak, zrobię to dziś jeszcze. Tekst depeszy przekazesz następnie Zaleskiemu do powtórzenia w formalnej 'drodze dyplomatycznej'. Poza tym trzeba również formalnie uprzedzić Cziczierina, że sięganie przez nich po Wilno, to wojna z nami.

WASILEWSKI: Zrobię to w najbliższej nocy, choć może w nieco innych słowach.

PIŁSUDSKI: Forma należy do was, dyplomatów, byleby treść była jasna i nie budziła wątpliwości.

Scena 2 — Odsłona 6

Depesza iskrowa Naczelnika Państwa Polskiego do Przewodniczącego Najwyższej Rady Wojennej Sprzymierzonych w Paryżu.

Warszawa, dnia 29 grudnia 1918 r.

Władze niemieckie od pewnego czasu rozpoczęły systematyczną ewakuację terytoriów zwanych *Ober-Ost*, wydając je w ręce Czerwonej Armii i band bolszewickich. 4 stycznia Niemcy

mają opuścić Wilno, które zostanie przez to narażone na wszystkie okropności bolszewickiego reżymu, jeśli wojska polskie nie przybędą w porę, aby zatrzymać najście czerwonych gwardii i pozwolić miejscowej ludności na zorganizowanie obrony. Oddziały polskie są gotowe do natychmiastowego wysłania do Wilna, lecz rząd w Berlinie wydał ostatnio gen. Hoffmanowi, Dowódcy *Ober-Ostu*, rozkazy by odmówił prawa transportu oddziałom polskim pod pretekstem, że ich obecność w Wilnie byłaby sprzeczna z ogólnymi warunkami zawieszenia broni zawartego ze Sprzymierzonymi. Pozwalam sobie prosić o spowodowanie, by Rząd Niemiecki niezwłocznie udzielił oddziałom polskim, których jedynym celem jest zachowanie porządku i zatrzymanie bolszewickiej inwazji, prawa swobodnego przejazdu. Proszę również o wydanie niemieckim władzom wojskowym poleceń przekazania miejscowym polskim organizacjom anty-bolszewickim broni w ilości wystarczającej dla zorganizowania obrony. Najmniejsza zwłoka grozi katastrofą dla bezpieczeństwa Litwy oraz całej Polski.

(Treść tej depeszy została powtórzona w notach, złożonych reprezentantom Mocarstw Sprzymierzonych przez polskiego agenta dyplomatycznego w Bernie szwajcarskim w dniu 30 grudnia 1918 roku).

Scena 2 — Odsłona 7

Wyjątki z noty Polskiego Ministra Spraw Zagranicznych do Sowieckiego Komisarza Spraw Zagranicznych wysłanej w dniu 30 grudnia 1918 r.

...Niestety, liczne fakty stwierdzają agresywny charakter polityki rosyjskiego rządu sowieckiego, którego siły zbrojne załapały Litwę i Białoruś i wprowadzają tam obcą tym narodom administrację... pozbawiając je prawa samostanowienia o swoim losie. Zważywszy, że część tych terytoriów jest bezsprzecznie polska, te posunięcia bezpośrednio naruszają żywotne interesy Narodu Polskiego. Co więcej, obecność w szeregach armii sowieckiej oddziałów złożonych z Polaków i uzurpujących sobie nazwy miast Rzeczypospolitej Polskiej, takich jak Warszawa i Sandomierz, oraz przeznaczonych, według najbardziej zasługujących na wiarę informacji, do okupowania terytorium Rzeczypospolitej Polskiej w celu wzniecenia tam społecznej rewolucji, muszą być uważane za posunięcia napastnicze, nakładające na Rząd Polski obowiązek

reagowania w sposób najbardziej energiczny... W niedalekiej przyszłości Rząd Polski może być zmuszony do obrony przy pomocy siły zbrojnej integralności terytorium zamieszkałego przez Polaków przeciwko inwazji armii rosyjskiego rządu sowieckiego...

Scena 2 — Odsłona 8

CZAS: Tymczasem w Wilnie, rozkołysanym przez podjętą przez Klingiera kampanię masowych wieców, większość miejskiej Rady Delegatów Robotniczych ustosunkowywała się podejrzliwie i negatywnie do narzucanego jej przez Moskwę „robotniczego rządu” Kapsukasa. Jednocześnie, zwołany na 28 grudnia Zjazd przedstawicieli ludności polskiej „z całego kraju po tej linii frontu”, w uchwałach powziętych 30 grudnia wypowiedział się stanowczo przeciwko imperialistycznym zakusom ze strony działającej poprzez marionetkowy „rząd” Rosji oraz, „uznając niepodległość Państwa Litewskiego w jego granicach etnicznych”, zastrzegł się przeciwko uroszczeniom tego Państwa do Wilna i jego okęgu, a rozgraniczenie pomiędzy Polską i Litwą etniczną uzależniał od stosunków, jakie się ustalą pomiędzy tymi państwami.

Nazajutrz po powzięciu takich uchwał, na czwierć uzbrojona Samoobrona wystąpiła czynnie i bez trudu objęła w mieście faktyczną władzę. Urzędujący dotąd w Wilnie Tymczasowy Rząd, powołany przez tzw. „Tarybę”, wyniósł się do Kowna, zaś najwybitniejsi przedstawiciele oraz zwolennicy „rządu” Kapsukasa ukryli się w mieście lub umocnili w swojej kwaterze głównej przy ulicy Wroniej. Wojskowe władze niemieckie, po opróżnieniu centrum miasta, przeprowadzały dalszą ewakuację. Za oddziałami niemieckimi posuwała na Zachód Armia Czerwona. W pierwszych dniach stycznia 1919 r. w Warszawie Naczelnik Państwa ponownie omawiał sytuację z Ministrem Spraw Zagranicznych.

PIŁSUDSKI: Z Paryża wciąż nie ma wiadomości?

WASILEWSKI: Ani z Paryża, ani z Berna; Zachód nie reaguje. Ale Wilno przecież nasze.

PIŁSUDSKI: W Wilnie nie jest dobrze. Na Wejtkę nigdy bardzo nie liczyłem, ale i Klingier sprawił mi zawód. Wyraźnie się błążni.

WASILEWSKI: Błążni?

PIŁSUDSKI: Tak. Przysłał mi długi raport z 30 grudnia, w którym pisze: (czyta) 'Komendancie! Oto mój raport: Pod nieudolne, leniwe, ospałe, tchórzliwe i zdeprawowane społeczeństwo wileńskie na czterech wiecach, z których wczorajszy w Cyrku

liczył około 8.000 ludzi, podłożyłem taką masę dynamitu, że ogarnął je obecnie istny szal wojenny...

WASILEWSKI: Co za styl! Nie sądziłem, że tak do Naczelnego Wodza piszą oficerowie sztabowi.

PIŁSUDSKI: Nie zawsze i nie wszyscy. W tym wypadku wygląda mi, że mamy do czynienia z aktorem, który nie dorósł do roli, jaką mu wyznaczyłem w tym historycznym dramacie. A ambicje ma duże, i o sobie mniemanie. Dalej w swoim raporcie pisze (czyta): „Tu wszyscy się wszystkich boją, a ja, z tego korzystając, gorączkowo i pośpiesznie organizuję się pod względem wojskowym, by w nocy z piątego na szósty, w ślad za ustępującymi Niemcami, natychmiast opanować przemocą miasto”.

WASILEWSKI: Za dużo widocznie podłożył 'dynamitu', skoro wybuch nastąpił o tydzień prawie wcześniej, niż był przewidziany.

PIŁSUDSKI: Ująć w polskie ręce polskie miasto nie trudno, trudniej je w nich utrzymać. Szczególnie, gdy ma się mało broni i wytwarza bałagan organizacyjny. Jak mi dalej pisze Klingier, ma zaledwie około 750 karabinów i tylko 4 kaemy, a dotychczasową Samoobronę wojskową, „jako starcze idiotyczne bagno” rozwiązał, zastępując przez Polski Okręg Wojskowy na Litwie i Białorusi, z generałem Wejtko i sobą jako Szefem Sztabu na czele. Najwyraźniej nie rozumie, jakie mi przez to sprawia trudności polityczne.

WASILEWSKI: Istotnie. Już dziś zjawiała się u mnie delegacja Taryby z notą, podpisaną w Kownie przez Ministra Prezydenta Slezewiciusa, za Ministra Spraw Zagranicznych. W nocy tej Rząd Litewski żąda by „wszyscy mianowani przez rząd polski komisarze i urzędnicy na terytorium państwa litewskiego byli natychmiast odwołani i aby żaden oddział wojska polskiego nie wstąpił na ziemię Litwy bez uprzedniej zgody rządu litewskiego”. Jeżeli te żądania nie będą spełnione, Slezewicz pisze że „Rząd Litewski będzie zmuszony poczynić odpowiednie kroki”, nie mówiąc o tym, jakie.

PIŁSUDSKI: To nie jest problem. „Tarybowcy” mogliby nam w pewnym stopniu politycznie pomóc, ale zaszkodzić wiele nie mogą. Ich „kroków” się nie boję; mogą mnie co najwyżej zasmucić, jeśli będzie to wysługiwanie się Niemcom lub bolszewikom.

WASILEWSKI: Gorzej, że, jak rozumiem, Klingier wywołał w Wilnie bałagan organizacyjny i to w chwili, gdy grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo i konieczność poważnej walki.

PIŁSUDSKI: Tak, 31 grudnia wydali z Wejtką „Rozkaz Mobilizacyjny” dla wszystkich Polaków na Litwie i Białorusi do Wojska Polskiego i przy pomocy tej teoretycznej armii oraz 750 karabinów zamierzają bronić Wilna przed Czerwoną Armią. Jak dufnie ten galicyjski doktor kończy swój raport (*czyta*): „Miasto do nadejścia odsieczy UTRZYMAM. Cześć Zygmunt Klingier, kapitan”.

WASILEWSKI: Tak można mówić na wiecu, ale nie raportować Naczelnemu Wodzowi.

PIŁSUDSKI: Właśnie dlatego powiedziałem, że z Wilnem nie jest dobrze. Być może za błąd, jaki popełniłem w wyborze jednego człowieka, ciężko zapłacą tysiące ludzi.

WASILEWSKI: Może jednak da się jeszcze coś zrobić. Może odsiecz uratuje Wilno.

PIŁSUDSKI: Odsieczy dla Wilna nie będzie.

WASILEWSKI: Dlaczego, Komendancie? Niemcy mogą utrudnić czy uniemożliwić skorzystanie ze znajdującej się pod ich zarządem kolei, czyż jednak w obecnej swej sytuacji mogą nam zamknąć wszystkie drogi do Wilna? To potrwa trochę dłużej, ale może ten tydzień czy dni 10 Samoobrona przetrzyma.

PIŁSUDSKI: To samo mi pisze Studnicki, który przyjechał ostatnio do Warszawy i prosi o audiencję w tej sprawie. Pisze o niedołężności kierownictwa w Wilnie i o olbrzymiej ilości gotowego do walki materiału ludzkiego. Sądzi, że wysłanie jako forpoczty kilku opancerzonych samochodów z karabinami maszynowymi oraz kilkuset ludzi mogłoby Wilno zbawić. Jego zdaniem, większość dowódców oddziałów niemieckich nie stawiałaby dziś zbyt stanowczo oporu posuwającej się ku Wilnu polskiej kolumnie. Sam gotów jest wziąć udział w takiej wyprawie, by w razie potrzeby pertraktować z niemieckimi oficerami.

WASILEWSKI: Studnicki umie mówić z Niemcami. Ten jego plan może mieć szanse powodzenia.

PIŁSUDSKI: W obecnej sytuacji ogólnej nie mogę iść na to ryzyko. Sił mam za mało. We Lwowie znowu się pogorszyło, a i w Warszawie na dziś i — może — na jutro muszę mieć trochę wojska. Konieczność dania posiłków dla Lwowa jest widoczna, a los Wilna stanowi jakby zasadzkę w całym planie wojennym. Nie mogę dać się wciągnąć w tę zasadzkę i Wilno muszę narazie poświecić, co — wiesz przecie — wcale nie jest dla mnie łatwe (*Ostatnie słowa mówi z bólem i łzami w oczach*).

WASILEWSKI: Ależ Wilno odbierzemy, Komendancie!

PIŁSUDSKI: Tak, ale co się ono przez ten czas nacierpi...

Scena 3 — Odsłona 9

CZAS: 12 stycznia 1919 roku, w gabinecie Ministra Spraw Zagranicznych Pichona na Quai d'Orsay w Paryżu, odbywało się pierwsze posiedzenie Konferencji mającej przygotować traktat pokojowy z Niemcami. Było to zebranie tzw. Rady Dziesięciu, złożonej z szefów rządów oraz ministrów spraw zagranicznych pięciu zwycięskich wielkich mocarstw. Obrady rozpoczęto od wystąpienia referatu Naczelnego Dowódcy Wojsk Sprzymierzonych, marszałka Focha, o wykonaniu przez Niemcy warunków zawieszenia broni, które miało być odnowione w dniach najbliższych.

FOCH (*kończąc referat*)... tak się przedstawiają sprawy w Europie Zachodniej i Środkowej. Znacznie gorzej jest na Wschodzie. Tam działania wojenne właściwie nie uległy przerwie, bądź to dzięki akcji bolszewików, bądź Niemców. Zamieszanie, jakie istnieje na tamtych terenach, stanowi niebezpieczeństwo dla całej Europy. W szczególności sytuacja ludności polskiej nie pokrywa się z udzielonymi Polsce obietnicami sprzymierzonych. Znakomity polski artysta Paderewski, który obecnie jest w Polsce, jeszcze 4 stycznia telegrafował do płk. House o bolszewickiej inwazji na tereny dawnej Polski i o zagrożeniu Wilna, Mińska i nawet Grodna. Obecnie wojska czerwone zajęły już Mińsk i Wilno i zagrażają Warszawie. Jednocześnie, podczas pobytu pana Paderewskiego w Poznaniu, wybuchły tam zamieszki i toczą się, czy też toczyły, walki polsko-niemieckie. Sądzę, że w tej sytuacji obowiązkiem Sprzymierzonych jest przyjąć z pomocą Polakom. Dla utrzymania spokoju w Polsce i zatrzymania posuwania się bolszewików na Zachód wystarczyłyby nieznaczne siły, w pierwszym rzędzie amerykańskie i pod amerykańskim dowództwem, z udziałem jednak i innych mocarstw. Proponowałbym wysłanie do Polski przez Gdańsk dywizji amerykańskiej oraz pułków francuskiego, brytyjskiego i włoskiego, które by obsadziły port gdański oraz linię kolejową Gdańsk-Warszawa. Obecnie, przy odnawianiu zawieszenia broni, należałoby to wyraźnie zastrzec, wprowadzając odpowiednie klauzule. Szczegóły tego wniosku są omówione w notatce, którą wczoraj pozwoliłem sobie Panom przedłożyć.

WILSON: Przeczytałem Pańską notatkę i obawiam się, że sprawa w niej poruszona pozornie tylko jest zagadnieniem szczegółowym i technicznym, które może być załatwione od ręki przy okazji odnawiania zawieszenia broni. W istocie stanowi ona inte-

gralną część dużo szerszego i trudniejszego zagadnienia: jak powstrzymać posuwanie się bolszewizmu w kierunku zachodnim. Można żywić poważne wątpliwości, czy da się to w ogóle osiągnąć przy pomocy siły zbrojnej. Tę kwestię, zresztą, należy szczegółowo rozważyć i omówić. W każdym jednak razie nie jestem za wysyłaniem wojsk amerykańskich do Polski. Wojna już się skończyła i nasi chłopcy powinni wracać do domów. Nie będę ich zatrzymywał w Europie ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

LLOYD GEORGE: Całkowicie podzielam zdanie Pana Prezydenta. Nie mógłbym poprzeć wniosku marszałka Focha przede wszystkim dlatego, że wiąże się on zasadniczo z naszą ogólną polityką w stosunku do bolszewizmu. Tę właśnie kwestię musimy przedyskutować jak najszybciej w jej całokształcie.

CLEMENCEAU: Może zatem istotnie lepiej odłożyć decyzję w sprawie wniosku marszałka Focha do czasu, aż rozważymy w całości zagadnienie bolszewizmu.

PICHON: Dzisiaj, natomiast, rozpoczynając prace Konferencji Pokojowej, musimy formalnie zdecydować sprawę udziału w niej Rosji. W Paryżu znajduje się szereg wybitnych, powszechnie znanych i szanowanych Rosjan, takich na przykład, jak książę Lwow, ambasador Makłakow, minister Sazonow i inni, z przedstawicielami socjalistów, jak Sawinkow i Czajkowski, łącznie. Wystąpili oni z prośbą, by ich dopuścić do prac Konferencji w charakterze reprezentantów Rosji. Osobiście jestem zdania, że Rosja, jako państwo, oficjalnie na Konferencji reprezentowana być nie może aczkolwiek byłoby pożyteczne, byśmy mogli zapoznać się z poglądami tych panów na sprawy bieżącej polityki.

LLOYD GEORGE: Przede wszystkim musimy sami ustalić zasady naszej polityki w sprawie Rosji. Co mamy robić: wycofać wojska z Rosji, czy też je wzmocnić? Co się zaś tyczy wymienionych osób, to, być może, reprezentują one wszystkie rosyjskie poglądy z wyjątkiem jednego tego właśnie, który jest panujący w Rosji...

WILSON: *(przerywając)*: Jakiż to pogląd uważa Pan za panujący w Rosji?

LLOYD GEORGE: Pogląd rosyjskich chłopów. Możliwe, że Rosji nie reprezentują bolszewicy, ale na pewno dzisiejszej Rosji również nie reprezentują, ani książę Lwow, ani nawet Sawinkow.

SONNINO: Czyż nie moglibyśmy, formalnie pozostawiając miejsce Rosji na Konferencji nie obsadzone, wysłuchać tych panów, lub ich poprosić o złożenie pisemnych memoriałów o stosunkach rosyjskich. Mogłoby to nam się przydać przy naszej merytorycznej dyskusji.

LLOYD GEORGE: Można to robić w charakterze prywatnym, nie oficjalnym. Prywatnie każdy może zasięgać informacji wszędzie, gdzie uważa za wskazane.

Scena 3 — Odsłona 10

CZAS: Merytoryczna dyskusja ogólna w „SPRAWIE ROSYJSKIEJ” toczyła się na kilku posiedzeniach Rady Dziesięciu pomiędzy 16 i 22 stycznia 1919 r. Zabierali w niej głos przedstawiciele mocarstw oraz zostali wysłuchali zachodni rzeczoznawcy. Oto co mieli do powiedzenia:

LLOYD GEORGE: Należałoby chyba zacząć od stwierdzenia, że nie znamy w dostatecznym stopniu faktów dotyczących Rosji. Dlatego też nasze nadzieje, że rząd bolszewicki rychło upadnie, zostały zawiedzione. Dziś bolszewizm wydaje się być silniejszy, niż kiedykolwiek dotąd.

WILSON: Widocznie tkwi w nim jakaś ukryta siła, która budzi dlań tyleż sympatii, ile oburzenia wywołują jego bardziej brutalne cechy. Aby jednak ziarna bolszewizmu mogły się gdzieś rozwijać, musi istnieć grunt dla nich podatny.

CLEMENCEAU: Może byśmy, proszę Panów, przed naszą dalszą dyskusją ogólną wysłuchali rzeczoznawców, którzy byli na miejscu. Nasz, francuski, ambasador w Rosji, Noulens, oraz duński poseł, Scavenius, mogliby przytoczyć fakty, których nam tak brakuje.

LLOYD GEORGE: Czy będą to jednak fakty dostatecznie świeże i podane w sposób obiektywny?

CLEMENCEAU: Na razie lepszych i obiektywniejszych rzeczoznawców nie mamy.

GŁOSY: Wysłuchać rzeczoznawców... Prosimy...

CLEMENCEAU: Głos ma pan Ambasador Noulens.

NOULENS: Moim zdaniem, rząd bolszewicki jest zdecydowanie imperialistyczny i dąży do podboju świata. Gdybyśmy, kiedykolwiek, wykazali dość słabości, aby z takim rządem wejść w jakieś porozumienie, nazajutrz ci ludzie zaczęliby wysyłać do nas agitatorów, pieniądze i nawet materiały wybuchowe. Nie kryją się oni bynajmniej, iż zamierzają szerzyć rewolucję przy pomocy wszelkich środków. Lenin jest najwyższym kapłanem tej nowej wiary, a Trocki jest człowiekiem czynu.

LLOYD GEORGE: Jak dawno Pan Ambasador opuścił Rosję?

NOULENS: Przed prawie pół rokiem.

CLEMENCEAU: Wysłuchajmy więc Pośła Scaveniusa, który wyjechał z Rosji znacznie później.

SCAVENIUS: Osobiście jestem zwolennikiem natychmiastowej interwencji. Ostatnio bowiem, ukraińskie wojska Petlury uległy w znacznym stopniu bolszewizacji, a, po zajęciu przez bolszewików Wilna i posuwaniu się ku Warszawie, sytuacja Polaków również się pogorszyła. Kardynalnym błędem byłaby jednak interwencja przy pomocy drobnych sił, tak jak to było robione dotąd. Drobne oddziały ulegają zarażeniu przez bolszewizm w ciągu kilku miesięcy. Właściwą polityką byłoby zniszczenie centralnych ośrodków bolszewizmu w Piotrogradzie i Moskwie. Przeciwnie Moskwie można by skierować polskie wojska przez Wilno i Smoleńsk. Armia ochotnicza Denikina ruszyłaby również na Moskwę, gdyby wiedziała, że ma zapewnioną pomoc wojsk cudzoziemskich. Nie należy zapominać, że bolszewizm w Rosji nie może się ostać bez bolszewizacji reszty świata. Dlatego też jest niebezpieczeństwem światowym, które przestanie istnieć tylko w wypadku zajęcia Moskwy.

CLEMENCEAU: Dziękuję Panom za podzielenie się z nami ich poglądami. Osobiście również uważam niebezpieczeństwo bolszewizmu za duże w chwili obecnej. Tym bardziej, że bolszewizm się rozszerza: atakuje kraje bałtyckie i Polskę, pleni się w Budapeszcie i Wiedniu. Również Włochy są zagrożone, w stopniu prawdopodobnie większym niż Francja. Dlatego też konieczne jest przedsięwziąć coś przeciwko bolszewizmowi.

LLOYD GEORGE: Można, oczywiście, mówić, że bolszewizm jest dla cywilizacji ruchem równie niebezpiecznym, jak nim był niemiecki militarizm, i że należy go zniszczyć. Czy jednak ktoś zaleca poważnie taką politykę? Czy jest ktoś gotów do wprowadzania jej w życie? Czy któreś z zachodnich państw sprzymierzonych gotowe jest wysłać milion ludzi do Rosji? Osobiście wątpię, czy znalazłby się nawet tysiąc chętnych do pójścia tam.

WILSON: Wojska brytyjskie i amerykańskie nie chcą walczyć w Rosji, gdyż obawiają się, aby ich wysiłek nie zmierzał do przywrócenia tam dawnego porządku, który, przecież, był jeszcze gorszy, niż obecny. Z drugiej strony, siła bolszewickich przywódców jest niewątpliwie, częściowo przynajmniej, skutkiem zagrożenia Rosji przez obcą interwencję. Zagrożenie to powoduje skupianie się przy nich mas narodowych.

SONNINO: Ja byłbym za doprowadzeniem do porozumienia wszystkich antybolszewickich partii rosyjskich i udzieleniem im pomocy przy utworzeniu silnego rządu. Pod warunkiem, oczywiście, złożenia zobowiązania, że nie będzie to rząd reakcyjny i, w szczególności, nie cofnie przeprowadzonej już w praktyce reformy rolnej. W ten sposób wytrąciłoby się bolszewikom ich najmocniejszy argument. Gdyby Rosjanie złożyli takie zobowiązanie, byłbym za udzieleniem im pomocy, zarówno w sile żywej w racjonalnych granicach, jak i przez dostarczanie broni, żywności i pieniędzy. Osobiście bowiem sądzę, że bolszewizm stanowi już zbyt poważne niebezpieczeństwo dla mego kraju.

ORLANDO: Ja bym powiedział, że bolszewizm stanowi poważne niebezpieczeństwo dla całej Europy. Dla zapobieżenia szerzeniu się epidemii władze sanitarne ustanawiają kordon sanitarny. Czy podobne środki nie mogłyby być zastosowane do bolszewizmu w celu zatrzymania jego dalszego rozprzestrzeniania się? Być może w ten sposób zostałby on przewyciężony i wygaśł przy całkowitej izolacji.

CLEMENCEAU: Największym naszym nieszczęściem jest to, że musimy znaleźć jakieś rozwiązanie natychmiastowe. Gdybyśmy mieli więcej czasu do dyspozycji, byłbym za zwłoką aż, ewentualnie, wysunęliby się w Rosji na czoło ludzie bardziej rozsądni i kierujący się zdrowym rozsądkiem. Gdyby to tylko ode mnie zależało, byłbym zwlekał, wznosząc jednocześnie przeszkody, zapobiegające dalszemu rozprzestrzenianiu się bolszewizmu. Rozumiem jednak, że nie jestem sam...

LLOYD GEORGE: Postawmy, Panowie, sprawę konkretnie. Kto z Panów, i w jakiej liczbie, mógłby natychmiast wysłać do Rosji wojska regularne lub ochotników?

WILSON: Ja nikogo. Nasi amerykańscy chłopcy mają dość wojny i chcą wracać do domów.

CLEMENCEAU: Francja poniosła zbyt duże straty w ludziach, by mogła nadal szafować krwią swej młodzieży.

ORLANDO: Włochy również nie dysponują, na razie, żadnymi pod tym względem możliwościami.

LLOYD GEORGE: To, chyba, w znacznym stopniu przesądza naszą ostateczną decyzję.

WILSON: Jeśliby bolszewicy powstrzymali się przed dalszą inwazją w Litwie, Polsce, Finlandii i innych krajach, moglibyśmy może podjąć jakąś próbę pogodzenia ich z resztą świata.

CLEMENCEAU: Tylko nie tutaj, w Paryżu. Żaden z oficjalnych przedstawicieli bolszewizmu nie uzyska nigdy prawa wstępu na terytorium francuskie.

LLOYD GEORGE: Terytorium francuskie nie obejmuje jednak całej kuli ziemskiej.

WILSON: Sądzę, że istotnie nie byłoby celowe sprowadzać przedstawicieli bolszewickich nie tylko do Paryża, ale w ogóle do żadnego z krajów Europy zachodniej.

LLOYD GEORGE: Moglibyśmy zorganizować konferencję rosyjską na przykład na terytorium tureckim. Tam bolszewicy mogliby dojechać przez morze Czarne, nie przejeżdżając nawet przez terytorium żadnego z państw europejskich.

SONNINO: Chyba na Psich Wyspach pod Konstantynopolem.

LLOYD GEORGE: Doskonały pomysł, tym bardziej, że te wyspy oficjalnie nazywają się Książęcymi.

CLEMENCEAU: Skoro Panowie są za tym, może by Pan Prezydent Wilson był łaskaw zaprojektować orędzie, w którym stanowisko państw sprzymierzonych zostałoby w pełni wyjaśnione całemu światu, z Rosjanami i Niemcami włącznie.

GŁOSY: Prosimy, prosimy, Panie Prezydencie.

Scena 3 — Odsłona 11

RADIO (z głośnika): Uwaga, uwaga! Nadajemy ostatnie wiadomości. Dziś, dnia 24 stycznia 1919 r. Rada Najwyższa Sprzymierzonych w Paryżu jednomyślnie uchwaliła wezwanie wszystkich zorganizowanych grup, które sprawują, lub usiłują sprawować, władzę polityczną na terytorium Imperium Rosyjskiego w jego granicach z 1914 roku, do zaprzestania walk bratobójczych oraz wysłania swoich przedstawicieli na Wyspy Książęce w pobliżu Konstantynopola, gdzie mogliby oni rozpocząć obrady z przedstawicielami Zjednoczonych Mocarstw w sposób najbardziej swobodny i szczerzy, ujawnić życzenia wszystkich części narodu rosyjskiego oraz, jeśli to będzie możliwe, dojść do jakiegoś porozumienia, dzięki któremu Rosja mogłaby określić swe własne zamiary oraz mogłyby zostać ustalone szczęśliwe stosunki współpracy pomiędzy jej narodem a innymi narodami świata.

Pełny tekst zaprojektowanego przez Prezydenta Wilsona wezwania do rosyjskich ugrupowań politycznych zostanie nadany później. Na ich odpowiedź Sprzymierzeni będą czekali do dnia 14 lutego, po czym, ewentualnie, zostanie ogłoszony termin rozpoczęcia konferencji.

Scena 3 — Odsłona 12

CZAS: Zaproszenie na Wyspy Książęce Polski nie dotyczyło. W zasadzie uznawana za państwo niepodległe, była ona przez mocarstwa wyłączona z terytoriów przedwojennego Imperium Rosyjskiego. Ale w jakich granicach? ta sprawa wyraźnie postawiona nie była. Oficjalne uznanie suwerennego Państwa Polskiego i jej niezawistego rządu (ale nie granic!) nastąpiło po dyskusji na Radzie Najwyższej Sprzymierzonych w Paryżu w dniach 21-29 stycznia 1919 roku. Dyskusja ta została wywołana przez skierowane do Rady Najwyższej prośby Ignacego Paderewskiego, szefa nowego, utworzonego 16 stycznia, rządu polskiego. W toku dyskusji, jako reprezentanci polscy, wystuchani zostali Roman Dmowski oraz Erazm Piltz.

WILSON: Otrzymałem pismo od Pana Paderewskiego, który jak Panowie wiedzą, został ostatnio Prezydentem Rządu Polskiej Republiki. Pisze o trudnościach, jakie ma Polska w Galicji Wschodniej oraz na innych terytoriach i prosi, abyśmy się zwrócili do ukraińskiego Dyrektoriatu w Kijowie o zaprzestanie interwencji na polskich terenach...

LLOYD GEORGE (przerywając): Mam duże wątpliwości, czy Wschodnia Galicja jest terenem polskim i sądzą, że powinniśmy się zwrócić do Pana Paderewskiego, by Polska zaprzestała tam interwencji.

WILSON (w dalszym ciągu): Poza tym Pan Paderewski prosi o możliwie rychłe przysłanie do Polski wojsk gen. Hallera oraz zapasów sprzętu i zaopatrzenia wojennego, żywności i odzieży, podnosząc grożące Polsce niebezpieczeństwo zewnętrzne, w szczególności ze strony bolszewików.

CLEMENCEAU: Wojska Hallera można by wysłać przez Gdańsk i Toruń. Rząd brytyjski wyraził już na to swoją zgodę.

WILSON: Czy jednak istotnym celem tej ekspedycji będzie wyłącznie obrona Polaków przed nieprzyjaciółmi z zewnątrz. Możeby Pan Naczelnny Dowódca zechciał udzielić nam fachowych wyjaśnień w tej sprawie.

FOCH: Armia gen. Hallera we Francji składa się obecnie z jednej całkowicie sformowanej dywizji, drugiej na ukończeniu i trzeciej, która liczy do 20.000 ludzi i jest w trakcie formowania. Czwartą dywizję można sformować we Włoszech. Wojska te należy wysłać do rosyjskiej Polski dla jej obrony przed bolsze-

wikami, ale władze polskie powinny się zobowiązać do nie używania ich na terenach spornych. Muszę zaznaczyć, że, jak dotychczas, polityka polska jest dość ekscentryczna i nieskoordynowana. Zagrożeni przez bolszewików na Wschodzie, Polacy, nie koniecznie będąc do tego zmuszeni, zajmują Poznańskie na Zachodzie oraz Galicję na południu. W rezultacie ich siły ulegają rozproszeniu i nigdzie nie mogą osiągnąć powodzenia.

BALFOUR: Polaków najtrudniej jest skłonić do przyjęcia jakiegoś ograniczonego programu i, sądząc, że w końcu trzeba będzie im taki program narzucić. Obecnie Polacy wykorzystują okres pomiędzy zakończeniem działań wojennych a powzięciem decyzji przez Konferencję Pokojową, by rozciągnąć swą władzę poza obszar Polski rosyjskiej. W niektórych wypadkach jest to uzasadnione, w wielu innych — nie. W stosunku do Poznańskiego mają oni niewątpliwe prawa, ale już kwestia Gdańska nastrocza specyficznych trudności. Jeśli chodzi o Galicję Wschodnią, to według wszelkich informacji jakie uzyskałem, bynajmniej nie pragnie ona należeć do Polski. Moim zdaniem, należy zawezwać tutaj przedstawicieli Polaków i im oświadczyć, że mają się ograniczyć wyłącznie do obrony terytoriów niewątpliwie polskich przed inwazją z zewnątrz. Ustalenie ostatecznych granic Polski należy pozostawić Konferencji Pokojowej, zaś Polakom należy w imieniu mocarstw wskazać, jaką ma być ich linia postępowania przed powzięciem ostatecznych decyzji.

WILSON: Osobiście, mam co do tego wszystkiego coraz więcej wątpliwości. Sprawa Gdańska ma na razie pozostać otwarta, a jednocześnie sugeruje się tutaj jego zajęcie. Obawiam się, że przez wysłanie do Polski oddziałów polskich z Zachodu możemy faktycznie przesądzić całokształt sprawy polskiej. Z drugiej jednak strony, jeśli mamy zalecać Polakom powstrzymywanie się od wszelkiej akcji, to to samo należałoby zrobić i w stosunku do innych. Wszyscy powinni wiedzieć, że przez przedwczesną akcję sami sobie zaszkodzą. Poza tym, dopierośmy co postanowili w sprawie rosyjskiej podjąć próbę pogodzenia bolszewików z resztą świata. Gdyby to się udało, niebezpieczeństwo inwazji bolszewickiej na Polskę odpadłoby automatycznie. Pan Paderewski, zresztą, w swoim liście nalega głównie na przysłanie mu broni i zaopatrzenia wojennego. Píše, że ma do dyspozycji od 600 do 800 tysięcy ludzi, gotowych do walki, jeśli tylko będą mieli broń i amunicję.

FOCH: Nie mam żadnej możliwości sprawdzenia danych Pana Paderewskiego, nie sądząc jednak, aby jego siły miały dużą wartość bojową.

LLOYD GEORGE: Za mało mamy danych o faktycznej sytuacji w Polsce i, w tych warunkach, wszelka nasza akcja może wywołać tylko zamieszanie. Faktem jest, że Polacy przy pomocy siły zbrojnej usiłują przesądzić decyzje Konferencji Pokojowej. Zresztą to samo robią Rumuni, ale ci, przynajmniej, nie proszą nas o pomoc. Polacy zaś chcą od nas wszystkiego — środków transportowych, zaopatrzenia, broni i amunicji...

WILSON (*przerzywa*): Chciałbym zauważyć, że Pan Paderewski prosi o to wyłącznie dla zorganizowania obrony przeciwko bolszewikom.

LLOYD GEORGE: Nikt z nas nie ma wątpliwości co do prawdomówności i uczciwości Pana Paderewskiego. Ale wśród Polaków są różne elementy i Pan Paderewski niewątpliwie nie może panować nad całością sytuacji. Przysłana przez nas broń może znaleźć się w innych, mniej powołanych, rękach.

FOCH: Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że Polska się udusi przed ostatecznym ukonstytuowaniem się. Nie ma ona baz, ani wyjść na świat; nie ma środków komunikacji, ani zapasów; nie ma wreszcie armii. Jednocześnie Polacy walczą z bolszewikami, którzy, być może, nacierają na nich, z Ukraińcami, na których sami natarli, oraz z Niemcami, od których chcą wyrwać Poznańskie. Z wojskowego punktu widzenia, taka polityka nieuniknienie musi doprowadzić do skutków fatalnych.

CLEMENCEAU: Sądząc, że w tych warunkach, przed powzięciem ostatecznych merytorycznych decyzji, dobrze by było wysłać do Polski Międzynarodową Komisję dla zorientowania się w sytuacji na miejscu. Tym bardziej, że przedstawiciele polscy, których mamy zaraz wysłuchać, stale przebywając w Paryżu, tej sytuacji również bezpośrednio nie znają.

LLOYD GEORGE: Doskonała myśl. Poza fachowymi wojskowymi w skład takiej komisji muszą wejść także doświadczeni politycy. W Polsce istnieje zadawniony spór pomiędzy feudalnymi panami i chłopstwem i my, oraz nasi przedstawiciele na miejscu, powinni się w tym zorientować, aby nie stanąć ślepo po jednej lub drugiej stronie.

CLEMENCEAU: Może wrócimy jeszcze do sprawy Komisji po wysłuchaniu polskich przedstawicieli, którzy już powinni być tutaj. (*Do woźnego*) Proszę poprosić Panów przedstawicieli Narodowego Komitetu Polskiego. (*Na salę zostają wprowadzeni Dmowski i Piltz*).

CLEMENCEAU: Udzielam głosu Panu Dmowskiemu.

DMOWSKI (*zaskoczony*): Przepraszam, ale o czym właściwie mam mówić?

CLEMENCEAU: Niech Pan przedstawi nam całość zagadnienia polskiego, by zorientować zebranych co do obecnej sytuacji w Polsce.

WILSON: W szczególności, niech Pan nam powie, czego Polska od Sprzymierzonych oczekuje? Czym i jak, moglibyśmy obecnie przyjść Polsce z pomocą?

DMOWSKI: Z aktualnych spraw najważniejszą, bodaj, jest kwestia należytej interpretacji i stosowania art. 12 umowy o zawieszeniu broni. Gdyby, zgodnie z tym artykułem, wojska niemieckie pozostawały na Ziemiach Wschodnich, ich obecność chroniłaby Polskę przed bolszewizmem. Rewolucja w Niemczech spowodowała, że Niemcy wycofali się raptownie, pozostawiając swój sprzęt i zapasy bolszewikom, co było największą zbrodnią z ich strony. Pozbawiona wojska i broni, Polska znalazła się pomiędzy bolszewickim rządem w Moskwie z jednej strony i rewolucyjnym rządem w Berlinie z drugiej. Musiała więc dostosować się do tej niezwykle trudnej sytuacji i przybrać, niejako, „barwę ochronną”. Dlatego tylko mógł powstać i utrzymywać się w Warszawie socjalistyczny rząd Piłsudskiego, pomimo iż miał on przeciwko sobie większość społeczeństwa nawet w byłym zaborze rosyjskim, nie mówiąc już o bardziej politycznie wyrobionych i zorganizowanych zaborach pruskim i austriackim. Z tych też względów nasz Komitet ustosunkował się negatywnie do wysuwanych w kraju projektów obalenia tego rządu, natomiast w poszukiwaniu rozwiązania kompromisowego wysłaliśmy do Polski Pana Paderewskiego, którego największym plusem było to, że dotąd nie brał udziału w polityce partyjnej. Obecnie kompromis został osiągnięty i rząd socjalistyczny dobrowolnie ustąpił na rzecz rządu Pana Paderewskiego.

CLEMENCEAU: Może Pan przerwie na chwilę, Panie Dmowski, by dać czas tłumaczowi na przełożenie Pańskiego referatu na angielski. Pan Prezydent Wilson nie rozumie po francusku.

DMOWSKI: Nie mam zaufania do urzędowych tłumaczy i, jeśli Pan Przewodniczący pozwoli, zrobię to sam. Po angielsku mówię nie gorzej niż po francusku. Mogę zresztą dalej mówić od razu po angielsku.

CLEMENCEAU: Niestety, ja nie rozumiem po angielsku i będę prosił o tłumaczenie na francuski.

DMOWSKI (po przetłumaczeniu mówi w dalszym ciągu): Jak już wspominałem, zrewolucjonizowani Niemcy współdziałają z bolszewikami przeciwko Polakom. Tak, na przykład, niemiec-

ki generał w Wilnie odmówił przepuszczenia dla jego obrony oddziałów polskich. Celem bolszewików jest jak najszybsze osiągnięcie terytorium Niemiec i połączenia się tam z grupą Spartakusowców. Obecnie wojska bolszewickie zagrażają Polsce i są o około 150 mil od Warszawy. Polska ma dość sił ludzkich dla swojej obrony, choć jest zagrożona nie tylko przez bolszewików od wschodu, lecz także przez ukraińskie bandy od południowego wschodu oraz Niemców od północnego zachodu. Brak jej natomiast środków materialnych i technicznych, przede wszystkim broni i amunicji, i jeśli środków tych, oraz pomocy przy organizacji swojej armii, nie uzyska w krótkim czasie, zostanie zgnieciona i zalana przez bolszewizm, który nie ma w niej dla siebie gruntu tylko w bardziej politycznie wyrobionych i zorganizowanych zaborach pruskim i austriackim.

Przechodząc do sprawy granic, uważam, że przy ich ustaleniu należy wyjść ze stanu 1772 roku, co nie znaczy, by ówczesne granice miały być mechanicznie przywrócone: należy je zmodyfikować, dostosowując do obecnych warunków. O Litwie i Ukrainie, jako samodzielnych państwach, myśleć zawczasie: należy je zorganizować w oddzielne jednostki polityczno-prawne i połączyć z sąsiednimi państwami, w szczególności Litwę z Polską. Co do reszty Ziemi Wschodnich, to, obawiam się, że przez dłuższy czas panować tam będzie stan anarchii i, dla zachowania spokoju i porządku wewnątrz swych granic, Polska mogłaby z nich zrezygnować. Sprawy te, jak również kwestię granic z Niemcami i Czechami, muszę omówić bardziej szczegółowo...

CLEMENCEAU (*przerywając*): Może robi Pan to później, na piśmie, gdyż obecnie chcemy się ograniczyć tylko do najpilniejszej sprawy przyścia biednej Polsce z natychmiastową pomocą. Co w tej kwestii ma do powiedzenia Pan drugi przedstawiciel polski?

PILTZ: Przyłączam się całkowicie do wywodów mego poprzednika, podkreślając konieczność pośpiechu, gdyż niedługo może już być za późno.

CLEMENCEAU: Dziękuję Panom za ich cenne uwagi. Mam też nadzieję, że rychło dojdą Panowie do całkowitego porozumienia z bratnimi Czechami i wyrównają ubolewania godny spór o Cieszyn. Umożliwi to nam szybsze przyjście z konkretną pomocą biednej Polsce.

(Dmowski i Piltz opuszczają salę obrad)

CLEMENCEAU: Obecnie możemy wrócić do sprawy projektowanego wysłania do Polski Międzynarodowej Komisji.

SONNINO: Sądzę, że jej głównym zadaniem powinno być skłonienie Polaków, by ograniczyli swoją działalność wyłącznie do przeciwstawiania się bolszewikom.

LLOYD GEORGE: Zupełnie słusznie. I, w szczególności, czuwania, aby pod tym pretekstem nie usiłowali dokonywać dalszych podbojów na Wschodzie i nie postawili nas i Konferencji Pokojowej w obliczu faktu zajęcia Kowna lub Grodna.

(Koniec Aktu Pierwszego)

1962.

Wiktor SUKIENNICKI

Ludzie i książki

(FRAGMENT)

Ludzie byli różni. I tylko niektórzy pozostawili po sobie ślad wyraźny — rysę bólu. Tylko tych obdarzyła pamięć wiecznym życiem, słowa ich brzmią po dzisiaj, twarze ich wychylają się z mroku, niezatarte i pełne wyrazu. Po innych pozostał cień, plama o niejasnych konturach. Ci trwają w pamięci istnieniem zbiorowym, niepełnym. Są sobą i więcej niż sobą — ludzie z ciągu, ludzie z obozów, ludzie z miasta Z. Byli wreszcie tacy, których pamięć odpycha. Tych chciałoby się wynieść poza nawias, raz na zawsze odrzucić, odmówić im prawa istnienia. Ale ci właśnie byli i będą jak ból w kościach, jak szpara w drzwiach.

Trzeba zdobyć się na wysiłek, odepchnąć wszystkie dni dzisiejsze i dni wczorajsze, aby zobaczyć tamtych, pierwszych. Tamci byli swoi i obcy. Swoi nie liczyli się prawie, byli równie rzeczywiści i niezmienni, jak płaszcze w przedpokoju, lub abażur nad stołem. Każdy z nich krążył w ustalonej orbicie i można ich było odkryć łatwo, jak słońce w dzień i księżyc w nocy, bo ruchy ich nie podlegały zmianom nagłym, nie miały w sobie nic z przypadkowości, były celowe i łatwo obliczalne.

Mamę odkryć można było zawsze w kuchni, różową, umąconą, pachnącą świeżym ciastem. Ojciec był obecny w sensie negatywnym, tzn. że go nie było, właśnie miał przyjść, lub właśnie wyszedł, czekano na niego z obiadem, zostawiano mu kolację na stole. Ojciec był w potencjale, zawsze do zrealizowania, lecz zawsze nieuchwytny, jeszcze jedna możliwość, której nie zdążyliśmy wykorzystać.

Babcia żyła we wspomnieniach. W mieszkaniu pełno jeszcze było jej śladów. Tu siadywała wieczorem, robiąc na drutach, tam odpoczywała po obiedzie, słuchając radia. Babci nie można było pominąć, ale trudno było brać ją pod uwagę. Pozostał po niej

Książki

Skład Płyt

Skład Nut

KSIEGARNIA "ZWIĄZKOWCA"

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

ma na składzie WIELKI wybór

POLSKICH KSIĄŻEK

Polecamy polskie książki:

- do nabożeństwa
- powieści
- techniczne
- medyczne
- rolnicze i hodowlane
- podręczniki szkolne.

zaopatrzona jest w DUŻY wybór

POLSKICH PŁYT
GRAMOFONOWYCH

produkowanych
w kraju i za granicą.

- Muzyka
- Śpiew
- Kolędy
- Monolog i recytacje
- Utwory polskich kompozytorów
- w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę” —
Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez
Instytut Literacki w Paryżu

cień, który trwał, jak zapach naftaliny w wyciągniętych z kufra płaszczech.

Swoich zresztą było dużo i pamięć ledwo ich ogarnia — wujkowie o szczeciniastych brodach i rękach pełnych słodczy, ciecie o melodyjnych głosach i falujących biustach. Swoi napływali do domu raz, dwa razy do roku, wnosząc gwar i jakieś echa obcych spraw, obsiadali gęsto wszystkie gałęzie napełniając dom szczebiotem. Trzeba było z ich objęć uciekać, chować się pod kanapę, lub do szaf, by dopiero stamtąd przyglądać się im do woli.

Obcy przeciekali w nasze życie szparami, nie na długo na szczęście i jak gdyby częściowo, jedną nogą pozostając na progu. Panowie mieli głosy grube, przepite, brakowało im ostróg przy lśniących butach i szabel. Panie miały lśniące oczy i matowe nosy, bawiły się pierścionkami, lub mięły batystowe chusteczki. I mama starała się nieznacznie trzymać ręce pod stołem, bo były zaczerwienione i szorstkie. Mama bała się obcych w sposób widoczny nawet dla nich, była nieswoja, przepraszała za wszystko i rozlewała herbatę. Dopiero gdy drzwi zamykały się z trzaskiem po ostatnich ukłonach, mama „powracała do siebie”, łykała „kogutka” i z westchnieniem ulgi zabierała się do naczyn.

Gdyby było można odgradzić się od obcych wielkim murem, takim jaki wybudował wuj naokoło swojej działki, murem z szarej cegły (za murem z szarej cegły miały kwitnąć kwiaty, których trzeba było strzec przed urokiem); gdyby było można opatrzyć wszystkie szpary, wyłączyć dzwonek, żeby obcy pozostali na dworze, żeby nie przyćmiewali słońca, nie zakłócili biegu naszych gwiazd...

Boję się obcych lękiem mojej matki, rozlewam herbatę, zapominam o cukrze, i mówię z nimi, siląc się na grzeczność, o sprawach błahych. Tylko nie ma już złotego abażura, pod oknem nie rosną bratki i w aptece nie sprzedają „kogutków”. Więc żeby nie było tak smutno trzeba zrobić wysiłek, cofnąć się poza lata, po udeptanych drogach, których ostatni zakręt ginie w przeszłości.

Oto Ambroży. Jaki — czy taki jak na fotografiach, pożółkłych od starości? Czy taki, jakim go widziałam ostatnio, ale kiedy, kiedy? Czy Ambroży ma twarz? Nie, twarzy chyba nie ma, jest tylko sylwetka. Ma długie ręce i nogi i lekko pochyla się w przód. Teraz zresztą usiadł, ma w ręku bałajkę, tę właśnie gdzie do środka wrzuciliśmy parę zabitych much. Czy te muchy zmartwychwstaną? Czy wewnątrz bałajki jest dla nich piekło, czy raj? Ambroży gra. Może przyjemne jest pozagrobowe życie we wnętrzu bałajki? Co Ambroży gra? Czyżby „oczy czarne”? A może jakiś nowszy repertuar? Wracają słowa piosenki „O,

jakże się dziś weselą, Rosita i Manuelo...”. Ale czemu się weselą? Gdybym urodziła się raz jeszcze i żyła na hacjendzie — mam, co to znaczy hacjenda?

Po Ambroży nie zostało ani bałajki, ani grobu, kilka listów z frontu — to wszystko. Ambroży nie zagra już więcej. Nie ma hacjendy, nie ma Rosity, nikt się nie weseli. Ale o tym nie wolno myśleć, tego nie trzeba mówić, bo znów jest smutno i zamyka się droga w przeszłość. Przegrałam pierwszą płytę na starym patefonie. Nie wiem, czy brzmiała czysto. Teraz wytrę igłę, nakręcę sprężynę i dam patefonowi odpocząć. Kurtyna spada. Przedstawienie skończone. „Sam wyjdzie każdy gość”.



Nie byliśmy z „takich, siakich”, „kurze spod ogona nie wypadliśmy”, mieliśmy w przeszłości nawet herby rodowe, dziadków w konfederatkach i babkę dowożącą broń powstańcom. W łamencie rodzinnym matka przechowywała ze czcią strzępy wspomnień, które, od czasu do czasu, wyciągała na światło, by je przetrzeć z kurzu, jak stare srebra. Padały wówczas nazwy dóbr rodowych, zaprzepaszczone, lub skonfiskowane przed laty, które dla niej miały jeszcze kolor i zapach, a dla nas były już tylko dźwiękiem: „Grociszki, Mysikiszki...”. Pachniało to wszystko Sienkiewiczem i gotowa byłam uwierzyć, że ciotkę moją porwał Bohun, a wujem moim był Skrzetuski. Słuchaliśmy z zapartym tchem o tych czasach odległych, pełnych wielkich poświęceń i każdy z nas miał swoją „Wierną rzekę” i swój własny, niewyznany nikomu „Sen o szpadzie”. To była „Iliada i Odyseja” dzieciństwa pełna tonów wysokich i czystych, w którą można było wierzyć niezachwianie, bez zastrzeżeń.

O, jakże sztydził się potem z obnażonych szabel na wszystkich Samosierrach, wtedy kiedy wiedzieliśmy z własnego doświadczenia, że „lepszy jest żywy tchórz”... Wtedy, kiedy wierzyliśmy już tylko w święty egoizm — instynkt samozachowawczy, który każe wydrzeć ostatni kawałek chleba z rąk głodnego człowieka. Ale nawet wtedy, kiedy „Sen o kartoflu” zastąpił nam „Sen o szpadzie” i pluliśmy ideałami na wszystkich brzegach „Wiernych rzek”, wiedzieliśmy, że z tamtej „Iliady i Odysei” coś przecież pozostało.



Nie tak łatwo jest zniszczyć przeszłość. Dziadek w konfederatce był może rozpustnikiem i oszukiwał babkę z zaczerwienionymi oczyma, ale legenda tej prawdy nie dochowa. Legenda będzie mu wierna, wierniejsza niż on sam, pokaże go w jego potencjale,

takim jakim bywał czasem, takim jakim mógł być. Srebra rodowe, wyciągnięte z lamusa, będą zawsze błyszczeć, nawet wtedy, gdy nie będzie lamusa, ani sreber.



Nie mam obowiązku mówić prawdy, ani całej, ani niecałej. Może wymyśliłam dziadka w konfederatce i dobra na „prześlanych Inflantach”. Może po prostu pragnę „zadać tonu”, trochę podnieść swój szczebel towarzyski. Gdyby mi nie zabrakło fantazji, mogłabym się wpisać w poczet hrabiów z prawej, czy z lewej ręki, tak modnych na emigracji. Lub pójść w przeciwną stronę i ominąwszy kułaków, umieścić swoich przodków wśród chłopów małorolnych. I nie byłoby to tak dalekie od prawdy...

Nuż mnie te sprawy i nudzą. Czy to nie wszystko jedno kim był ojciec i dziadek, rodzice ślubni, czy nieślubni? Z tego, czy z innego wyszli hektara, takich, czy innych zostawili potomków i przeminęli sławnie, czy bezsławnie...

Jesteśmy dziedzicznie obciążeni tradycją za sztywną i za bardzo złoconą, by ją można przetrwać w życiu. Chorujemy na patriotyczną obstrukcję. Kością nam stają w gardle „prochy naszych przodków, których pamięć”... i tak dalej. Trzeba by raz z tym skończyć i zasadzić kapustą narodowy cmentarzyk — tyle i tyle hektarów dobrej i żyznej ziemi, ziemi „zawsze cierpliwej”.



Czy pamiętasz cmentarz pod sosną? Grzebaliśmy w nim wróble, Ty i ja. Zbijaliśmy im krzyże z patyków, a ja plotłam im wieńce z polnych kwiatów. Nie, nie zabijaliśmy ich sami. To by była perwersja. Jeszcze wtedy nie słyszeliśmy o perwersjach.

Pierwszy, ze złamanym skrzydłem, umierał długo, na oknie, pod paprocią. Wlewaliśmy mu wodę do dzióbka. Drugiego zabił kot. Tych pozostałych zestrzelili podoficerowie w czasie rzezi, tej pierwszej rzezi, kiedy tak się baliśmy, ja i Ty, i trzymając się za ręce, uciekaliśmy od piór i kul. To tak śmiesznie, że w tamtych czasach nawet ptaki miały groby. Ich groby byłabym znalazła, lub raczej miejsce po nich, Twego — nie. Zginął tak głucho i tak niepotrzebnie. Nawet trudno mi powiedzieć, że dla „sprawy”.

To dlatego pisze mi się do Ciebie tak łatwo, z umarłymi zawsze jest łatwo, można ich stwarzać i odtwarzać, nie narażając się na sprzeciw. Z żywymi już jest gorzej. Mogą być naładowani prochem, mogą być sfermentowani, zepsuci. Z żywymi trzeba uważać.

Danuta Irena BIENKOWSKA

Archiwum polityczne

Przegląd niemiecki

GETYNGA

Dwie instytucje, czynne w pochodzącej z czasów Karola Wielkiego *Villa Guttingi*, mogą wywrzeć szczególny wpływ na przyszłe ukształtowanie nieistniejących obecnie stosunków polsko-niemieckich: Uniwersytet, i — „Göttinger Arbeitskreis ost-deutscher Wissenschaftler” — Getyngeski zespół wschodnio-niemieckich uczonych.

Obie instytucje, każda po swojemu, hołdują tradycjom. Uniwersytet — zasadzie jednego ze swych wielkich profesorów ze schyłku XVIII stulecia, że należy pouczać jak ludzie mają myśleć, a nie o czym i co mają myśleć. „Arbeitskreis” natomiast w swej kilkunastoletniej działalności, więcej propagandowej niż naukowej, usiłuje nawrócić do minionych tradycji politycznych z epoki Wilhelmów i Republiki Weimarskiej.

Pod koniec lutego rb. „Zespół” opublikował 30 tez dotyczących zjednoczenia Niemiec w granicach z 1937 roku, oraz stosunków niemiecko-polskich. Do tych tez i do działalności „Göttinger Arbeitskreis-u” wrócimy przy innym temacie. Na razie ograniczmy się do stwierdzenia, że instytucja ta nie ma nic wspólnego z Uniwersytetem.



Ubiegłej jesieni Uniwersytet, założony w 1737 roku przez Jerzego II, króla Anglii i Elektora Hanowerskiego, obchodził 225-lecie istnienia i jednocześnie inaugurację drugiej katedry historii Europy Wschodniej, specjalnie uwzględniającej dzieje Polski. (Pierwsza — zajmuje się głównie historią Rosji. Zarządza nią prof. dr Reinhard Wittram). Na nową katedrę powołano prof. dr. Hansa Roosa z Tybingi. W inauguracyjnym semestrze tematem wykładów były: „Niemcy, Polska i Rosja po 1914 r.”, a tematami ćwiczeń seminaryjnych — „Stosunki niemiecko-polskie”.

W lutym, zaproszony przez profesora, słuchałem jednego z jego wykładów. Obecnych było 16 studentek, 33 studentów i kilkoro przygodnych gości. Cyfry dość wymowne, jeśli zważymy

egzotykę, jaką w Niemczech stanowi historia Polski, oraz końcowe dni semestru. Po wykładzie — obiecany „Kulturze” wywiad.

— *Jakie zadania i plany projektuje pan profesor dla nowo-utworzonej katedry?*

— H.R. — Powierzoną mi katedrę pragnę traktować nie tylko jako instytucję szerzenia wiedzy o wschodnich sąsiadach Niemiec, ale i to może przede wszystkim — jako ośrodek badań ich dziejów. Na przykład: ustrój historycznej Polski nie znał absolutyzmu, czego Zachód, poza nielicznymi specjalistami, wcale nie dostrzega, a poza tym nie wie o polskiej demokracji, której początków można się doszukiwać jeszcze przed ustawą „Nihil novi” z 1505 roku, nie mówiąc już o konstytucji majowej. Poza tym pragnę nawiązać możliwie trwałe stosunki ze wszystkimi poważnymi polskimi instytucjami naukowymi i, oczywiście, z polskimi historykami. Dalej, będę usiłował przyciągnąć, zainteresować i wykształcić jak najliczniejszy zastęp znawców wykładanego przeze mnie przedmiotu. W Niemczech wiedza o wschodnich sąsiadach wśród ogółu społeczeństwa jest dość niska. Można ryzykować powiedzenie, że więcej niż niedostateczna dla sprostania zadaniom chwili bieżącej i przyszłości stosunków ze wschodnimi sąsiadami.

— *Czy można prosić o wyjaśnienie określenia „Wschodni sąsiedzi Niemiec”?*

— H.R. — Przed 1914 rokiem jako wschodnich sąsiadów traktowano w Niemczech niemal wyłącznie Rosjan. Po Wersalu chętnie widziano na wschodzie „państwa sezonowe” — z wyjątkiem może Węgier. Poważnie liczono się tylko z Rosją. Obecnie wagę Rosji na wschodzie Europy nadal trzeba odpowiednio oceniać, ale należy także odpowiednio doceniać wiele innych narodów. Wśród nich naród polski, z racji na jego liczebność, kulturę i tradycję państwową, należy traktować jako człon najważniejszy, jako zwornik, w łuku narodów odgradzających Niemców od etnograficznej Rosji. W tym miejscu pragnę dodać: wiem jak mocno wśród Polaków zakorzenione jest przekonanie, że wszelki niemiecki „Ostforschung” — Badania Wschodu — ma zawsze na celu znalezienie środków do opanowania Europy Wschodniej. Może tak było, zwłaszcza za Trzeciej Rzeszy, ale proszę zapewnić czytelników „Kultury”, że obecnie takie traktowanie zagadnienia, przynajmniej na poziomie katedry uniwersyteckiej i instytutów akademickich, należy do bezpowrotnej przeszłości.

Wracam jeszcze do pierwszego pytania. Za swoje osobiste zadanie uważam stworzenie naukowej placówki, służącej wzajemnemu poznawaniu się obu sąsiadujących narodów. Na dalszą metę winno to przyczynić się w przyszłości do ułożenia przyjaznego, sąsiedzkiego współżycia, które winno zastąpić dotychczasowe skłócenie i niezgodę. Pragnę także wyrazić zadowolenie, że pierwszą w Niemczech katedrę, zajmującą się głównie historią Polski, zainicjował Uniwersytet, w którym przed 1914 rokiem studiowało wielu Polaków, a taki mistrz dziejopisarstwa, jakim był Szymon Askenazy, studia w Getyndze zakończył otrzymaniem tu doktoratu.

— *Jeżeli mówimy o przyszłości stosunków niemiecko-polskich,*

czy mogę prosić pana profesora o zdanie dotyczące mowy hr. Lehn-dorffa, wygłoszonej w historycznym frankfurckim Zborze św. Pawła we wrześniu ubiegłego roku. Chodzi mi zwłaszcza o następujący ustęp tej mowy (1):

„...Z drugiej strony nie podoba mi się gdy my, wysiedleńcy, występujemy z roszczeniami i żądaniami. Nie dlatego, że te żądania byłyby bezcelowe wobec sytuacji światowej, lecz iż — wydaje mi się — są one potwierdzeniem, że jeszcze nie zrozumieliśmy zupełnie dlaczego naród niemiecki utracił tak wielką część swych ziem. My, Niemcy, sami postawiliśmy te ziemie jako stawkę gry, odstępując od zasad, według których byliśmy wychowani i opowiadając się za Hitlerem. Bezspornie, istnieje wiele późniejszych wyjaśnień dlaczego tak się stało. Ale te wyjaśnienia nie są usprawiedliwieniem i nie możemy beztrząsco przesakować cienia, jaki w imieniu Niemiec został rzucony na cały świat.

Niczego bardziej nie pragnę, jak tego, żeby moje dzieci mogły przebywać tam, gdzie moja rodzina od przeszło dziesięciu pokoleń żyła i brała udział w kształtowaniu oblicza kraju. Żeby moje dzieci także wiedziały co znaczy czuć się najmocniej związanym z krajem, jego ludźmi, i być odpowiedzialnym za ich los; żeby one także zacerpnęły coś z tej atmosfery, którą myśmy oddychali.

A jednak nie byłbym dziś w stanie żądać zwrotu tego wszystkiego — tak po prostu, dochodząc swych uprawnień — gdyż wiem dokładnie: gdyby los rzucił, że pewnego dnia moglibyśmy tam wrócić, wówczas dopiero ukazałyby się nam cienie przeszłości w całym swym ogromie, a bezimienne cierpienia doznane na Wschodzie zażądałyby od nas zdania rachunku. Byłoby dla mnie nie do pomyslenia wrócić do Prus Wschodnich i żyć tam dalej, jak gdyby nic nie zaszło.

Prusy Wschodnie stały się dla mnie jakby Ziemią Świętą, krajem należącym do Boga i już choćby dlatego nie mogącym podlegać zwyklemu żądaniu zwrotu. Byłaby tu konieczna nowa misja, aby się uporać z duchami przeszłości. Misja nie mająca nic wspólnego ani z kulturą, ani z gospodarką, czy z jakąś ideologią. Misja, która zmierzałaby do tego, czego najbardziej dziś brakuje naszemu światu, mianowicie: zwracania się do bliźnich z pominięciem własnych interesów. Z ducha takiej postawy kiedyś wyrósł tak zwany Chrześcijański Zachód. Bez takiej postawy nie widzę sposobu mogącego uzdrowić świat, w którym żyjemy”.

H.R. — Osobiście chętnie podpisuję się pod tymi wypowiedziami i jednocześnie wyrażam pragnienie, aby przekonania, głoszone przez hrabię Lehn-dorffa, rozpowszechniły się jak najprędzej i jak najszerszej wśród moich współziomków.

— *Panie Profesorze. Jeszcze jedno pytanie: daty biograficzne i — jeśli można — niedyskretny dodatek: skąd Panu przyszło na myśl, jako pochodzącemu z południowych Niemiec, zająć się historią Polski?*

H.R. — Urodziłem się w 1919 roku w Wirtembergii. W 1938, wkrótce po otrzymaniu matury, zgłosiłem się do wojska,

(1) Hans hr. Lehn-dorff. Wyjątek z mowy wygłoszonej we Frankfurcie nad Menem podczas dorocznego „Tag der Heimat” — Dnia stron ojczyстых. Tłumaczone z tekstu opublikowanego w „Die Zeit” z 28 grudnia 1962. Hr. Lehn-dorff jest autorem „Dziennika Wschodnio-Pruskiego”.

bez zamiaru pozostania w służbie zawodowej. Jako kadet oficerskiej szkoły artylerii w kampaniach 1939 i 1940 nie brałem udziału. Jesienią 1941 zostałem wysłany na front wschodni w stopniu ppor. artylerii. Po różnych kolejach losu, stale na wschodnim froncie, w lipcu 1944 roku dostałem się do niewoli lecz nie bolszewickiej, a do polskich partyzantów w Puszczy Nalibockiej. Moje przeżycia, rozmowy z dowódcą i żołnierzami leśnego oddziału, wspólne z nimi wszy, ale i wspólny papieros, ludzkość i rycerskość z jaką mnie w tym oddziale traktowano w czasach powszechnego okrucieństwa, — stały się właściwą przyczyną moich późniejszych studiów historycznych i specjalizacji w zagadnieniach Europy Wschodniej, a przede wszystkim w dziejach polskiej kultury i państwowości. Po częściowym rozproszeniu się i częściowym „ujawnieniu” leśnego oddziału, idąc za radą dowódcy, wraz z „ujawniającymi się” trafiłem do niewoli sowieckiej. Po pięcioletnim pobycie w centralnej Rosji wróciłem w grudniu 1949 roku do ojczystej Wirtembergii. Doszedłszy do zdrowia i sił rozpocząłem studia w Tybindze, gdzie w 1954 otrzymałem u prof. H. Rothfelsa doktorat za pracę historyczną. W następnych latach pracowałem w Tybindze u prof. W. Markerta, w Instytucie Europy Wschodniej. W 1961 roku habilitowałem się w Tybindze, a w ubiegłym roku otrzymałem promocję i katedrę uniwersytetu w Getyndze.

Prof. Roos opublikował już kilka prac z historii Polski. Ostatnio „Historię Narodu Polskiego 1916-1960”, której pierwsze wydanie w dziesięciu tysiącach egzemplarzy jest na wyczerpaniu.

Prof. Bóbr-Tylingo napisał w „Zeszytach Historycznych” (zesztył trzeci, styczeń 63) wnikliwą krytykę „Historii” Roosa, kończącą się następującą konkluzją:

„Prof. H. Roos należy do tej, mało znanej nawet Polakom, grupy Niemców, którzy pojawiają się w każdym niemal pokoleniu od roku 1772, a którzy nie kryją się ze swoim polonofilstwem. Nie tworzą oni ani ciągłości organizacyjnej ani najczęściej nie znają się osobiście, a więc nie tworzą żadnej tradycji przekazywanej następcą. Pojawiają się wśród swego społeczeństwa, głoszą więcej lub mniej umiejętnie potrzebę porozumienia polsko-niemieckiego i znikają porwani biegiem głównego nurtu historii, który notuje gwałtowną wzajemną niechęć poczętą przez rozbiory. (Ciekawe, iż takiego nurtu polonofilskiego nie wytworzyła ani Austria ani Rosja). Autor omawianej książki jest jednym z najwybitniejszych z tej niepowiązanej tradycji. Stosunki między narodami naszymi znajdują się w tej chwili na rozstaju, jeżeli jednak dojdzie, najpierw do znośnego ich ułożenia, a potem nawet do przyjaźni, będzie w tym duży wkład profesora Roosa”.

Jest zrozumiałe, że profesorowi, wykładającemu w Kanaadyjskim Uniwersytecie, mimo kilkutgodniowego szperania w archiwach niemieckich latem ubiegłego roku, trudno jest zauważyć przemiany zachodzące ostatnio w Niemczech Zachodnich. Również trudno byłoby może nazwać polonofilami profesorów niżej wymienionych. Należy jednak stwierdzić, że wszyscy wymienieni znają się między sobą, komunikują się wzajemnie i bez żadnych odgórnych zaleceń, nie tworząc żadnego związku przyjaciół Polski, *zapoczątkowują „ciągłość organizacyjną”, a z racji*

powagi kierowanych przez nich katedr „tworzą tradycję przekazywaną następcom”.

Mam na myśli następujących profesorów.

CONZE Werner, dziekan filozoficznego fakultetu w Heidelbergu, autor książki „Państwo polskie i niemiecka polityka” dzieła traktującego na 415 stronach tylko dwa lata historii: od 5.XI.1916 do 11.XI.1918.

GEYER Dietrich, absolwent Tybingi, później asystent prof. Markerta, od ubiegłego roku katedra Europy Wschodniej we Frankfurcie n/M.

LUDAT Herbert, katedra w Giesen, mediewista, autor kilku prac o Polsce, na XXV kongresie Historyków Niemieckich w październiku r.ub. wygłosił niezwykle ciekawy referat „Polska i Rzesza w średniowieczu”.

MARKERT Werner, katedra w Tybindze, Dyrektor Instytutu Wschodniego w Tybindze, redaktor podręcznika „Polska”, wydanego w 1959 roku.

RHODE Gotthold, katedra w Moguncji, Dyrektor Instytutu Wschodniego w Moguncji. Autor dzieła „Wschodnie granice Polski”.

STADTMÜLLER Georg, katedra w Monachium, Dyrektor Instytutu Wschodniego w Monachium, autor podręcznika „Wiedza historyczna o Wschodzie”.

SCHRAMM Percy Ernst, katedra historii średniowiecznej i współczesnej w Getyndze.

WITTRAM Reinhard, katedra historii średniowiecznej i Europy Wschodniej w Getyndze.

Prof. Roos mocno podkreślał jak wiele ze swej wiedzy o sprawach polskich zawdzięcza starszym kolegom spośród wyżej wymienionych, a profesorom Schrammowi i Wittramowi specjalnie wyrażał uznanie za koleżeńskie przyjęcie w Getyndze.

Ilu jeszcze trzeba lat, by wiedza o Polsce dotarła w Niemczech do szerokiego ogółu, by z tej wiedzy wyciągnięto odpowiednie wnioski polityczne, by „bieg głównego nurtu historii” nie przywrócił stanu przemijającego okresu — nikt nie potrafi przewidzieć.

Pewne jest tylko, że proces odpowiednich badań i popularyzacji takiej wiedzy został rozpoczęty. Prawdopodobnie będzie on poszerzać się i pogłębiać, aż kiedyś przyniesie obustronnie korzystne wyniki. Na razie spotykamy się z ignorancją spraw polskich niemal na każdym kroku. Drobnym przykładem: „Myśl Polityczna” (Die politische Meinung, Bonn), miesięcznik noszący cechy pisma subsydiowanego przez partię rządową, w tegorocznym numerze lutowym omawia wydaną w tłumaczeniu z francuskiego książkę o Polsce, splecioną przez niejakiego K.S. Karola. (Tytuł francuski „Visa pour la Pologne”, tytuł niemiecki — „Polen zwischen Ost und West”). Recenzent, p. Johannes Maass, uchodzący za specja od spraw polskich, krytykuje ostro niemieckiego wydawcę, autora i treść książki. Natomiast z całą powagą swego specostwa, a całkowicie bezpodstawnie, stwierdza że pod pseudonimem K.S. Karol — kryje się redaktor Karol Zbyszewski. Można by sądzić, że jest to propaganda, usiłująca skompromitować polskiego publicystę emigracyjnego, tymczasem jest to sprawa o wiele prostsza: kiepska orientacja, nadmiar tupetu i przeciwieństwo przysłowiowej niemieckiej dokładności.

Inny spec od spraw polskich w styczniowym numerze „Myśli Politycznej” twierdzi, że wizyty Adenauera we Francji i de Gaulle’a w Niemczech wywołały popłoch i przerażenie zarówno w kraju, jak i wśród polskich emigrantów, że wielu Polaków wnioskuje z tego powodu konieczność paktowania z Zachodnimi Niemcami. Dziwne pomieszanie pojęć. Od dawna wydawało mi się, że porozumienie francusko-niemieckie stanowi przedwstępny warunek ułożenia polsko-niemieckich stosunków. Tymczasem „Myśl Polityczna” przekonuje mnie, że ten wstępny warunek to zbyt mało. Trzeba jeszcze poczekać, aż Getynga i wymienione tutaj katedry uniwersyteckie wywrą wyraźniejszy wpływ na społeczną myśl polityczną w Niemczech Zachodnich.

Marzec 1963.

S. W. KOZŁOWSKI

Kronika londyńska

„KORDIAN I CHAM”

Im mniejsze możliwości polityczne tym większe zainteresowanie historią. Nigdy w Polsce nie było tak wielu eseiistów historycznych i tak niewielu publicystów politycznych. Poziom publicystyki politycznej jest bardzo niski — poziom pisarstwa historycznego bywa wysoki.

Jedną z tragedii naszego narodu jest fakt, że historia w Polsce nie traci na aktualności. Wszystko ulega przemianie tylko problemy historyczne nie tracą wigoru i przekazywane z pokolenia na pokolenie są wiecznie żywe.

Historia Anglii sprzed 50 laty nie ma żadnego związku z współczesną sytuacją. W tym kraju istnieje ścisły rozdział pomiędzy polityką a historią. Lecz w Polsce można poruszyć wszystkie aktualne i podstawowe zagadnienia polityczne pisząc esej historyczny o sytuacji sprzed stu laty.

Prasa krajowa zamieszcza nie tylko dziesiątki artykułów o powstaniu styczniowym, lecz również dziesiątki artykułów polemizujących z tymi artykułami. Żywość reakcji, emocje, pasja — które cechują te wypowiedzi budzą zdumienie. Byłoby zrozumiałe, gdyby tak gorąco dyskutowano i analizowano wypadki z Października 1956, lecz o powstaniu z 1863 r. wydawałoby się, że już dawno powiedziano wszystko co w tej materii można powiedzieć.

To nie jest tylko sprawa przydatności szyfru historycznego do dyskusowania zagadnień objętych politycznym „tabu”. W gruncie rzeczy cała problematyka polska sprzed stu laty jest ciągle aktualna.

Łatwo wyobrazić sobie następującą scenę:

„W Chrobrzu — w ogromnej białej sali z sufitem ozdobnie stiukowanym na wielkiej palisandrowej kanapie pąsowym aksamitem krytej — siedzi Margrabia Wielopolski. W sali krzeseł nie było, aby

przypadkiem nie przyszła komu ochota usiąść w obliczu majestatu. Margrabia czyta z zadowoleniem artykuł Stanisława Stommy w „Tygodniku Powszechnym”: „...decyzją wybuchu insurekcji ferowała grupa anonimowa, nikomu nieznana, przez nikogo nie powołana... przyczyna tego nonsensu, to kompleks antyrosyjski, który w płaszczyźnie logiki historycznej nie był uzasadniony” *).

Stomma powinien odwiedzić Margrabię w Chrobrzu. Wielopolski może by mu nawet pozwolił usiąść w swojej obecności. Po kwadransie rozmowy panowie ci zapomnieliby, że dzieli ich stulecie, dwie wojny światowe i Hiroszima.

Gdy Wielopolski umierał — Róża Luksemburg stawiała w zeszycie pierwsze mozolne litery. Miała lat sześć — był rok 1877. Czy istniał jakiś związek pomiędzy wielopolszczyzną, a luksemburgizmem?

W artykule pt. „Pokłońmy się ideom martwym” („Przegląd Kulturalny” nr 545). Andrzej Kijowski pisze m.in.:

„Zamiast studiować współczesność we wszystkich jej niejasnych przejawach intelektualności z kręgu „Kuźnicy” wdali się w polemikę, która była dokładnym prawie przedłużeniem polemiki tradycyjnej: bohaterszczyzna czy praca organiczna, walka niepodległościowa czy walka klasowa. Była ta polemika przedłużeniem polemiki między lewicowym (luksemburgistowskim) skrzydłem ruchu robotniczego, a jego skrzydłem prawicowym, to jest pepeesowskim, względnie pil-sudczykowskim. Poza to stadium właściwie nikomu dotąd nie udało się wyjść. To stadium poszukiwania formy współczesności (czy nowej ideologii) nazwałbym „naiwnie rozumowanym”. W stadium tym znajduje się zarówno Krzysztof Toeplitz, gdy odrzuca „wzór żołnierza” zalecając „wzór inżyniera”, jak i sam Załuski, gdy tworzy analogie historyczne między Samosierrą a bitwą pod Lenino, albo powstaniem styczniowym i powstaniem Gwardii Ludowej. W tym samym stadium zresztą znajdują się także pozytywiści katolicy, jak Aleksander Bocheński i Stanisław Stomma, gdy z taką powagą zastanawiają się nad sensem napoleońskiej polityki Poniatowskiego albo racjami powstania styczniowego”.

Cytat przydługi — ale jakże charakterystyczny.

Róża Luksemburg za jedyną siłę rewolucyjną uważała klasę robotniczą. Odmawiała potencjału rewolucyjnego masom chłopskim i narodom ujarzmionym. Prowadziło to m.in. do odrzucenia hasła samookreślenia się narodów i w związku z tym do zaprzeczenia możliwości odbudowania niepodległego państwa polskiego w warunkach kapitalizmu.

A czy w warunkach komunizmu istnieje możliwość odbudowy niepodległego państwa polskiego?

Spór sprzed stu laty jest ciągle aktualny. Luksemburgizm został potępiony ale potępienie nie rozwiązało problemu.

Slogan początkowy, głoszący, że „robotnicy nie mają ojczyzny” — zastąpiono hasłem: „Związek Sowiecki — ojczyzną światowego proletariatu”. Jeszcze lapidarniej ujął to Bolesław Bierut, który powtarzał: „powiedz mi jaki jest twój stosunek do Związku Radzieckiego, a powiem ci czy jesteś dobrym polskim patriotą”.

*) Opis sali w Chrobrzu wzięto z współczesnych pamiętników Jadwigi Prendowskiej.

Potępiono rozmaite zbrodnie Stalina — w prasie sowieckiej wysuwano nawet sprawę odszkodowań za bezprawne więzienie w łagrach na dalekiej północy. Lecz najgorętszy antystalinowiec nie wysunie projektu przywrócenia niepodległości Litwie, Łotwie i Estonii, które Stalin brutalnie zagarnął. Tym krajom nie zaoferowano nawet statusu satelickiego — tylko carską modłą wcielono je do Rosji.

Ów spór sprzed stu laty w gruncie rzeczy jest sporem pomiędzy socjalizmem a komunizmem. Identyfikowanie polskiego socjalizmu ze skrzydłem piłsudczykowski jest jawnym nonsensem. O ile nie wszyscy socjaliści polscy byli piłsudczycami — o tyle wszyscy komuniści polscy i sowieccy byli stalinowcami. Dziś dzieli się komunistów na stalinowców i antystalinowców. Lecz logicznie rzecz biorąc autentycznymi antystalinowcami są tylko ci komuniści, którzy wstąpili do partii po słynnym „tajnym referacie” Chruszczowa. Ilu ich jest?

Ów stuletni, niestety ciągle aktualny spór pomiędzy niepodległościowym socjalizmem a satelickim komunizmem — partia stara się przedstawić jako spór pomiędzy „lewicą” a reakcyjną „prawicą”.

Komunistom chodzi również o udowodnienie, że dla robotników i chłopów logika walki klasowej jest istotniejsza od „romantyki” niepodległościowej. Innymi słowy polska kapitalistyczna była niepodległa tylko dla reakcyjnej prawicy natomiast dla chłopów i robotników była więzieniem. Obecnie PRL jest Polską niepodległą dla robotników i chłopów a tylko dla nas, zgnitych reakcjonistów, jest państwem satelickim.

Po tej linii Kruczkowski napisał swego „Kordiana i Chama”. Pamiętnik chłopca-nauczyciela Kazimierza Deczyńskiego po prostu sfałszował. Podchorążowie maszerują Nowym Światem wznosząc okrzyki: „Polacy do broni!”. Deczyński na wezwanie swego panicza podchorążego Czartkowskiego odpowiada: „nic mi do waszej rewolucji, panie podchorąży. Moim wrogiem jesteście wy”. Panicz Czartkowski zabija chłopca-Deczyńskiego.

Wprawdzie upłynąć miało jeszcze 18 lat do narodzin Marksa — lecz chłop Deczyński wiedziony nieomylną logiką walki klasowej — przejrzał zamiary reakcji. Zdał sobie sprawę, że w warunkach feudalno-kapitalistycznych odbudowa niepodległości jest mrzonką. Niepodlegli byliby tylko wyzyskiwacze i obszarnicy, a nie robotnicy i chłopci. Chłop Deczyński pada z ręki swego wroga klasowego i „reakcyjny” rapsod „pańskiej” Polski toczy się dalej.

Ta wzruszająca epopeja ma tylko jedną wadę. Nie odpowiada prawdzie. Podchorążowie zabili kilku feudalnych i magnackich generałów, a natomiast chłop Deczyński brał czynny udział w Powstaniu, został oficerem, otrzymał *Virtuti Militari* i (o zgrozo!) wylądował na emigracji.

Kruczkowski w imię „świadomości klasowej” nie zawahał się sfałszować pamiętnikarskiego dokumentu. Przeredagował i przeinaczył cudze uczciwie dokonane życie by „więź aktualności przerzucić pomiędzy dniem dzisiejszym, a historycznym tematem książki”. Kruczkowski nie rozumiał, że dzięki tej operacji „historyczny temat książki” przestał być historycznym.

Lecz komunistom nie chodzi bynajmniej o to, by interpretacja danego okresu historycznego pokrywała się z obiektywnymi faktami historycznymi. Interpretacja ma służyć celom aktualnym tj. polityce. Jeżeli w tym procesie historia przestaje być historią — tym gorzej dla historii.

Bohaterszczyzna czy „praca organiczna”, walka niepodległościowa czy walka klasowa, „wzór żołnierza” czy „wzór inżyniera”?

W gruncie rzeczy to jest dylemat postawiony zupełnie fałszywie. Lecz w Polsce Ludowej nie można wyjść poza to stadium. Dylemat jest fałszywy, bo nie wybieramy pomiędzy „wzorem żołnierza”, a „wzorem inżyniera”, pomiędzy dążeniem do niepodległości a „pracą organiczną”. Nie wybieramy, bo chcemy mieć jedno i drugie. Chcemy mieć „pracę organiczną” i niepodległość, chcemy mieć żołnierzy i inżynierów, sprawiedliwość społeczną i niezależność państwową.

Najważniejszy jest podtekst w tej dyskusji. Koźniewski pisał w „Polityce”: „akceptując narodową historię — jak uczy doświadczenie — można wychować nacjonalistę starego formatu; rewidując tę historię można wychować ludzi o innym światopoglądzie. Trzeciej drogi nie ma”.

W polityce podstawowe pytanie brzmi: *cui bono?* W jakim celu dokonuje się tej historycznej rewizji?

Wiązanie sprawy niepodległości z reformą społeczną nie jest wynalazkiem PPS. Niepodległość i naprawa ustroju stanowią jeden kompleks zagadnień od Sejmu Czteroletniego po dzień dzisiejszy. Nie ma powodu powoływać się na Engelsa by udowodnić oczywistą prawdę, że trzeba być gospodarzem we własnym domu jeżeli się chce naprawiać i reformować.

Z okazji niedawnego jubileuszu PPS w prasie krajowej ukazała się seria artykułów. Z tych wypowiedzi dowiedzieliśmy się, że PPS położyła wybitne zasługi, lecz jej antysowieckość doprowadziła ją do piłsudczyzny, a piłsudczyzna z kolei doprowadziła Polskę do katastrofy wrześniowej. Lecz w końcu nastąpiło przebudzenie i najwartościowsi ludzie z PPS wraz z polskimi komunistami utworzyli nową partię robotniczą, która urzeczywistniła dziejowy postulat narodowy. Polska wyzwolona odzyskała niepodległość, co pozwoliło na przeprowadzenie rewolucyjnej przebudowy ustroju.

Rewizja proponowana przez Koźniewskiego jest konieczna jeśli powyższa interpretacja najnowszej historii Polski ma być zaakceptowana przez młode pokolenie.

Komuniści deklamują ustawicznie o walce klasowej, o charakterze klasowym, o instynkcie klasowym itp. Kruczkowski w imię logiki walki klasowej przeinaczył dzieje Deczyńskiego. I trzeba powiedzieć, że komunizm stoi i upada logiką walki klasowej. Lecz właśnie sprawa niepodległości kompromituje klasowy rodowód polskiego komunizmu.

Komunizm polski jest tworem schizofrenicznym. Można łatwo wykazać, że od upadku pierwszej Rzeczypospolitej postulat niepodległościowe wysuwały koła postępowe, a za ugodą wypowiadały się magnateria i koła konserwatywne. Wypowiadając się za maksymalnym lojalizmem w stosunku do Rosji komuniści polscy przeszli na tradycyjne pozycje prawicy. Ich sojusznikami w tej podstawowej sprawie są ich klasowi i ideologiczni wrogowie z pozytywistami katolickimi na czele. To Kordian jest za wami — drodzy panowie — a nie Cham wbrew logice walki klasowej.

Schizofrenia polskiego komunizmu wywodzi się z owego rozszczępienia jednolitego postulatu niepodległości i rewolucji. Polskie ruchy postępowe i lewicowe traktowały ów postulat jako organiczną całość.

Konserwatyści i ideolodzy prawicowi byli bardziej skłonni do ugody

ponieważ nie byli zainteresowani reformą ani rewolucją. Pragnęli uniknąć walki niepodległościowej obawiając się, że przyniesie ona w konsekwencji walkę klasową. W tej dziedzinie nic się nie zmieniło do tej pory. Pozytywiści katolicy popierają *establishment* z tych samych przyczyn dla których popierałby rządy Gomulki margrabia Wielopolski, gdyby żył.

Oczywiści komuniści odpowiedzą na to, że Związek Sowiecki to nie reakcyjna carska Rosja itp. Związek Sowiecki z całą pewnością jest czymś innym niż carska Rosja. Imperializm rosyjski pozostał jednak ten sam. Nieszczęsnej ofierze, której wyrwają paznokcie jest idealnie obojętne czy tej operacji dokonują postępowi agenci UB czy reakcyjni agenci Gestapo. Boli identycznie. Jest obojętne czy pozbawia się naród wolności w imię cara czy w imię Chruszczowa. Boli identycznie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że komuniści swój stosunek do obecnej, sowieckiej Rosji rzutują w przeszłość. Stefan Arski w swej książce „My, pierwsza brygada” — winduje na piedestał endecję i wypowiada się za koncepcją polityki zagranicznej Dmowskiego.

Gdzie leży przyczyna tej aberracji?

Intelektualna elita komunistyczna cierpi na kompleks niepodległościowy. Od pilsudczyzny lepsza jest endecja i faszyzm bo z Piłsudskim związana jest legenda odzyskania niepodległości.

Oceany farby drukarskiej i wagony książek nie zmieniają historycznego faktu, że Bierut i jego administracja to była zwyczajna stalinowska agentura. Z owego agenturalizmu polska partia komunistyczna nigdy w pełni nie zdołała się otrząsnąć. I to jest ów ponury cień, który kładzie się na jej historycznym rodowodzie. By ów rodowód wyprostować — trzeba by przerobić całą polską historię tak — jak Kruczkowski przerobił pamiętniki Deczyńskiego.

Lecz na czym polega istota „klasowego” dramatu polskiego komunizmu? Komuniści polscy mogliby zdobyć masowe poparcie Deczyńskich, gdyby opowiedzieli się za niepodległością. Jako partia satelicko-łojalistyczna liczyć mogą tylko na poparcie „trefnych” klasowo pravicowych pozytywistów.

Pozytywiści są w zgodzie z tradycją i im wolno powoływać się na Wielopolskiego czy chwalić koncepcje polityczne Dmowskiego. Lecz partia lewicowa i rewolucyjna, która nie jest równocześnie partią wyzwolenczą i niepodległościową jest absurdalnym dziwologiem. Cała siła komunizmu w Azji, w Afryce czy w Ameryce łacińskiej — polega na jego narodowo-wyzwoleńskim charakterze. Komunizm polski na skutek sytuacji geo-politycznej odcięty jest od głównego źródła swego dynamizmu. Pod makietą rewolucyjną kryje się łojalistyczna, reakcyjna treść: „przy tobie najjaśniejszy panie stoimy i stać pragniemy”.

Jugosłowianie dzięki znacznie korzystniejszym geopolitycznym warunkom swego kraju — w krytycznym momencie zdołali uratować swój komunizm od parodii. Zależność jest zawsze zależnością — bez względu na to czy naszym panem jest mocarstwo kapitalistyczne czy komunistyczne.

Kompleks niepodległościowy, którym dosłownie ociekają panowie Kozłowski i Arscy jest w pełni uzasadniony. Komuniści polscy podjęli się bowiem roboty, którą w danym okresie historycznym winna robić nie rewolucyjna lewica, lecz „pozytywiści”, ugodowcy i reakcyjni łojaliści.

HISTORIA MIĘDZYNARODOWA CZY POWSZECHNA?

Jedną z charakterystycznych i wspaniałych cech rozwoju ludzkiej rasy jest bogactwo form cywilizacyjnych. Mezopotamia, Egipt, Indie, Grecja, Rzym średniowiecze, Renesans — cóż za przepych form i ocean różnorodności.

Lecz ten sam człowiek, który od 5-ciu czy 6-ciu tysięcy lat produkuje to wspaniałe widowisko — tęskni do prawdy i oparcia swego życia o dogmat. O dogmaty jest łatwo, o prawdę jest niepomnie trudniej. Z chwilą gdy dany dogmat uznany zostanie przez grupę ludzi za „obiektywną” prawdę — w wyznawcach budzi się nieprzeparte pragnienie narzucenia „prawdy-dogmatu” innowiercom.

Prawd obiektywnych nie potrzeba nikomu narzucać. Ludzie akceptują je bez sprzeciwu. Propagandy i siły używa się wówczas gdy dana „prawda” dla znacznego procentu domniemyanych odbiorców nie wydaje się być prawdziwa.

Umarli — jak wiadomo — nie stawiają oporu i praktycznie biorąc można im wszystko wmówić. „Nawracanie” umarłych jest najwdzięczniejszym zadaniem doktrynalnych propagandzistów. Sowieckie piśmiennictwo historyczne stanowi klasyczny przykład tego typu operacji.

Wyobraźmy sobie, że pogodzeni Chruszczow i Mao pogrzebali wspólnie ostatniego innowiercę. Międzynarodowy, stalinowski komitet historyczny przystępuje do spisania dziejów rodzaju ludzkiego. Bogactwo subiektywnych ludzkich prawd, kultów, systemów filozoficznych i religii — wszystko to znikłoby pod druzgoczącym walcem jednolitej doktryny. Możemy pogrzebać się nie tylko bombą atomową. Istnieją i inne środki po temu.

Historia międzynarodowa jeżeli ma być prawdziwa musi być pluralistyczna — innymi słowy musi odzwierciedlać nie tylko dawne konflikty, ale i współczesne. W tym sensie historia powszechna jest mitem ponieważ nie dysponujemy powszechnie przyjętą skalą wartości. Wysoka kultura polega m.in. na świadomej rezygnacji z mitu jedności. Uniwersalizm, który stanowi fundament każdej wielkiej cywilizacji — osiągalny jest tylko poprzez pogląd liberalny. Kto odrzuca liberalizm — odrzuca jedyną platformę uniwersalnego porozumienia. Uniwersalizm doktrynalny, który jest niedościgłym marzeniem zwolenników systemów „zamkniętych” — jest anty-ludzki i anty-naturalny. Las jest harmonijną jednością różnorodności. Każde drzewo jest inne. Doktrynalne ujednolicenie ludzkości jest równie absurdalną ideą jak „ustandaryzowanie” wszystkich puszczy i lasów. „Ustandaryzowany” las przestałby być lasem — doktrynalnie ujednoliconą ludzkość przestałaby być ludzkością.

Sir Julian Huxley w roku 1946 wystąpił z projektem monumentalnego dzieła zbiorowego, którego tytuł mówi sam za siebie: „History of the Scientific and Cultural Development of Mankind”. Projekt Huxley’a został urzeczywistniony przez Unesco. Ponad 1000 uczonych i specjalistów z całego świata przez 11 lat pracowało nad dziełem, które obejmie 7 tomów. Dzieło Unesco jest nie tylko historią, ale i dokumentacją współczesności. Tom 7-my i ostatni będzie uzupełnieniem tomu 6-go, który poświęcony jest historii 20 wieku. Ów tom 7-my składa się wyłącznie z różnych i często sprzecznych, obszernych „odnośników”, w których wypowiadają swe poglądy

katolicy, protestanci, komuniści. Ostatni tom pomyślany jest więc jako współczesna panorama poglądów na historię dwudziestego wieku.

Zasada pluralistyczna utrzymana jest w całym dziele. Czytając — powiedzmy przykładowo — o Mojżeszu — będzie można stwierdzić w odnośniku napisanym przez marksistę, że dla komunistów Mojżesz jest postacią legendarną, a nie historyczną.

Dzieło Unesco jest pomnikiem zachodnio-europejskiego liberalizmu bo tylko w ramach poglądu liberalnego było rzeczą możliwą przedstawić uzgodniony tekst i zaopatrzyć go w odnośniki napisane przez przedstawicieli doktryn „zamkniętych”. Nie oznacza to bynajmniej, że udział katolików czy komunistów ograniczał się tylko do protestów w odnośnikach. Rozdział w tomie 6-tym pod charakterystycznym tytułem: „Wielkie przemiany ideologiczne i doktrynalne” — oparto na materiale opracowanym przez dwóch Amerykanów i dwóch Rosjan.

Redaktorami tomu 6-go (historia 20 wieku) są dr Caroline Ware (Howard University), Sardar K.M. Panikkar, b. ambasador Indii w Chinach i we Francji oraz Ian Romein, wybitny historyk holenderski. Pierwszy tom omawianego dzieła ukazać się ma w czerwcu br.

LONDYŃCZYK

Kongres w Durbanie

Północ. Nie mogę spać — coś za wspianiała staruszka, coś za bogata osobowość. Zaczęła paradny obiad toastem na cześć Polski a potem „The Queen” — kwiaty czerwone na śnieżnym obrusie — ale brakuje mi — mówi — polskiej flagi. Opowiadam moje wrażenia z Polski sprzed paru lat — słuchają z zainteresowaniem. A no, jestem delegatem na Narodowy Kongres Partii Postępowej — Progressive Party-of-South Africa, w Durbanie — sierpień 1962 r.

Kongres — wspianiały. Serce rośnie gdy się słucha tych zapaleńców, dyskutujących równouprawnienie w najbardziej dziś na świecie zróżnicowanym kraju — Południowej Afryce. Musimy dać odpowiedź społeczeństwu — jasno postawić nasz program. — Tamte, tradycyjne stronnictwa, stoją na stanowisku separatyzmu rasowego. Program negatywny, oparty na strachu. — Tak jak antysemityzm między wojnami w Europie, wyzwalał w zarażonych społeczeństwach niskie instynkty, tak i tutaj nie-oświecone masy białych uprawiają kult ciężyzny fizycznej, żeby choć w ten sposób uzasadnić swą „tradycyjną wyższość nad czarną masą”. Nacjonaliści chcą rasy oddzielić terytorialnie — stworzyć Bantustany — już z tym mają trudności, bo skrajna prawica nie może się pogodzić z faktem, że „Kaffir” będzie miał cokolwiek do powiedzenia. Ostatnie kongresy Nacjonalistów Transwału w Pretorii i Cape Province w East London wyraźnie

wykazały, że wyrzucić Murzynów do Bantustanów, to i owszem — ale płacić podatki na ich rozwój ekonomiczny — to wolnego. „Co twoje to moje — ale do mojego tobie wara”. Niech teraz tylko przyjdzie bojkot ekonomiczny i nacisk ze strony Narodów Zjednoczonych i rozłam w partii pewny. United Party, oficjalna opozycja, głądzi o Federacji Ras — mglisty program, który każdy z ich Kacyków partyjnych inaczej interpretuje. A chodzi im tylko o to by interes szedł, żeby jeszcze przez parę lat ludzi otumaniać, żeby pracowali — *business as usual* — nic się, nie zmieniło i nie zmieni — głowy w piasek — nie ma XX-go wieku — nie ma emancypacji Afryki. Progressive Party odpowiada na to pełnym systemem federalnym. Kongres w Durbanie stwierdza dobitnie, że unitarna konstytucja, z władzą scentralizowaną w suwerennym parlamencie, stała się czynnikiem podminowującym wolność osobistą, przez sam fakt ułatwienia skoncentrowania władzy absolutnej w ręku partii politycznej dzierżącej w tej chwili większość miejsc w parlamencie. Narzuciła ona całemu krajowi uniformistyczną doktrynę, która nie liczy się z różnicowaniem ekonomicznym, rasowym, demograficznym, klimatycznym jakie charakteryzuje ten ogromny kraj. Kongres dyskutuje genezę Unii. W czasie obrad nad ustrojem nowego Państwa w 1909, ścierały się dwa poglądy — federalny i unijny. Przeważył pogląd gen. Smuts'a, który obawiał się, że obie, pokonane właśnie, Republiki Burskie przy systemie federalnym zasklepią się w swojej odrębności i nigdy się z resztą kraju w jedność nie zleją. Nie przewidział on w swoim optymizmie, że osłabione dwoma Wojnami Światowymi, Imperium Brytyjskie straci swą atrakcyjność i że nacjonalizm burski weźmie górę i odegra się za dawne klęski i upokorzenia. Kongres skłania się do wprowadzenia do proponowanej konstytucji rozdziału Władzy Ustawodawczej i Wykonawczej pomiędzy z jednej strony centralnym parlamentem i rządem a oddzielnymi parlamentami i rządami poszczególnych prowincji — przemieniając w ten sposób Południową Afrykę z Unii w Państwo Federalne z odpowiednimi klauzulami utrudniającymi zmianę tego punktu konstytucji. Uchwalenie tego programu nie przyszło łatwo — wielu ludzi światłych widzi jego przedwczesność, brak przygotowania, ludzi i środków. Zwolennicy widzą przeszkody i logicznie konkludują, że wolą decentralizację z jej oczywistymi usterkami niż stopniowe ograniczanie praw jednostki i poszczególnych prowincji przez centralnego molocha. Projekt przechodzi. Druga przeszkoda o którą o mało, a byłby się Kongres rozbił, to Deklaracja Praw — „Bill of Rights”. Pełni wigoru przywódcy partii z Transwału mają za złe kierownictwu Partii, że pozostawiło w projekcie Deklaracji, jakby furtkę, która przy interpretacji poszerzającej, mogłaby legalizować pewne drobne uprawnienia różnych grup rasowych. W tym kraju niezmiernie wrażliwym na rasę i cierpiącym na niewątpliwy kompleks „rasowy” — jest to problem kluczowy. Oto partia postępową uznaje odrębność ras, ale daje im pełne równouprawnienie, odrzucając od udziału w rządach krajem

jedynie tych, którzy nie osiągnęli pewnego minimum wykształcenia. Kierownictwo Partii, nie chcąc narzucać nikomu obowiązku towarzyskiej i mieszkaniowej integracji, usiłowało zastrzec w tym wypadku prawo decyzji większości danego ugrupowania. Dynamiczna grupa z Transwalu gwałtownie się temu sprzeciwiła i przevorsowała formułę że „Partia, zgodnie ze swymi zasadami, umożliwi członkom różnych grup rasowych życie wśród ich własnego społeczeństwa, ale przewidzi też ułatwienia dla tych, którzy zechcą mieszkać wśród innej grupy rasowej”. Najbardziej logicznym argumentem tej grupy była niechęć do cofania się, gdy raz przezwyciężyli w sobie rasowe podejście do polityki. Kosztowało ich to wiele, zerwali z rodzinami, przyjaciółmi — dlaczego? — bo widzieli w utrzymaniu segregacji ras, zacofanie — są ludźmi XX wieku — chcą raz na zawsze zerwać z XIX wiekiem i kolonializmem. Czyż warto, mówili, w „Dekadzie Kontynentu Afrykańskiego” sprzeczać się o zasady miłe grupie białych, obciążonej przesadami — cóż znaczy tych paręset tysięcy „białych” głosów, wobec dziesiątków milionów ludności Afryki, którym chcemy umożliwić współżycie w Afryce. Czyż dla tej grupy białych możemy zrazić sobie czarnych, choćby najmniejszą wzmianką o segregacji? Zdaje mi się, że ten argument przeżył w końcu i przy minimalnej większości głosów, poprawkę grupy Transwalu przyjęto. Delegaci Murzyni gorąco przemawiali za poprawką wywodząc, że usuwa ona ostatnią przeszkodę moralną na drodze do pełnego poparcia Partii przez masy murzyńskie. Okazuje się, że przywódcy Murzynów, którzy początkowo poszli na lep łatwizny Liberal Party — oferującej powszechne prawo wyborcze każdemu bez kwalifikacji — teraz zwracają się do Progressive Party widząc za przerwaniem jaki chaos panuje w Kongo i jak umiera demokracja i wolność jednostki w Ghanie — oba te kraje przyjęły powszechne prawo wyborcze dla mas. Dla mnie, żyjącego od lat 15-tu w Afryce Południowej, przesycionej problemem rasowym to było najbardziej fascynujące — transformacja tych ludzi mających za sobą poparcie stu tysięcy białych wyborców, głównie inteligencji, w pełną wiary w przyszłość i mającą konkretną wizję współpracy ras, jednolitą pod doświadczonym kierownictwem wytrawnych polityków, grupę gotową na wszystko dla osiągnięcia celu. Musimy dać nadzieję tym umiarkowanym czynnikiem wśród podziemnego ruchu wolnościowego Murzynów, które, należąc do tradycyjnych ugrupowań, nienawidzą komunizmu i boją się jego destruktywnej działalności. Rząd tutejszy przez prześladowanie czynników umiarkowanych, odbiera im możliwość łagodzącego oddziaływania na masy, które w braku innego kierownictwa pójda na lep propagandy komunistycznej, z dużą energią i nakładem kosztów prowadzonej przy pomocy, szkolonych za żelazną kurtyną, speców od sabotażu. Progressive Party jest jedyną partią, mającą jakie takie poparcie wśród białych, która przyjmuje współpracę ras i zasadę zasługi jednostki — równocześnie nie daje ona prawa niecywilizowanym masom, mogącym, jak w Kongo, wyrzucić

cały porządek rzeczy. Słuchałem wypowiedzi delegatów murzyńskich, tłumaczących dlaczego Liberal Party ma coraz to mniejszy posłuch wśród cywilizowanych Murzynów. Ich program powszechnego prawa wyborczego, jakkolwiek atrakcyjny dla mas i forsowany przez demagogów jest niemiłe widziany przez organizacje szczepowe i wykształcone sfery. Ten negatywny stosunek do powszechnego prawa wyborczego wśród Murzynów, objawia się bardzo nieśmiało i po raz pierwszy dał się zauważyć na tym Kongresie. Zobaczmy w jaki sposób potrafią ci delegaci wpłynąć na masy murzyńskie będące obecnie opanowane przez dwa ugrupowania, oba nielegalne — Pan African Congress i Congress Alliance. Kongres panaafrykański jest organizacją rasową, odpowiada na program rasowy rządzącej partii Verwoorda. „Afryka dla Murzynów” — oto ich hasło, jasno żądające władzy na podstawie przynależności rasowej — gdyby doszli do władzy nie byłoby tu miejsca na demokrację, a białą mógłby się tylko utrzymać jako „honorowy czarny”. Zapewne nie doszłoby do tego rodzaju ekscesów jak w Ghanie — masy wyborcze to byłoby jednak Murzyni trochę wyżej cywilizacyjnie stojący od Ghany — nie dałoby się jednak uniknąć rozgrywek wśród demagogów, ze zwykłymi ich konsekwencjami. Druga nielegalna partia, dzieląca z poprzednią rząd dusz murzyńskich w Płd. Afryce to Narodowy Kongres, przewidujący współpracę wśród ras, bardziej umiarkowany w swym programie. Oni też nie wytrzymali w wysiłku z konkurencją polityczną i przyjęli zasadę *one man — one vote*, wraz ze wszystkimi jej ujemnymi skutkami. Niestety ślepa polityka obecnego rządu odbiera najlepszym przywódcom ruchu swobodę działania. — Albert Luthuli, laureat Pokojowej Nagrody Nobla’a za rok 1961, jest właściwie pod aresztem domowym, a jego następcą, umiarkowany Nelson Mandela, adwokat, syn „królika” szczepu Tembu, został niedawno aresztowany. Głośno mówiono o tym w Durbanie, że zadenuncjowali go komuniści, coraz bardziej dążący do opanowania władzy w Kongresie. Tak więc rząd sam usunął od wpływu na masy murzyńskie dwu umiarkowanych przywódców — nie ma już teraz przeszkody na drodze do kompletnego opanowania Partii Kongresu przez komunistów.

Oprócz partii liberalnej są jeszcze trzy inne „białe” kierunki. Partia rządząca, nacjonalistyczna jest jedyną, która praktycznie wykazała do czego jej polityka prowadzi. Skoncentrowana na zachowaniu panowania białego, wywołała w reakcji wolę oporu wśród mas murzyńskich i zaszczepiła w nich mocny nacjonalizm. Otoczyła się ona murem represji, które w rezultacie stworzyły tu faktyczne warunki „totalne”. Najmocniejsi po nacjonalistach to United Party z ich zagadkowym programem Federacji Ras. Starają się oni zadowolić wszystkich, w rezultacie zrażają sobie demokratów przez popieranie specjalnych ustaw anty-murzyńskich; nacjonalistów zaś przez rozbijanie wspólnego „białego” frontu. Każda z tych powyższych grup grozi wyeliminowaniem demokracji z życia politycznego tego kraju. Czy najmłodsza i

najbardziej prężna, choć nieliczna, partia — Progressive Party potrafi utrzymać tu demokrację? Coraz więcej ludzi wierzy tu, że tak. Wolność obywatelska, swoboda wyboru, współuczestnictwo ludzi wszystkich ras w każdym objawie życia narodowego — to podstawowe cele partii, są one podstawą życia demokratycznego. Jako gwarancję przeciw demagogii i władzy tłumu, zalecają progresiści kwalifikowane prawo wyborcze, przechodzące obecnie próbę ognia w Rodezji i ustrój federalny pomagający obecnie Nigerii w początkach jej niepodległości. Ponad wszystko Progressive Party, jedyne z powyższych ugrupowań, ma program pozytywny — zerwała z powszechnym tu strachem (*swart gevaar*) jednej grupy rasowej przed drugą; zerwała z negacją postawy rasowej, szczepowej i nacjonalistycznej w ich ciasnym sensie. Wierzy ponad wszystko w wartość i godność jednostki ludzkiej.

Podstawowe zasady Progressive Party dadzą się streścić w paru paragrafach.

1. Zachowanie i pogłębienie wartości Cywilizacji Zachodniej, ochrona podstawowych praw ludzkich, zabezpieczenie godności i wartości osobistej człowieka niezależnie od rasy, koloru skóry i religii.

2. Zapewnienie, że żadnemu obywatelowi nie zostanie z powodu rasy, religii, języka lub płci zagrodzona droga do współuczestnictwa czynnego w życiu narodowym, do którego może być on powołany dzięki swym zdolnościom.

3. Uznanie że w Płd. Afryce istnieje jeden Naród obejmujący szereg grup różniących się rasą, religią, językiem i tradycjami, że każda z tych grup ma prawo do ochrony tych odrębności jak też i prawa do współudziału w rządzeniu krajem. Zrozumienie, tolerancja i życzliwość pomiędzy różnymi grupami musi być pielęgnowana i popierana.

4. Zachowanie niewzruszonego Rządu Praw.

5. Poparcie postępu społecznego i poprawa poziomu życiowego przez energiczny rozwój nowoczesnej gospodarki opartej na prywatnej inicjatywie, przez co narodowe zasoby zdolności ludzkich i materialne mogą być w zupełności wyzyskane.

6. Poparcie przyjaznych stosunków z innymi narodami, a szczególnie z członkami British Commonwealth, oraz tymi, którzy współuczestniczą w Zachodniej Cywilizacji.

Nie ma w tym programie nic do dodania ni do odjęcia; pozostaje starać się go wykonać w miarę możliwości ludzkich. Obiektywnie sądząc przewiduję w ciągu najbliższych lat skoncentrowany nacisk na Południową Afrykę z czterech stron: opinii publicznej Zachodu, Narodów Zjednoczonych, czarnych mas kontynentu Afryki i lokalnych Murzynów. Nacisk ten musi spowodować kryzys, który z kolei zepchnie grupę obecnie rządzącą i wprowadzi ugrupowanie polityczne opierające się na cywilizowanym elemencie wielorasowym. Łagodną formę tego kryzysu widzę w rozłamie partii nacjonalistycznej na bezwzględnych obrońców „białej” dominacji i na zwolenników reform, skłon-

nych do ofiar materialnych dla umożliwienia współżycia z innymi rasami — legalne wybory dałyby wtedy rząd United Party. Bardziej postępowe skrzydło United Party, które głosuje obecnie z nimi jedynie w nadziei obalenia nacjonalistów, byłoby zwolnione z tego „obronnego paktu” i przerzuciłoby swe poparcie ku Progressive Party, tworząc z niej poważną grupę opozycyjną w Parlamencie. Rząd United Party nie miałby wtedy innego wyjścia jak przyjęcie programu progresistów — pełnej współpracy ras.

W wypadku gwałtownego kryzysu rząd Verwoord'a sięgnie do South African Foundation, niedawno utworzonego ugrupowania apolitycznego businessmanów którego celem jest wybielanie polityki obecnego rządu zagranicą, dla podtrzymania stosunków ekonomicznych, mocno zagrożonych przez zerwanie z Commonwealth i wciąż niepewnych co do Common Market. Przewiduję, że będzie to coś w rodzaju Rządu Tymczasowego, który będzie musiał, pod naciskiem, zwołać National Convention i przeprowadzić daleko idące reformy. W rezultacie zasady obecnej Progressive Party zwyciężą i otworzą erę współpracy narodów kontynentu afrykańskiego. Afryka stanie się wtedy podmiotem a nie przedmiotem polityki międzynarodowej i będzie mogła odegrać właściwą jej rolę między Wschodem a Zachodem.

Kontynent Afryki przeżywa obecnie kryzys spowodowany gwałtownym wycofaniem się państw kolonialnych. Upojone niepodległością, a zupełnie do niej nieprzygotowane narody, a właściwie grupy szczepów murzyńskich, wpadają jeden po drugim w przesadną, skrajną tzw. demokrację z powszechnym prawem wyborczym dla wszystkich. Żeby ratować się od chaosu, uciekają się one z kolei do monopartii. Mówią oni, że jest to jedyny sposób zapobieżenia najłatwiejszej i najbardziej rozkładowej formie opozycji opartej na odrębności rasowej czy szczepowej. Nie można państwa budować gdy siły odśrodkowe mogą skutecznie operować potężnym atutem przesądów i lojalności, które ostatecznie prowadzić mogą jedynie do rozczłonkowania państwa na najbardziej prymitywne części składowe. Obecnie istniejące 52 terytoria, i tak nieraz za słabe do samoistnego życia, są narażone na rozbitcie na odłamy szczepowe, co może doprowadzić ten kontynent do masy około 700 wrzących wzajemną nienawiścią grup etnicznych. Jedynym środkiem by temu zapobiec jest ograniczenie prawa głosu do tych jedynie, którzy na podstawie wykształcenia i stopnia cywilizacji mogą być uznani jako świadomy składnik nowoczesnej Afryki opartej o gospodarkę pieniężną, przemysł i zorganizowane rolnictwo. W różnych krajach będzie to miało inne znaczenie i oblicze; ograniczenie to jednak umożliwi poszczególnym rządcom wyeliminowanie związków krwi i koloru skóry jako czynnika politycznego. Jak jednak wythumaczyć Czarnym Afrykańczykom, że Biali Afrykańczycy mają na względzie dobro całej Afryki i wszystkich Afrykańczyków Białych i Czarnych?

W chwili obecnej największa grupa Białych Afrykańczyków (Płd. Afryka) upiera się przy białej dominacji; druga z kolei grupa Białych Afrykańczyków tak długo upierała się przy białej dominacji, aż po siedmiu latach walk została siłą wyparta z Algierii. Tu potrzeba czegoś więcej niż gestów i oświadczeń dobrej woli... By wytłumaczyć Czarnym Afrykańczykom, że Biali Afrykańczycy nie mają zamiaru utrzymać się za wszelką cenę przy władzy, Biali muszą dobrowolnie zrezygnować z nabytych dotychczas przywilejów. Biali nie mogą oczekiwać, by bardziej prymitywny Czarny Afrykańczyk dał im dobry przykład. Tak więc obie strony — Biała i Czarna — znalazły się obecnie w bardzo typowej, ludzkiej sytuacji... Kto robi pierwszy krok?...

POST SCRIPTUM

Gdy w noc po gniewnych wypowiedziach Sir Roy Welenskiego i angielskiego ministra od spraw Środkowej Afryki, Butlera, słu chałem w radio reakcji na wynik wyborów w Południowej Rodezji, zdawałem sobie sprawę, że polityka współpracy rasowej w Afryce doznała poważnej porażki. Nie słysząc było ani jednego głosu ubolewania. Wszystkie radiostacje zachłystywały się z radości — wyrok śmierci na Federację Rodezji i Nyasalandu został podpisany. Cieszyli się nacjonaści po obu stronach bariery rasowej. Afrikaner zadowolony, że stało się jak przepowiadał — przypuszcza, że musi dojść do konfliktu zbrojnego białych Rodezjczyków z Rządem Brytyjskim na miarę konfliktu w Algierii. Wciśnięci między XIX-wieczną wiarę w wyższość białego, a konkretną rzeczywistość XX wieku w Afryce, doradzają tutejsi nacjonaści czysto negatywną linię obrony opartą na strachu i nienawiści rasowej. Uradowani z wyniku wyborów w Rodezji są też nowi władcy Ghany i Nigerii — znienawidzona przez nich Federacja musi się rozlecieć — nic nie stoi na przeszkodzie nieokiełznanej suwerenności czarnych mas — zniknie groza dzielenia się władzą z białym — na dzisiaj ważniejsza jest niepodległość od dobrobytu, a później jakoś to będzie. Jedynie Anglicy nie tracą spokoju i traktują oba te skrajne nacjonalizmy jako przejściową bolączkę nie do uniknięcia. Cóż to szkodzi, że kraje jak Ghana i Nigeria wyżywają się w podnoszącej ich morale aktywności w polityce zagranicznej, planowaniu ekonomicznym czy strategicznym, bez zwracania najmniejszej uwagi na opinię publiczną Wielkiej Brytanii? Jest to normalne następstwo, *by-product*, osiągnięcia niezawisłości suwerennej. Przypuszczalnie w ciągu 10-ciu czy 20-tu lat stosunki Wielkiej Brytanii ze wszystkimi tymi państwami będą o wiele lepsze niż dzisiaj. Kraje te dojdą do zrozumienia, że w nowoczesnym świecie małe państwa, a nawet rzadko które z większych, nie mogą się ostać w politycznej izolacji i że historyczne powiązania w przeszłości dają podstawę do ścisłego związku z jednym z najbardziej uprzemysłowionych krajów Europy —

związku, który powinien być widziany i oceniany jako poważna wartość. Z czasem przyjdzie koza do woza i konieczność ekonomiczna zmusi władców czarnych mas do współpracy z białymi.

Kluczowym zagadnieniem jest to czy obie Rodezje, kraje kolonialne Portugalii i Afryka Południowa przetrwają bez konfliktu zbrojnego tych lat kilkanaście, koniecznych dla krajów Środkowej, Wschodniej i Zachodniej Afryki do osiągnięcia równowagi.

Nie chcę sądzić, że jest to sytuacja beznadziejna — biali wyborcy w okręgach miejskich Rodezji wyraźnie wypowiedzieli się za współpracą ras, pomimo że Sir Edgar Whitehead kazał im w ostatniej chwili przełknąć skreślenie resztek pozostałości segregacji ras, szczególnie bolesne dla przywykłych do *splendid isolation* bogatych sfer Rodezji. Nie mogli jednak przełknąć tego biali farmerzy i tak już przerażeni oznakami łączenia się czarnych ugrupowań politycznych w Północnej Rodezji przeciw białym. W rezultacie większość uzyskał rząd Sir Winston Field'a lidera konserwatywnego Rhodesian Front.

To co się stało w Rodezji wcale nie zamyka możliwości optymistycznej oceny sytuacji — przeciwnie; ufam, że Rodezja tak jak i Afryka Południowa przejdą w ciągu najbliższych paru lat przez tak poważne doświadczenie, że zmusi ono oba te narody do zdania sobie sprawy, że rasizm nie jest praktycznym rozwiązaniem — że jedynym pewnym fundamentem rządzenia jest poszanowanie wolności indywidualnej osobowości człowieka. Gdy to raz zostanie przyjęte w Afryce, na południe od Zambezi, kraje te będą miały zapewnioną wielką przyszłość. Zanim jednak do tego dojdzie Czarny Rząd Północnej Rodezji wiele ucierpi od potężnych materialnie białych, a Biały Rząd Południowej Rodezji będzie miał do czynienia z wrogim elementem 80% czarnej ludności. Nic co się stało dotychczas nie może zmienić prostej i samo przez się zrozumiałej prawdy, że w krajach o mieszanej rasowo ludności, różne grupy rasowe muszą bądź współpracować bądź żyć w kłótni. Na razie wygląda na to, że kraje te raczej sterują ku kłótni. Bez partii politycznych doradzających współpracę ras nie ma innego wyjścia jak Czarny Rząd w jednym, a Biały w drugim kraju — oba prowadzące w rezultacie do czarnej dominacji za parę lat. Na bezpośrednią przyszłość potrzebna jest partia polityczna z programem konstruktywnej współpracy różnych ugrupowań rasowych; i tu dużą rolę mają do odegrania Partia Progresywna w Afryce Południowej i partia Sir Edgar Whiteheada w Południowej Rodezji. Opinia publiczna świata wiele zawiniła w utrudnieniu pracy rządowi Whiteheada. Przez swą nierealną i szkodliwą postawę zrobiła ona wiele złego i w rezultacie uniemożliwiła rozbudowanie pewnej dozy zaufania w czarnych masach do Rządu Whiteheada. Tak więc nadzieja na rozwikłanie tego węzła gordyjskiego polityki afrykańskiej leży dziś we współpracy między oświeconą mniejszością białych w Afryce i światową opinią publiczną.

Stefan KOMORNICKI

Sprawy i troski

Tryptyk na temat sztancy

Odrębnych części niniejszego Tryptyku proszę nie łączyć w jakąś logiczną całość. Niezależne od siebie, znalazły się tu pod wspólnym tytułem tylko z powodu zadumy autora nad koszmarem sztancy.

1. Zastężone bezrybie

W listopadowym numerze *Kultury* (11/181; do Australii dotarł w styczniu) uderżyły mnie aż trzy jednakowe zdania; pióra trzech różnych autorów (Włocha, Amerykanina i Polaka), a przecież jakby spod tej samej sztancy. Zbieg okoliczności?... Znak czasu?...

Na str. 15, Gustaw Herling-Grudziński przytacza słowa prof. Renato Poggioli: „Chociaż prawdą jest że *Doktor Żiwago* góruje jak wieża nad całą beletrystyką sowiecką, należy to przypisać nie tylko kalibrowi Pasternaka-powieściopisarza lecz także mierocie jego rywali”.

Zwięźlej wyraża to przysłowie „Na bezrybiu i rak ryba” (przysłowia są sztancami narodów). Bo rzeczywiście: fakt, że np. pierwszy łuk został wynaleziony przez pierwszego wynalazcę łuku, jest podkreślony innym faktem, że mianowicie wynalazca stał się pierwszym wynalazcą tylko dlatego, iż nikt inny łuku nie wynalazł. Rak dzieli zasługę z bezrybiem.

Na str. 23 tegoż numeru *Kultury*, Wacław Iwaniuk cytuje opinię Karla Shapiro: „Eliot zjawiał się na scenie literackiej w momencie kompletnej próżni (około roku 1910) i gdy smak publiczności był bardzo zły. Łatwo jest wtedy krytykowi wypełnić tę próżnię, lecz w tych warunkach jest to jego zasługą, nie poety”.

Czyli: jeszcze jeden rak, na tym samym bezrybiu. Swoją drogą, ładny mi to krytyk, który okłamuje publiczność, aby „wy-

pełnić próżnię”... To ma być — zasługą?... Nota bene, Shapiro, sam też poeta, wyrok na Eliota wydaje jako krytyk, a nie jako poeta. Ciekaw jestem, czy można to przyjąć za dowód powrotu złego smaku na scenę literacką czasów obecnych? I czy może jakiś inny krytyk (sam też poeta) za lat np. dwadzieścia nie napisze o Karlu Shapiro (jako poecie), iż nagrodę poetycką Pulitzera w r. 1945 Shapiro zdobył tylko dlatego, ponieważ w tymże r. 1945 tylko Shapiro dostał nagrodę Pulitzera?...

I wreszcie, na str. 154, list p. Stefana Kuncego do Redaktora *Kultury* w związku z artykułami prof. Adama Schaffa w *Przeglądzie Kulturalnym*, które w autorze listu wywołują wrażenie, że „jest to literatura taktyczna, ważna może i znamienna, ale trwająca tak długo tylko, jak długo trwają okoliczności, które powołały ją do życia”.

Święta prawda: bezrybie sprzyja coraz to nowym rakom. Ale gdzież jest celowość tego rodzaju figielków dialektycznych? Pamiętajmy bowiem, że w tej chwili toczy się walka przeciw wrogiemu systemowi, wspieranemu *argumentami* prof. Schaffa: argumenty wołają o kontr-argumenty, a nie o kamuflaż. Lekceważące machnięcie ręką i pozbycie się kłopotu zdawką, iż wszystko to jest „ważne może” — sprawy bynajmniej nie załatwia. Na domiar, równa się to odwracaniu naszej uwagi od groźnego meritum sprawy, przerzucając je na tor personalny, bo na żalną aurę, sprzyjającą osobie prof. Schaffa.

Herling-Grudziński, rozprawiając się ze sztancą z książki prof. Poggioli pod adresem Pasternaka, stwierdza, że „Są to pchnięcia floretem, które zdecydowanie nie przystoją książce o takiej powadze”. Ale nie wszyscy adherenci sztanc zasługują sobie na kurtuazyjne eufemizmy, zwłaszcza gdy stosują rąbnienie na oślepie, mieczyskiem obosiecznym. Trafiwszy na argument twardy, niezdarna broń odbija się i kaleczy właściciela. Powtarzam: Gdzież jest celowość w wyborze samobójczej taktyki? Sztuka dla sztuki?...

Kwitując przeciwnika kpiącym wzruszeniem ramion, p. Kunce ryzykuje wskazanie mu drogi do analogicznego przerzutu merytorycznego, który, acz w oderwaniu od sprawy głównej, bynajmniej nie przekreśla innego faktu, że mianowicie list p. Kuncego też można z powodzeniem zaszeregować do „literatury taktycznej, ważnej może i znamiennej, ale trwającej tak długo tylko, jak długo trwają okoliczności, które powołały ją do życia”.

2. Bałwochwalczy sztancy

W Sydney, w listopadzie ub. r., odbył się Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii. Jak to zwykle bywa w tego rodzaju okazjach sejmikowych, w pewnej sprawie padło kilka zarzutów pod adresem ustępującego prezydium Rady. Na to jeden z członków prezydium — nie pomny, iż

swoboda krytyki jest jednym z przywilejów, jakie obywatelom gwarantuje ustrój demokratyczny — spłonął świętym oburzeniem i zareagował sztancą, iż nie przystoi krytykować, gdy ustępujące prezydium włożyło aż tyle wysiłków w pracę społeczną podczas gdy krytycy zwykle nic nie robią i tylko krytykują.

No dobrze, można i tak. Ale w takim razie po co zwoływać aż zjazdy? Jeśli delegaci mieliby zamknąć usta na kłódkę, to — zważywszy ogrom kontynentu Australii i odpowiednio wysokie koszty podróży — chyba taniej byłoby rozesłać im powielany okólnik z instrukcją, aby z góry na wszystko zgodzili się przez złożenie podpisów w miejscu oznaczonym kropkami.

Zresztą, powyższy incydent nie zaważył na obradach (był wysokim jednostką, a nie prezydium). Przytaczam go tu tylko jako ilustrację specyficznego klimatu, w którym bałwochwalstwo sztancy rozwija się jak najswobodniej (żaden z delegatów nie zaprotestował, ani też marszałek Zjazdu nie skarcił wysokości). Bynajmniej nie chodzi mi tu o tzw. górę; chodzi mi o nasze społeczeństwo w ogóle. Wystarczy choćby systematyczna lektura listów do redakcji czasopism: bezmyślna potęga sztancy zdumiewa, jej tyrania przeraża.

Autorzy tego rodzaju listów, to — dewoci swoiście pojętej, własnej „racji stanu”, siebie utożsamiający z Polską; bałwochwalcy, plackiem padający przed skamienieliną swoiście pojętego patriotyzmu; sekciarze-nieuki, puszający się swoistą, samowolną interpretacją dogmatów religijnych (ich zdaniem: katolickich); sforą rzucającą się na upatrzone ofiary, pokrzykując: „Świętości nie szargać! Kapliczki i sitwy nie tykać! Wodzów nie krytykować! Nie obrażać uczuć Polaków-katolików!”...

Ze sztancą w zębach, a w kieszeni z paszportem na polskość i z monopolem na wiarę w Pana Boga, jakiego stworzyli sobie na własne podobieństwo — znieść nie mogą, gdy ktoś inaczej czuje, myśli inaczej lub wierzy inaczej: mniej sfornie, lecz za to niezależnie, dumniej i odważniej, ofiarniej, bo samotnie, i głębiej, bo nie według paragrafów sztancy, lecz według sumienia.

Oni zaś, wygodnie wywatowani oficjalną polskością na wyrost, paradując w niej uroczyście jak w ciepłych kałesonach, zawsze sforą i z wiatrem a nigdy pod prąd, — szczerze zdziwiliby się, gdyby im powiedziano, że to właśnie oni tchórzliwie, bo sforą, osaczają odważnych; że to właśnie oni dogmatyzmem na własne kopyto usiłują spętać myśl ludzką; że to właśnie oni despotycznym brakiem tolerancji poniewierają najświętszymi uczuciami swych ofiar, sforą zaszczywanych.

Przykładów nie brak: Ryszard Kiernowski, osaczony za „cud nad Wisłą”; Barbara Toporska, za Białorusinów; Marek Hłasko, za *W dzień śmierci jego*. Bałwochwalcy sztancy zdziwiliby się, gdyby im powiedziano, że Kiernowski, który polskości swej dowiódł nie tylko w żołnierskim mundurze, ma prawo być wierny ideałom swej młodości i ma też prawo głosić to co czuje; a bezprzykładna odwaga p. Toporskiej, trudniejsza niż żołnier-

ska, bo samotna i gorzka, i jej wyzbyta z nacjonalizmu ludzkość, zasługują na najgłębszy szacunek; a Hłasko, w swej bezdennie smutnej opowieści, wzrusza i wstrząsa i zdumiewa głębią mistycyzmu, na wskroś religijną, jakiej nie doszukać się w klepanych zdrowaśkach świętoszków-krytyków.

3. Pomazańcy do wynajęcia

Nie wiem, czy wszyscy pp. piśmienni będą wdzięczni Waławowi Iwaniukowi za dotknięcie w *Kulturze* kwestii tzw. iskry bożej, owego natchnienia, które w świętym przekonaniu lwiej części naszych rodaków zdaje się być jakimś nadprzyrodzonym *spiritus movens* wszelkich dokazań pisarskich — tak jakby zwyczajna a żmudna praca, celowy wysiłek kompozycyjny, nic tu nie miały do gadania.

Uderza rozbieżność w powszechnie przyjętej ocenie wysiłków np. artysty-malarza w porównaniu z wysiłkami pisarza. Malarz, było nie było, musi jednak machać pędzlem, podczas gdy pisarz właściwie nic nie robi, tylko siedzi sobie i pisze. Ileż to razy człek piśmienny słyszy pochlebstwa durniów: „Mistrzu, dla Mistrza to bagatelka, ot parę słówek tym natchnionym piórkiem, z tej iskry bożej! Niechże Mistrzynie machnie nam ten artykułik, tak od niechcienia, sam Pan Pułkownik byłby zadowolony! Bardzo prosimy, to dla społeczeństwa, przecież dla Mistrza to fraszka, mucha!”...

Taki uspołeczniony szkodnik nie pomyśli o tym, ile wysiłków, ile czasu, ile trudu, ile zdrowia, ile kosztów trzeba poświęcić na wdrożenie się w temat, na przemyślenie zagadnienia, na studia, na lekturę, dyskusję, badania, i znów lekturę, znów dyskusję, znów gromadzenie faktów, porządkowanie notatek — zanim można zabrać się do zorganizowania sobie „natchnienia”. I nie pomyśli o tym, że autor danej pracy, jeśli poczuwa się do odpowiedzialności słowa, nieraz musi podrzeć dziesięć napisanych prac, jedną wersję po drugiej, zanim zdecyduje się na wysłanie jedenastej do druku. I że niejedną noc trzeba prześleć do białego rana, sen z powiek spędzając czarną kawą, papierosami, alkoholem, aspiryną, by z pracy odczłodzić wszelką gadaninę bez sensu, spłodzoną mimowolnie w momentach bezkrytycznego „natchnienia”. Iskra boża bowiem polega na ustawicznej pracy nad sobą, na bezlitosnej kontroli stylu, na żmudnym odchwaszczaniu: jest sumą narastającego doświadczenia i samokrytycyzmu, zdobywanego przede wszystkim pracą, pracą, pracą. Napiecie umysłowe w celu utrzymania ciągłości, jednolitości, zwartości utworu, noce niedospane, zmęczenie fizyczne, na dłuższą metę rujnujące zdrowie, skracające życie — wszystkie te fakty widać nic nie znaczą w społeczeństwie, które nimbem otacza sztancę cudownego natchnienia. Ot, wystarczy bąknąć o radości jakiegoś Pana Pułkownika czy innego kacyka,

by natychmiast wzdąć się natchnieniem, i wiekopomne dzieło już się samo pisze, automatycznie.

Gdyby pp. piśmienni zdobyli się na krucjatę przeciw tak idiotycznej sztancy, może przyczyniłoby się to do polepszenia nieznosnych stosunków, panujących w niektórych środowiskach polskich na obczyźnie (i, oczywiście, w Polsce), gdzie literat, jeśli broni się przed przyjęciem narzucanego mu zadania, często niezgodnego z jego sumieniem — jest brutalnie denuncjowany jako jednostka społeczna, wręcz szkodnik społeczny: „Przychodzi mu to z taką łatwością, a nie chce ofiarować społeczeństwu nawet tej półgodzinki”. „Społeczeństwo”, to oczywiście nie ciemna masa wyborców bez głosu, bo ta i tak nic tu nie ma do gadania, lecz ów ofiarny klan zadyszanych elektów, z wywieszonym językiem biegających z zebrania na zebranie. Choć potrafią i zagadać człowieka na amen i w razie potrzeby niezły list napisać, nie w smak im jednak osobista fabrykacja apeli, oręddzi, manifestów i protestów, zwłaszcza gdy pod ręką mają natchnionego ośła z iskrą bożą. Ten, zastraszony szantażem rzucenia nań anatemy społecznej, porażony wspanią funkcją samego Pana Prezesa — czas i zdrowie marnuje na odwalanie nieczytelnych banialuk z dyrektywy osób „u steru”, skądinąd bardzo szanownych, ale zwykle ośłów. Swój do swego po swoje.

Brak odwagi cywilnej u wielu spośród pp. piśmiennych celem wybronięcia się spod tyranii kacyków — ma swe źródło w tej samej koncepcji „natchnienia” i „iskry bożej”. Zwykły skryba, niegdyś pomiatany, hultaj zgięty w służalczym ukłonie, za chudą kiesę, za łyk cienkiego wina gryzłocący panegiryki i paszkwile, — z czasem wyzwolił się i wzniósł do kabalistycznej godności wernyhory i wieszczą, z głową gwiazd sięgającą, przerastającą tłumy zwykłych zjadaczy chleba. Poeci okresu romantyzmu za pan brat byli z samym Panem Bogiem; w okresie młodopolszczyzny wynaturzyło się to w pogardę wobec tłumów, nie bez swoistej jednak, upelerynkowanej kokieterii „natchnionych”, którym pochlebczy szacunek tłumy potrzebny był do egzystencji, przyjemnie ich podniecając do kontynuacji „natchnienia”. Pisali ody do Poezji (przez wielkie P) i sami siebie zwali kochankami Sławy (przez wielkie S).

Sztanca o natchnieniu, jak upiór wciąż strasząca nas po nocach, pokutuje wśród nas nie tylko jako dziedzictwo po Makużyńskim i jego znakomitych błazeństwach na temat malarzy i poetów: mieszczaństwo, do łez się zaśmiewając, przyjęło to jako prawdę. Próżność zaś malarzy i poetów, łechtana pochlebstwem sztancy, pokrywa ją milczeniem.

Gorzej, gdy „pisarz” sam w nią wierzy. Wtedy we własnych oczach staje się pomazańcem bożym, a zatem wszystko co napisze jest natchnione — nawet wodosłowie. I stąd pobłażliwość wobec siebie samego, stąd łatwizna, stąd poklepywanie innych po ramieniu, pouczanie kolegów, by „podnieśli poziom”, to znaczy by pisali tak jak on pisze. Nie zastanowi się pomazaniec, że np. pianista-wirtuoz, nim osiągnie wirtuozerię i nim odważy

się na publiczny koncert, musi przez wiele lat uczyć się gry na instrumencie; i że, nawet gdy wreszcie uznano w nim mistrza, tym bardziej nie wolno mu zaniedbywać klawiatury i musi niezmordowanie, dzień po dniu, uprawiać palcówki.

To tylko pisarz ponoć od razu rodzi się gotowym, natchnionym geniuszem...

Ach, ci różni mistrzowie i miszcze, pisarze i pissaże, geniusze i gieniusie, asy propagitek i zwyczajne *coûte-que-coûte* asy, obnoszący się z natchnieniem niczym *sandwich-man* ze swym plakatem: „Iskra boża do wynajęcia”!... Zbieracze tytułów własnych prac i pracek („pozycji”), kolekcjonerzy wzmianeczek o sobie, ciulące wycinków i pochlebstw, literaccy dorobkiewiczze („mający w dorobku”) — zwolna wracają do dawnej, średniowiecznej roli uniżonych skrybów. Maluczko, a utracą nie tylko resztki własnego oblicza, bo nawet nazwiska, zaprzężeni do anonimowej produkcji panegiryków i paszkwili. Na naszych bowiem oczach czcigodne niegdyś kapłaństwo pióra — coraz bezczelniej wprzęgane w sitwę, tu w pacht oddawane byznesmenom i kacykom, a tam politykom, w jasyr szowinistycznej lub partyjnej sztancy — coraz bardziej się skurwia i schodzi na żebro.

Zbigniew JASIŃSKI

Tematy dla Kisielea i innych

Jeśli nie chcemy, ażeby nasza emigracyjna polszczyzna trąciła latarnikowską myszką, to powinniśmy z większym niż dotychczas zainteresowaniem śledzić zmiany zachodzące niemal codziennie w polszczyźnie krajowej. Bowiem główny trzon, główna kwatera i substancja polszczyzny są w kraju, jako że tam żyje Naród i tam wykuwają się nowe terminy i pojęcia w życiu codziennym, w języku prasy i książek, w języku naukowym. I czy to się nam podoba, czy nie — do tych zmian musimy się dostosować; inaczej nasz język polski skostnieje i zestarzeje jak francuszczyzna Kanadyjczyków. Ponieważ język jest naszym wspólnym dobrem i skarbem, przeto powinniśmy więcej protestować przeciwko półinteligentkiemu niechlujstwu, zaśmiecającemu coraz bardziej język prasy i książek w kraju.

Kisiel na pewno znowu efektownie obrazi się i pouczy nas, że o języku w Polsce mogą mówić tylko ci, co tam żyją, ale kto

stoi z boku, ten nieraz więcej i ostrzej widzi niż ten, co bierze udział w grze.

Asumpt od tych uwag daje nam cenny szkic A. Kijowskiego o polszczyźnie naszych czasów i echa jakie ów szkic wywołał i wywołuje w rozmowach i polemikach, że wspomnimy tylko uwagi K. Wyki. Dokumentacji do niniejszego felietonu dostarczyła mi pilna lektura prasy krajowej i książek w okresie świątecznym.

Osobiście — jak zawsze pisze Mieroszewski — nie denerwuje mnie ów niewątpliwy, a jakże charakterystyczny zaśpiew kpiny („pan będzie tak uprzejmy się odpierzyć”), którym można określić współczesną mowę polską w kraju, gdyż w odróżnieniu od innych języków, polski język codzienny zawsze był dość niechlujny. Oczywiście każda przesada jest zła i nie tylko na Wiechu i na ulicy należy modelować nasz język współczesny. Ale niewspółmiernie więcej denerwuje i napawa troską to, co powiedziano w tym szkicu w sposób bardziej zawołowany, albo wcale nie powiedziano: chodzi o wpływ rosyjskiej terminologii partyjno-publicystycznej, o wpływ jej składni, a także o wyczyny rodzimych półinteligentów, pracujących w prasie, wydawnictwach, radio i telewizji. Każda partia u władzy, a coś dopiero partia komunistyczna w Polsce, wskutek wyniszczenia inteligencji po wojnie, ma w swej czołówce sporo półinteligentów; ich nowotwory i dziwolągi językowe przyjmowane są bez szemrania, przez społeczeństwo, które albo nie myśli, albo się boi. A przyjęte bez protestu przez ogół niechlujstwo ma to do siebie, że zostaje już na stałe w języku. Zadomowione niechlujstwo staje się kanonem. Szczególnie, że chyba nigdy nie trzeba było ukuć u nas tylu nowych terminów i przyswoić tylu pojęć, jak obecnie i to nie tyle w związku z rozwojem nauk ile w związku z wpływami rosyjskimi i slangiem partyjnym.

Weźmy na przykład takiego Kisiela: denerwuje go, że PAN każe pisać „India”, zamiast Indie, walczy o kreski w wyrazach „środkowouropejski”, a nie widzi koszmarnych nonsensów w rodzaju: „studia stacjonarne” (czyli mówiąc po angielsku: *full time*), „receptura” (zamiast: przepis kulinarny), czy „profit” (choć nie trzeba być językoznawcą, aby wiedzieć, że „zysk” będzie i lepiej i prościej). Takie przykłady można niestety mnożyć w nieskończoność. Prym w tej produkcji dźwierzają oczywiście półinteligenci, chwalcący się cudzoziemszczyzną i ulegający jej w znaczniejszym stopniu, niż pisarze emigracyjni, mający przecież z nią do czynienia na co dzień. Zresztą co tu mówić o półinteligentach, kiedy każdy niemal artykuł „Polityki”, czy „Przeglądu Kulturalnego”, można by dać do poprawienia „po linii” uproszczenia polszczyzny, w jakiej jest napisany; nagromadzenie terminów pseudonaukowych i to w piśmie wcale nie *specjalistycznym* (jak się to mówi w Polsce) jest i męczące i zastanawiające. Dużo by też zyskały owe artykuły i recenzje na skróceniu. Zresztą nie o to tu chodzi.

Kiedy napotykamy na takie wyrażenia jak „chodliwy sezon” (czyli: sezon, w którym dany artykuł „idzie”), czy „rozrywkarz” (u Putramenta, a na pewno ich nie wymyślił, tylko zarejestrował i użył), to machamy ręką jak na różne nieszkodliwe *podomki*, *wieżowce*, *pracochłonne pierogi* (wymagające dużo pracy), *szafowe babki*, *podrywania* itp — bo są one przynajmniej jakies polskie, kpiące i oddające nastrój u licy, czy epoki. I nie martwiłoby to nas, gdyby miały się przyjąć i pozostać na zawsze. (Czy z tego narodzi się polskie *argot* — trudno przewidzieć. Może).

Ale jeśli majstrowi Iwaszkiewiczowi wolno w „Kochankach z Marony” napisać — nie w dialogu, ale w komentarzu odautorskim — *poszła do kuchni zorganizować herbatę*, jeśli Żukrowskiemu wolno pisać o starym Bojowiku, iż mówiąc o pryncypiach *powiedział zasadniczo*, to może nie ma co się złościć na Lucjana Wolanowskiego, że *konsultuje się z kimś*? Jednak skoro jego książka pt. „Zwierciadło bogini” (reportaż o Japonii) jest w chwili obecnej w Polsce bestsellerem, to trudno nie skrzywić się, gdy się czyta takie „numery” jak: *dowiedziałem się od biura podróży, uprzednie uprzedzenie, makaron z jarzyny, formułowanie sądów ostatecznych, surowcem potrawy jest wołowina pokrajana w plasterki* itd. Głównym składnikiem, do cholery, a nie surowcem! Książki Wolanowskiego, którą mi przesłał, gdyż bawi w Australii i zbiera materiały do pracy o tym kontynencie — nie doczytałem do końca. Bo nudzą mnie takie niechlujności, mimo, że Wolanowski często pisze dość interesująco i mniej przetyka swe reportaże starymi kawałkami, niż wyleniały już Wańkowicz. Pisz poza tym tak tendencyjnie, że aż nieraz człowiekowi flaki się wywracają. A jeżeli w jednym z reportaży z Australii boi się napisać prawdę, że taki a taki statek polski przywiózł do Nowej Zelandii w 1942 r. 900 sierot polskich uratowanych z Rosji, gdy ich rodziców tam wykończono, to niech nic nie pisze. Pisanie natomiast, że statek przywiózł *uchodźców z Anglii*, jest nieuczciwością.

Proponujemy, aby w pismach emigracyjnych wprowadzono kącik językowy, gdzie by sygnalizowano co ciekawsze zmiany w polszczyźnie krajowej bo zmiany takie trzeba śledzić. Ale też trzeba, aby w Polsce zamiast kącików wykpiwających błędy linotypistów, wprowadzono coś w rodzaju „Camera obscura” na mętniactwo i półinteligentkie zaśmiecanie naszego języka.

Nie „postulujemy” tu maniactwa językowego, czy puryzmu na „bazie” „adekwatnych” „obiekcji” (Toeplitz), po prostu prosimy o zwrócenie większej uwagi na poprawną polszczyznę.

KWIATUSZKI BIUROKRATYCZNO-EKSPORTOWE

Biurokracja nie jest wymysłem komunizmu, ale trzeba przyznać, iż on ją udoskonalił w sposób niezwykły i niespotykany

gdzie indziej. Bo biurokracja jest tam, gdzie ludzie boją się sami podjąć decyzję i gdzie urzędnik chce pokazać co to on znaczy.

Powstał ostatnio w Polsce jakiś komitet, który likwiduje niepotrzebne druki i formularze. Brawo! W pierwszym tygodniu na przemiał poszło 800 ton niepotrzebnych formularzy. Wiadomoś pocieszająca, ale i przerażająca: *jak takie możliwości mogły zaistnieć?* Produkcję tego komitetu można łąco zwiększyć. Przykład. W wolnych chwilach od zarabiania kucharstwem na życie (by móc nie pisać tego w co nie wierzę) pomagam koledze, który ma księgarnię i eksportuje z Polski wiele rzeczy, m.in. płyty i cukierki. Jak tylko przyjdzie nowy transport książek z Polski, moją pierwszą czynnością jest odszukanie rachunków-faktur zatrzymanie jednej i *natychmiastowe wyrzucenie trzech kopii*. Bo każdy tutejszy handlowiec uważa, że jeden rachunek całkowicie wystarczy. A te cztery kopie są podpisane własnoręcznie, nie przez kalkę, przez dwóch dyrektorów. Za jednym zamachem można mieć oszczędność na papierze w wysokości 75 procent, plus ileś tam dyrektorogodzin za podpisy. Kiedyś przy tej robocie poczęstowałem klienta-Australijczyka polskimi cukierkami. Oczywiście polskie cukierki nie „zadziały tak emocjonalnie” (wyrażenie z korespondencji handlowej z kraju, przysięgam) na Australijczyka jak na nas, którym marzy się dawna Warszawka, ale zjadł i mu smakowały. Tylko, że oglądając papierki opakowania wybuchnął śmiechem. Bo dla nas dawne „raczki” wedlowskie to raczki i już, a dla niego nonsens, gdyż nazwę cukierka podano jako „Lobster Nut Grunch” (To tak jakby: „Honey” do dziewczyny przetłumaczyć: „Miodziku”). Tłumaczenie żywcem i nieapetyczne, plus wyszczególnienie na opakowaniu każdego cukierka z czego to się robi (Sugar, Potato Sirup, Peanuts, Vanillin, Artificial Rum Flavor, U.S. Certified Color) stwarza z tego cukierka „klops”, czyli „chałę”, a mówiąc starszą polszczyzną: „kupę śmichu”. Tak samo kupą śmichu są niektóre niezgrabne (ach, jak niezgrabne!) tłumaczenia awiz, zapowiadających publikację nowych książek. Czy nie można do takiej roboty wziąć kogoś kto zna angielski i mentalność i zwyczaj anglosaskie? Kiedyś przetłumaczono z francuskiego na polski *L'Annonce faite à Marie*, czyli Zwiastowanie NM Pannie, jako *Ogłoszenie dla Marii*. Jeżeli tyle pieniędzy wydaje się na propagandę, na ślicznie graficznie rzeczy, to warto się wysilić aby nie było tam takich i innych „typologicznych” kwiatów.

Nie jestem ekonomistą, dlatego też nie rozumiem kilku spraw: Ile (i dlaczego?) kursów przeliczeniowych ma mieć złoty? Dlaczego Polska, chcąc eksportować za wszelką cenę, nie może pozwolić sobie na eksport indywidualny? Mój znajomy składał takie memoriały wielokrotnie, uzasadniał je, dokumentował, dostawał odpowiedzi (albo i nie), chwalono go za pomysł — i od lat nic się w tej sprawie nie posunęło. Niemiec może sobie zamówić indywidualnie z Niemiec motocykl, czy kurtkę, Francuz może zamówić indywidualnie perfumy, czy wino, Duń-

czyk może zamówić indywidualnie meble — natomiast Polak nie może zamówić indywidualnie. Może tylko posłać rodzinie paczkę i pieniądze przez PKO, może ewentualnie zamówić sobie tu paczkę żywnościową z Polski, choć potrzeby ku temu nie ma. Konsulat w Sydney zapowiadał *oddzielne paczki żywnościowe dla mężczyzn i dla kobiet*, jakby nie było równości w systemie socjalistycznym i jakby obie płci jadły co innego. A gdybym ja chciał zamówić sobie dla syna zakopiańską ciupagę, albo szafę ze Swarzędza? Niemożliwe, bo jak dotychczas nie ma Centralnego Urzędu dla Handlu Ciupagami z Australią. (Musiała by być zaraz wywieszka, dyrektor, wicedyrektorzy, radca prawny nie znający tutejszego prawa, ani zwyczajów, maszynistka i w sumie może by sprzedano 700 ciupag w Australii. Węć się nie kalkuluje). A taka mała ciupaga dla naszych harcerzy byłaby pierwszorzędnym „zadziałaniem emocjonalnym”. Oczywiście przed utworzeniem tego Centralnego Urzędu dla Handlu Ciupagami z Australią przyjechałoby tu jedna albo dwie misje co najmniej dwuosobowe i badałyby. Rozmawiałem w ub. roku na ten temat z dyr. Maślowskim z PKO i jego doradcą prawnym, który go pilnował (oba po angielsku oczywiście ani dudu) i istotnie przewidywali trudności ze stworzeniem takiego Urzędu, bo inaczej nie można. Nie kalkuluje się. Natomiast i Niemcom i Francuzom kalkuluje się. *Zadlaczego?* — jak mówili we Lwowie.

Tyle mówicie, że zależy wam na utrzymaniu polskości wśród nas i naszych dzieci. To czemu kurs przeliczeniowy na polskie książki jest taki wysoki? Na płyty to samo. A polskie lalki i kilimy są po prostu horendalnie drogie. Ceramika? Nieosiągalna. Trzeba być milionerem, aby sobie na nią w Australii pozwolić.

Nie ma chyba Polaka zagranicą, który by nie korzystał z usług PKO. Z dużą wdzięcznością. Ale chyba nie przychodzi Wam do głowy, że PKO spełniło też dużą rolę w demoralizowaniu rodaków w kraju. Zawiści, że ten ma brata w Australii, że znów coś dostał, kombinacje, odsprzedaże na „ciuchy”, proszenie o zawsze większe ilości lekarstw niż potrzeba, nałożenie cła na rzeczy używane w tej wysokości co za nowe — to nie są sprawy miłe. Po śmierci Żony chciałem posłać Jej rzeczy szwagierce. Cło miało tyle wynieść, że nie posłałem, a rozdałem tu. Czy naprawdę nie można ustalić i sprawdzić że ktoś może 2 razy do roku dostać paczkę z używanymi rzeczami bez płacenia tego olbrzymiego cła? Boicie się pokątnego handlu i paskarstwa a sami dla interesu wprowadziliście handel produktami PKO, co właśnie zasila ów pokątny handel. *Istnienie paczek i przekazów PKO jest tylko potwierdzeniem ciągłej nienormalności waszych warunków ekonomicznych*. Bowiem normalny kraj tego nie zna i nie potrzebuje. Jest tylko eksport i przesyłka pieniędzy, za co można kupić co się chce. A tu eksport jest dławiony przez własną indolencję i kupę pasożytów. Doi się emigrację, (dewizy, za sentyment trza bulić!) pomaga się potrzebującym (za nie swoje

pieniądze) i utrzymuje się kupę urzędników, szczęśliwych, gdy mogą nowy i bzdurny okólnik napisać.

Jeśli jutro skończyła się emigracja, to nastałoby w Polsce bezrobocie i nędza na miarę niespotykaną. Co by robili tacy Masłowscy? A jest ich legion. Czy umieliby pójść do fabryki, albo na kucharza? Ech...

Andrzej CHCIUK

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »
TOM LXXXI

WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

T. II

Cena egz. 15 NF (22/6; dol. 3,25)



TOM LXXXIV

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT TRZECI

z a w i e r a

Relacje i wspomnienia z okresu Niepodległości i z czasów wojny, pióra: Tadeusza Święcickiego, Wiktora Sukiennickiego, Jerzego Grobickiego, Waleriana Mercika, Leona Orłowskiego, Michała Borwicz, Leona Mitkiewicza i Tadeusza Katelbacha oraz opracowania: Pawła Wandycza, Franciszka Kalinowskiego, Tadeusza Nowackiego, Adama Uziembło, Jakuba Hoffmana i Stanisława Bóbr-Tylingo.

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratorzy „Kultury” korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Oplacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.

Najnowsza historia Polski

Sprawa płk. Gilewicza

W numerze 179 „Kultury”, w Listach do Redakcji, komentuje p. Wojciech Gniatczyński sprawę płk. Gilewicza rozstrzelanego w Oświęcimiu w 1943 roku.

Nie znam dokumentu publikowanego w tej sprawie przez p. Ciołkosza, aby osądzić czy jest dostatecznie wyczerpujący. Najbardziej dokładne sprawozdanie, poza niżej podpisanym, mógłby jedynie podać p. Bartosiewicz. Drugim z kolei byłby rotmistrz Tomasz Serafiński (nazwisko przybrane), ale on znał sprawę tylko do roku 1942, w początkach którego uciekł. Inni z najbliższych współpracowników płk. Gilewicza, jak płk. Dziama, major Lisowski (nazwisko przybrane), Stamirowski, zostali rozstrzelani razem z nim.

Zgadzam się z p. Gniatczyńskim, że ta sprawa była incydem znaczącym i pragnę w jak największym skrócie podać ogólny zarys jej historii.

Sprawa płk. Gilewicza ma swoją nazwę: *Ścisłe Tajna Organizacja Więźniów Politycznych Obozu Koncentracyjnego w Oświęcimiu*.

Niemcy ją nazwali: AUFSTANDSORGANISATION. W języku obozowym, niektórzy ją skracali: „TO” (Tajna Organizacja), co bardzo ułatwiało zakonspirowane rozmowy.

Warunki obozowe, w których się rozgrywały dzieje organizacji, są znane. Przemyślano je „idealnie” do masowego niszczenia Polaków. Żydów i innych narodowości, zabierających Niemcom „Lebensraum”. Środki niszczenia są również znane: natychmiastowe lub powolne, ale sprowadzające się do tego samego: śmierci. Nadzieja uratowania życia była tam nikła, toteż niektórzy ulegali rezygnacji od razu i ginęli — inni pełni nienawiści, buntu i chęci przetrwania, nie poddawali się — walczyli.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Do tych ostatnich należał płk Gilewicz. Umiał on nawoływać do ocknięcia się i reakcji, wskazywał broń jakiej należało użyć w walce ze zbydlęconymi zbrodniarzami i nie zaważał się w tych warunkach rzucić myśli organizowania tych wszystkich skazanych na wytepienie, bez względu na to czym byli kiedyś: oficerów, szewców, księży, robotników, chłopów, górali, ślązaków, „tajojków” lwowskich i „bałuciarzy” z Łodzi, zaciętych poznaniaków i cwaniaków z Warszawy... jednym słowem: więziony Polski Naród. Była to *sprawa narodowa*.

Celem tej sprawy było podtrzymanie psychiczno-moralne, oraz przygotowanie zdrowych jeszcze i zdolnych do akcji, aby rozbić i uwolnić obóz. Cel szaleńczy i zdawało się nierealny. Przy perfidnym używaniu przez Niemców „sztabu” kapusiów-donosicieli, nie łatwe było „zwołanie wici”. Toteż pierwszym zadaniem komórki konspiracyjnej było stworzenie systemu do porozumiewania się z innymi. Zastosowaliśmy na pierwszą próbę system poddany przeze mnie, polegający na utworzeniu „łańcucha przyjaciół”, z których następny nie powinien wiedzieć o poprzednim. Wydawało się, że system ten będzie zbyt powolny, ale miał swoją bardzo dodatnią stronę, a mianowicie najmniejsze ryzyko na wypadek zdrady. Próba się powiodła, dając zadziwiające wyniki. „Łańcuch” rósł, a „poczta pantoflowa” działała jak najsprawniej.

Pierwszą komórkę konspiracyjną tworzyli: Płk Gilewicz, kpt. „Staś” (nie mogę sobie przypomnieć nazwiska — w potocznych rozmowach używaliśmy tylko imienia), „Heniu” Bartosiewicz, rotmistrz Serafiński i ja. Wkrótce doszedł płk Dziama (jego bezpośrednim zaufanym był major Lisowski, tak jak Stamirowski był zaufanym płk. Gilewicza, ale mimo, że oni znali wszystkie tajemnice, nie brali udziału w naradach komórki). Stąd rozchodziły się poprzez ogniwa „łańcucha” opracowywane plany i powracały w formie aprobaty, lub krytyki.

W założeniu strategicznym planu, chodziło o jak największą ilość zaufanych w każdym komandzie pracy. Nieocenione usługi przy rozmieszczaniu naszych ludzi w komandach, oddał nam „mój uczeń” języka polskiego, Niemiec Otto Kissel (bardzo popularny Arbeitsdienst — przydzielający do pracy — niewtajemniczony). Statystykę należących do organizacji według komand, prowadził płk Gilewicz, własną metodą szyfrową.

W przeciągu pierwszego roku, organizacja liczyła ponad osiem tysięcy zdolnych do akcji, przygotowanych do swoich zadań i zdecydowanych na wszystko.

Plan uderzenia, zbyt skomplikowany i za obszerny, aby go tutaj omówić, był pomyślany z taką precyzją, że nie było najmniejszej wątpliwości co do jego powodzenia.

Problemy trudne do rozwiązania, zaczynały się po rozbiciu obozu. Niemożliwość szybkiego rozproszenia się dziesiątek tysięcy „oswobodzonych” kalek i chorych, narzucała bolesną odpowiedzialność za rzeź, którą Niemcy na pewno przeprowadziliby z największą satysfakcją. Należało zatem szukać możliwości roz-

wiązania tych problemów, do czego nieodzownym warunkiem było zdobycie sojuszników na zewnątrz. Starano się o nawiązanie kontaktów z tajnymi organizacjami, ale te ciągle się rwały. Nadzieje pokładane w osobie rotmistrza Serafińskiego po jego ucieczce, również zawiodły. Nigdy się z nami nie skontaktował. Po wojnie dowiedziałem się, że był on podobno w armii gen. Andersa, jako Jan Pielecki, co nie wiem czy jest ściśle. Moje osobiste wysiłki nawiązania kontaktu z zewnątrz, łudziły nas przez szereg miesięcy. Miałem bowiem możliwość stykania się z ludnością cywilną, wychodząc (pod strażą) co drugi dzień w teren, celem robienia pomiarów uzupełniających, potrzebnych do wykonywania modelu całej okolicy Oświęcimia. Model ten miał służyć do gigantycznie zakrojonej planifikacji „Obozu Przyszłości”, przewidzianego na dziesięć milionów powojennych niewolników (!). Jakaś ostrożna organizacja krakowska przysłała mi łączniczkę, której wręczyłem sformułowaną prośbę o współdziałanie, oraz poinformowanie innych organizacji o naszych planach. Odpowiedziano mi dość szybko tą samą drogą, że w okresie następnych tygodni otrzymamy szczegółowy plan wspólnej akcji. Niestety — nie dotrzymano słowa.

Tymczasem, organizacja musiała czymś żyć. Niecierpliwość była trudna do opanowania. Postanowiliśmy więc wykorzystać jej energię w innym celu. Mianowicie w celu samopomocy i samoobrony wewnętrznej, która już istniała w małych rozmiarach, ale należało ją skanalizować według potrzeb i rozszerzyć na obóz kobiet. Polegała ona na „organizowaniu”, czyli w języku obozowym przywłaszczaniu sobie wszystkiego co należało do Niemców, a szczególnie żywności i odzieży i rozdzielaniu wśród swoich.

Wyczyny tej akcji były wprost legendarne i mimo pewnych wpadek i ofiar, dawały satysfakcję, zadowolenie i dziwne poczucie siły, nad zbaraniałymi często Niemcami, bezradnymi w dociekaniu mnożących się „cudów”. *Należy stwierdzić, że ta akcja poboczna, oddała obozowi największe usługi. Uratowała o wiele więcej Polaków, Żydów i innych, niżby to było dokonało rozbicie obozu.*

Niesposób tutaj wymienić tych wszystkich, którzy z narażaniem życia dokonywali superkombinacyjnych wyczynów. Muszę jednak wspomnieć płk. Dziamę, który w początkowych rozmowach nad wykorzystaniem organizacji w tym kierunku, zajął entuzjastyczne stanowisko, a w późniejszej akcji był wprost niestrudzony.

Do roku 1943 organizacja nie miała żadnego wypadku zdrady, co było jej niewyrażaną głośno dumą. Toteż aresztowanie płk. Gilewicza, płk. Dziamy, majora Lisowskiego, kpt. „Stasia”..., Bartosiewicza i około 80-ciu innych należących do organizacji i około 90-ciu nienależących do niej, zawisło nad obozem trudnym do zrozumienia pytaniem: KTO WSYPAŁ?

W dwa dni po pierwszych aresztowaniach, przyszli po mnie na miejsce pracy do Bekleidungswerkstätte, gestapowiec Boger,

ten sam o którym wspomina p. Gniatczyński i cywil Grönke, zwolniony więzień — bandyta, kierownik mego komanda. Na dużej wspólnej hali pracowały inne grupy, a w nich spora ilość należących do organizacji, którzy przypuszczali, że po przesłuchaniu mnie, przyjdzie kolej na nich. Tak Boger jak Grönke znali mnie od trzech lat (przybyłem w pierwszym transporcie), co mi dawało dużą szansę podczas dwugodzinnego przesłuchiwania. Drugą szansą jaką się starałem wykorzystać, było moje stanowisko „niezastąpionego” przy wykonywaniu już wspomnianego modelu, za który komendant obozu Hess, zbierał od Himmlera niesamowite pochwały. Podczas dwukrotnego pobytu w Oświęcimiu, Himmler oglądając model, żądał abym mu osobiście objaśniał szczegóły. Zaistniał przy tym pewien incydent, którego świadkami byli tak Boger jak Grönke, Himmler mnie zapytał wulgarnie za co siedzę: „Was haben Sie ausgefressen?”. Odpowiedziałem mu pytaniem: „Is es nicht genug, dass ich bin Pole?” (Czy nie jest wystarczające, że jestem Polakiem?). — „Wollen Sie also sagen, dass... ausserdem sind Sie unschuldig?”. (Chce pan powiedzieć, że... poza tym jest pan niewinny?). Bezpośrednio potem Himmler rozmawiał dość długo z Hessem. Grönke mnie to później komentował z wielką elokwencją, że mimo mojej odpowiedzi „frech” (bezczelnej), na pewno będę zwolniony. Tak samo fakt, że Boger przyszedł osobiście na miejsce pracy, trudno było wytłumaczyć inaczej, jak tylko „słabością” Hessa do „twórcy” modelu. Toteż zastoso wałem teatralną metodę oburzonego i kpiłem, że tylko w perfidnych niemieckich umysłach może się zrodzić taka naiwna bzdura, jak posądzanie na wpół martwych kalek o zbrojne powstanie. Ośmieszałem prof. Xawerego Dunikowskiego (był aresztowany — do organizacji nie należał), że mimo sześćdziesiątki, jako „marszałek muzumanów”, napędził im strachu. W podobny sposób ośmieszałem innych o których mnie pytano, doczekawszy się w końcu zirytowanego epitetu Bogera: „Entweder bist du zu dum, oder zu klug” (albo jesteś za głupi, albo za chytry). Nie zabrali mnie i nie przesłuchiwali innych. Na drugi dzień, zwolnili: Dunikowskiego, Bartosiewicza, Hollera, Domanieckiego i innych.

Ku naszemu zdziwieniu, zwolnieni opowiedzieli fakt nieprawdopodobny. Major Lisowski, w momencie kiedy go wyprowadzano na rozstrzelanie, rzucił oskarżenie o zdradę, na swojego najbliższego zaufanego por. Józefa Domanieckiego, jednego z moich serdeczniejszych przyjaciół.

W niepisanym kodeksie obozowego prawa, zdrada była największą zbrodnią i podlegała najwyższej karze. Na mnie spadł ciężar wykonania wyroku.

Z nieugiętą stanowczością postawiłem dwa warunki: aby mnie nikt nie śmiał uprzedzić i aby termin wykonania pozostawiono mojej decyzji. Byłem przekonany, że oskarżenie jest tragicznym nieporozumieniem. Nie wierzyłem w nie.

Nie zapomnę bolesnej rozmowy z Domanieckim, podczas

której mnie zapytał, czy ja go również uważam za zdrajcę. Był zdruzgotany i bliski samobójstwa. Nie przeczuwał, jaką funkcją ja jestem obarczony. Jedyne co mu mogłem powiedzieć było: „Wytrzymaj, Bóg da, że się wszystko wyjaśni”.

Długie miesiące, bo aż do września 1944 r. byliśmy jeszcze razem w obozie. Domaniecki był unikany i nikt z organizacji nigdy z nim nie rozmawiał — czekano wyjaśnienia. Rozsądek nakazywał dotrzeć najpierw prawdy za wszelką cenę. Zadania się podjęli w pierwszym rzędzie nasi ludzie z Politische Abteilung oraz inni, przy czym nie obyło się nawet bez przekupywania niektórych oficerów SS. brylantami z „kanady” (magazyny z efektami po zagazowanych).

Posypały się posądzenia i podejrzenia. Między wieloma, były natarczywe donosy skierowane w grupę lewicowo-komunistyczną. Grupa nieznaczną i o innym charakterze, ale ocierającą się o organizację i znającą wielu jej członków. Byli to początkowo austriacy i niemieccy komuniści, odznaczający się już z poprzednich obozów dużą solidarnością. Przez porządne zachowywanie się w obozie, oraz idee polityczne, przyciągnęli z czasem wielu polskich współwyznawców. W tejże grupie znalazł się również Józef Cyrankiewicz. Podejrzenia sklasyfikowaliśmy jako nielogiczne i krzywdzące. Dowodem dyskrecji tej grupy był fakt, że znała kilku członków organizacji zajmujących się przygotowywaniem ucieczek i żaden z nich nie został rozstrzelany. Jeden z ich grupy, był nieodzownie potrzebnym przy urządzaniu kilku ucieczek (w szczególności Kraśnickiego i księdza „Wujka”), które do dziś pozostały niewyjaśnioną tajemnicą tak dla Niemców, jak całego obozu, bo wykpić system strażniczy niemiecki doprowadzony do perfekcji, nie było łatwo. Ten współpracownik (fotograf), zwierzył się po ucieczce Kraśnickiego o swojej współpracy Cyrankiewiczowi, który po nieudanej ucieczce, złapany i ciężko pobity leżał w stanie chorych. Chciał uciekać po raz drugi „naszym systemem”, o co, ku mojemu zdziwieniu, zwrócił się wprost do mnie. Do jego ucieczki nie doszło, ale dyskrecję zachowali.

Informacje zdobyte za brylanty, wydawały nam się zupełnie nieprawdopodobne, mimo, że pochodziły z odmiennych źródeł. Twierdziły, że rozkaz i lista podanych do rozstrzelania przyszły z Warszawy.

Po tragicznej rozwałce „łańcuchy” organizacji poruszały się nadanym im na początku rozpędem. Ze starej gwardii pozostał tylko Bartosiewicz i ja. On przerzucił swoją działalność na „Birkenau” i obóz kobiet, ja pozostałem w obozie głównym. Oderwałem się od modelu, który już był prawie skończony i przy pomocy A. Wrony, członka tajnej organizacji śląskiej, dostałem się do magazynów z materiałami dla szewców i krawców jako „Hauptmagaziner”, funkcja, która była doskonałą bazą operacyjną aż do września 1944 r., w którym to czasie wywieziono mnie niespodziewanie do Oranienburga, skąd w kwietniu 1945 r. uciekłem.

Po wojnie, w sierpniu 1945 r., składałem szereg zeznań o sprawach oświęcimskich w prokuraturze Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu. Wspomniałem krótko o organizacji obozowej i rozstrzelaniu płk. Gilewicza i innych, na co ku mojemu zdziwieniu jeden z członków prokuratury (kpt. Kasprzak, albo Kasprzyk), oznajmił mi, że zna tę sprawę i przeglądając zapiski w osobistym notatniku, zapytał mnie czy znam nazwisko Kuczbara.

Jan Kuczbara, dentysta obozowy, był w Oświęcimiu zaledwie rok. Cechowała go pewność siebie, odwaga i tupet posunięty do fanfaronady. Wsławił się między innymi pobiciem sławnego Krankenmana, krwiożerczego kata z bunkrów, co normalnie powinno się było skończyć śmiercią więźnia. Szybko sobie zjednał wielu przyjaciół, którzy go wciągnęli do organizacji. Chwalił się, że ma nadzwyczajne stosunki w organizacjach podziemia. Chciał uciec, aby skoordynować wspólną akcję. Pomagałem mu w sławnej ucieczce „pięciu”. On w roli strażnika SS., Otto Kissel (Arbeitsdienst) oraz trzech innych, wyjechali z obozu „rolwą”, transportując szafy do domów oficerów SS. Dobitnie charakteryzuje go następująca bezmyślna fanfaronada: Ostatniego wieczoru przed ucieczką, przyszedł na mój blok w mundurze SS. i wywołał mnie, aby się... p o z e g n a ć (!). Drogo mnie mogło kosztować takie pożegnanie.

Według opowiadania kpt. Kasprzaka, Jan Kuczbara aresztowany przez warszawskie Gestapo, zdradził oświęcimską organizację. Obiecano mu za to wolność. Niedługo się cieszył „wolnością”, bo zanim doszedł do bramy wyjściowej przy Alei Szucha, Niemcy go zastrzelili.

Może ktoś znający dokładnie sprawę Kuczbarę, zechciałby potwierdzić te fakty.

Opowiadanie wydawało mi się logiczne i prawdopodobne i pokrywało się z wiadomościami otrzymanymi jeszcze w Oświęcimiu, w które nie chcieliśmy wierzyć. Poinformowałem o tym Związek Polskich Więźniów Politycznych, oraz Déportés Politiques w Paryżu i Brukseli, aby zrehabilitować por. Józefa Domańskiego, niewinnie oskarżonego.

Tak wyglądała w dużym skrócie „sprawa płk. Gilewicza”, twórcy i szefa organizacji oświęcimskiej — sprawa więzionych Polaków. Świadczyć jej mogą ci wszyscy, którzy dzięki niej ocalili. Polacy, Żydzi, Francuzi, Belgowie i inni, którzy nie mieli najmniejszej szansy przetrwania, a... przez „PRZYPADK” żyją, powinni się oni dowiedzieć, że wiele z dziękczynnych słów kierowanych do współtowarzyszy obozowej niedoli, za „braterską pomoc i ocalenie”, w największej części należą się *śp. płk. Gilewiczowi*. On łączył spoiwem solidarności, odwagi, mądrości i dyscypliny ognia łańcucha, które pulsując nieprzerwanym rytmem, powodowały PRZYPADKI.

Caracas — Venezuela, dn. 2 stycznia 1963.

Janusz MACHNOWSKI

Kronika kulturalna

Wystawa Henryka Stażewskiego

Henryk Stażewski jest jednym z najpoważniejszych i bardzo cenionych artystów polskich, pracujących dzisiaj w kraju.

Urodzony w roku 1894 był on jednym z pierwszych artystów w Polsce, którzy natychmiast po wojnie 1914-18 wykazali żywe zainteresowanie i oddźwięk na nowe formy w sztuce, które objawiły się z ruchami artystycznymi kubistów, futurystów, suprematystów i neo-plastyków.

Był on jednym z tych artystów, któremu tradycyjne tematy malarskie takie jak: akt, pejzaż i martwa natura nie miały nic do zaoferowania.

W poszukiwaniu nowych form Stażewski związał się z ugrupowaniami awangardy; a więc należy do Bloku, pracuje z grupą pod nazwą Praesens, a także z paryskim Cercle et Carré, jest on również członkiem grupy Abstraction Creation. Już w tamtych czasach ten artysta starał się wprowadzić do plastyki pewne ogólne zasady o charakterze intelektualnej dyscypliny. Wybuch drugiej wojny światowej spowodował przerwę w pracy twórczej Stażewskiego.

Pierwszy raz po wojnie spotykamy się znowu z nazwiskiem Stażewskiego w związku z wystawą Prekursorów Polskiej Sztuki Abstrakcyjnej urządzoną w Paryżu w roku 1957, w galerii Denise Rene'a. Od tej daty prace tego artysty pojawiają się znowu na wystawach w Polsce i na Zachodzie.

Sztuka Henryka Stażewskiego jest odmianą konstruktywizmu. Michel Seuphor, który daje nam pełny historyczny obraz tego ruchu w artykule „Constructivist Painting” w „Modern art yesterday and tomorrow” wymienia nazwisko Stażewskiego jako pioniera tego kierunku w Polsce już w roku 1921.

Co to jest konstruktywizm?

Sztuka abstrakcyjna stała się stylem naszego wieku, podobnie jak, mówiąc ogólnie, naturalizm był stylem wieku XIX. Naturalizm wyraził się w mnogości różnych odmian i w ten sam sposób sztuka abstrakcyjna przybrała około dwudziestu różnych postaci.

Jednym z nurtów sztuki abstrakcyjnej jest konstruktywizm. Nazwiska Mondriana, Malewicza i Van Doesburga związane są z samym początkiem tego ruchu. Od roku 1921 idea konstrukty-

wizmu rozprzestrzeniła się gwałtownie w krajach Europy. Pierwsi przedstawicielami tej odmiany sztuki w owych latach w Polsce byli Stażewski, Strzebiński, Berlew i Katarzyna Kobro.

To co zrazu wydawało się *reductio ad absurdum* stosowanym w sztuce okazało się z czasem owocnym i bogatym w konsekwencje, najbardziej być może typowym wyrazem technicznego i konstruktywnego ducha naszych czasów.

Konstrukcja dzisiaj jest zjawiskiem, które przybiera na sile i znaczeniu. W New Yorku i Londynie (gdzie ten rodzaj twórczości nazwano obecnie *hard edge art*) jak i w Paryżu wyznawcom konstrukcjonizmu przybywa coraz więcej entuzjastów. Pojawienie się zupełnie nowych materiałów takich jak aluminium, plastik czy perspex jest dużą pokusą dla artystów, których pociąga eksperymentowanie w nowym przedmiocie. Chociaż konstrukcja wypływa wprost z formalnego malarstwa dwuwymiarowego to poprzez swój materialny i konkretny związek z tworzywem i techniką stała się tworem, który realistycznie określa przestrzeń w trzech wymiarach i posiada dużo wspólnych elementów z architektonicznym sposobem myślenia. Artysta staje tutaj wobec podobnych problemów jakie ma architekt, chociaż nie jest on ograniczony praktycznymi możliwościami, z którymi architekt musi się liczyć, a także ma bardziej bezpośredni kontakt z materiałem. W wieku gdzie przestrzeń tak bardzo zajmuje umysł ludzki, wydaje się zupełnie naturalne, że plastycy dążą do eksploracji zagadnień tak bardzo z przestrzenią związanych. Ta metoda plastyczna jest drogą ciągłego próbowania i sprawdzania nowej trójwymiarowej rzeczywistości. W ten sposób konstrukcja jest nie tylko nową techniką, ale nabiera znaczenia nowego problemu artystycznego.

Poprzez stale wzrastającą penetrację istoty zagadnienia, konstrukcja może się okazać środkiem w procesie ewolucyjnym rozwoju formy jako takiej, co z kolei może zaprowadzić do pogłębienia rzeczywistości na poziomie świadomości.

Pierwsza indywidualna wystawa prac Henryka Stażewskiego w Londynie, jest zorganizowana pieczołowicie przez Grabowskiego i urządzona w sposób, który z miejsca pokazuje odrębność sztuki tego artysty i jego wkład twórczy do ogólnego dorobku kulturalnego naszej epoki. Dwadzieścia cztery, raczej skromne w wymiarach — konstrukcje Stażewskiego, umieszczone w atmosferze nowoczesnego wnętrza całej Grabowski Gallery — są luksusem o jakim marzy niejeden z wystawiających plastyków.

Konstrukcje Stażewskiego, które on nazywa reliefami (zapewne przez skromność) dla ich niezmiernie prostej i nieskomplikowanej budowy, mają bardzo intymny klimat i liryczną *quality* co od razu odróżnia prace tego artysty od innych konstrukcjonistów. Wszystkie prace wystawione powstały w latach 1961-62.

Na kwadratowej albo prostokątnej powierzchni Stażewski rozgrywa swoje problemy przez ustawianie kilku prostych form w pewnych wzajemnych do siebie i do płaszczyzny stosunkach i to nie tylko układa je obok siebie, ale także jedne nad drugimi. Następnie całość jest pomalowana najczęściej jednym kolorem, któremu artysta nie przepisuje specjalnej roli plastycznej — może w wypadkach gdzie występuje więcej niż jeden kolor — jest on użyty do określenia pewnych planów przestrzennych i nie pretenduje do roli jaką barwa odgrywa w sztuce malarskiej.

Sztuka Stażewskiego w gruncie rzeczy nie zajmuje się problemami malarskimi — jego interesuje przestrzenna rzeczywistość, którą konstruuje z chaosu wrażeń zmysłowych, a próba ustalenia stosunków pomiędzy najprostszymi formami w przestrzeni jest w tej chwili głównym zadaniem Stażewskiego.

Te rozbrajające swoją prostotą i lapidarnością układanki drewniane, na pozór przypadkowe a tak oczywiste, mają znaczenie odkrywcze stosunków przestrzennych, które istnieją w świecie, a które ten plastik wykrywa w sposób, w jaki kiedyś został wynaleziony przez ludzkość kwadrat czy koło. Figura geometryczna, jaką jest na przykład kwadrat, tkwi tak głęboko w naszej świadomości, że trudno nam sobie dzisiaj wyobrazić, że kiedyś w zamierzczłej przeszłości ludzkość nie знаła tego pojęcia. Mało zastanawiamy się nad faktem, że najbardziej powszechne i codzienne formy musiały być kiedyś zauważone przez kogoś i odkryte po raz pierwszy.

Co jest najtrudniejsze do zaakceptowania w sztuce Stażewskiego, to te z jego reliefów, gdzie szereg absolutnie identycznych kształtów i wymiarów form rzuconych na płaszczyźnie na pozór przypadkowo i beładnie urąga wszystkim znanym prawdom, które od wieków były elementarnymi zasadami w plastyce, a które to prawa zostały przez Stażewskiego pogwałcone.

Ale czy te reliefy nie są odkrywaniem właśnie nowych porządków? Czy w tych na pozór chaotycznych układach nie możemy dopatrzeć się pewnych koncepcyjnych aspektów współczesnej wiedzy o świecie, zwłaszcza w budowie materii?

Element burzenia uznanych harmonii i rytmów w sztukach plastycznych oraz próba zastąpienia ich nowymi prawami jest zasadniczą wartością sztuki Henryka Stażewskiego.

Druga kategoria reliefów wykonanych przez artystę w roku 1962 jest bardziej wyrafinowana, delikatna i w pierwszym rzędzie działająca swoją stroną estetyczną. Prace te dają świadectwo wielkiej subtelności i wrażliwości artysty na zjawiska natury czysto plastycznej. Niektóre z tych rytmicznych o wielkiej prostocie reliefów stwarzają moment, w którym pewne wyobrażenia transcendentalnej rzeczywistości stają się możliwe.

Collage'e Stażewskiego są rozważaniem problemów przestrzennych przy pomocy powyżej wspomnianych elementów plus walor. Sama idea tych czterech wystawionych collage'ów jest ciekawa, ale pewne krytyczne uwagi nasuwa użycie do tego celu gotowego i mechanicznie przygotowanego papieru o różnych wartościach walorowych. Ten gotowy środek wyrazu produkowany masowo i używany powszechnie przez artystów komercyjnych nadaje tym pracom niepotrzebną elegancję.

Twórczość Henryka Stażewskiego jest zjawiskiem afirmującym zdarzenia przestrzenne oczywiście i proste i z tego powodu najtrudniejsze do uchwycenia i wykrycia.

Z. TURKIEWICZ

Komunikat

V ŚWIATOWA WYSTAWA FOTOGRAFII POLSKIEJ
NA OBCZYŻNIE — MAJ, 1963 — LONDYN

Stowarzyszenie Fotografików Polskich — Polska YMCA, Londyn
urządza V Światową Wystawę Fotografii Polskiej na Obczyźnie.

Celem Wystawy jest: w Dziale I — pokazanie najlepszych prac fotograficznych Polaków rozrzuconych w różnych krajach świata; — w Dziale II — przedstawienie w formie fotografii życia, pracy i dorobku kulturalnego Polaków, żyjących poza granicami Polski.

Termin i miejsce Wystawy: Publiczne otwarcie Wystawy odbędzie się w dniu 19 maja, 1963 r., w sali Polskiej YMCA w Londynie 46/47, Kensington Gardens Sq., London, W.2. Ekspozyty należy przysyłać na powyższy adres do dn. 25 kwietnia, 1963.

Tematyka i technika prac: w Dziale I — pozostawia się je decyzji pp. fotografów. Wszelkie prace winny być w całości dziełem własnym zgłaszającego swoje ekspozyty, z wyjątkiem przezroczy kolorowych, które mogą być wywołane przez laboratoria fotograficzne. W Dziale II — również pozostawia się całkowicie wolny wybór tematyki i techniki. Treść zdjęć winna być pokrótce opisana na odwrocie. Zdjęcia w tym Dziale muszą być zrobione przez zgłaszającego, proces wywoływania i odbijania może być wykonany przez osoby trzecie.

Rozmiary i oznaczenie prac: — Dział I — Fotografie mogą być dowolnej wielkości, umieszczone na *pas-partout* (mounting'u) 12 x 15 cali = 30 x 40 cm i 16 x 20 cali = 40 x 50 cm. Każda nadesłana praca ma być oznaczona na odwrocie imieniem i nazwiskiem Autora, adresem oraz tytułem pracy. Osoby spoza terenu W. Brytanii mogą przysyłać zdjęcia nie naklejone na *pas-partout*. — W Dziale II — należy przysyłać zdjęcia od wymiaru 8 x 10 cali = 20 x 25 cm., nienaklejone, podpisane i opisane.

Ilość prac: w Dziale I — każdy biorący udział w Wystawie uprawniony jest do przesłania 4 prac białych czarnych lub kolorowych i 4 przezroczy. Przezrocza kolorowe lub czarno-białe, oprawione w szkło, w ramach wymiarów standartowych, oznaczone kółkiem w lewym rogu. Ilość prac w Dziale II — do 6 sztuk.

Jury: złożone z wybitnych fotografów i krytyków dokona wyboru prac, celem umieszczenia na Wystawie.

Nagrody: — w Dziale I — Jury zdecyduje o przyznaniu medalu pamiątkowych autorom trzech najlepszych prac. Wszystkie zaś prace umieszczone na Wystawie zaopatrzone będą w nalepki pamiątkowe. Uczestnicy Wystawy otrzymają ponadto katalogi wystawowe. W Dziale II — Jury przyzna nagrody, których spis ogłoszony zostanie w prasie.

Opłaty: Opłata za udział w Wystawie wynosi 5 sh. dla Uczestników z terenu W. Brytanii.

Polska YMCA wraz ze Stowarzyszeniem Fotografików Polskich rozciąga pełną opiekę nad powierzonymi ekspozytami, a po zakończeniu Wystawy zwróci je Autorom w należytnym porządku. Organizatorzy jednak nie mogą wziąć odpowiedzialności za zniszczenie prac lub zaginięcie ich w drodze.

Książki

Powieść o rosyjskim Dreyfusie

Przeszło 13 lat temu, w od dawna już nie wychodzącym tygodniku londyńskim ukazał się felieton pt. „W 105-ym Orenburskim” podpisany inicjałami J.M. Felieton tak mnie zafascynował, że nieraz później do niego wracałem. Dlaczego? Czy dlatego, że był napisany sugestywnie i plastycznie? Chyba nie tylko dlatego, wszystko bowiem, co pisze J.M. jest sugestywne i plastyczne. Więc może dlatego, że był o rzeczach, które znam lub które mnie interesują? Też chyba nie: np. Melchior Wańkowicz pisze często o rzeczach, które znam lub które mnie interesują, a mimo to książki jego odrzucam po przejrzeniu z niesmakiem lub irytacją. Więc dlaczego ten napisany 13 lat temu felieton zafascynował mnie i wciąż mnie fascynuje? Jeżeli wolno mi zajrzeć niedyskretnie do sekretnej laboratorium pisarza, tedy sądzę, że temat felietonu zafascynował przede wszystkim samego autora i częśćka tej fascynacji udzieliła się czytelnikowi. Temat ten — wciąż snuję moje przypuszczenia na własną odpowiedzialność! — tak drażył podświadomość autora aż po 13 latach wyłał się w wielką panoramę powieściową „Sprawa pułkownika Miasojedowa (I)”. Felieton „W 105-ym Orenburskim” był więc jakby embrionem tej panoramy.

Wyrazu „panorama” użyłem bez przesady. Powieść ta, choć „nie jest studium historycznym”, jak zastrzega autor we wstępie, zakreśla długi łuk od ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku do wielkiego bombardowania Drezna w lutym 1945, w którym — jak mówi Mackiewicz — bomby były m.in. „po tych wszystkich (uchodźcach) ze wschodu europejskiego, którzy zdradzili demokrację i ośmielili się podnieść na bolszewizm rękę”, przy czym liczba ofiar zbombardowanego miasta znacznie przewyższała liczbę ofiar w Hiroszimie. I dodaje: „...większość Europejczyków nie wie o tym do dziś dnia, chociaż Hiroszima leży w dalekiej Japonii, a Drezno w środku Europy”.

(I) Józef Mackiewicz. *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Winieta tytułowa Tadeusza Terleckiego. Obwoluta Edwarda Warchałowskiego. Str. 664. Londyńska Biblioteka Literacka XX B. Świderski — Londyn 1962.

Sprawa Miasojedowa... W latach bardzo wczesnej młodości obijała mi się ona nieraz o uszy. Potem zapadła w mroki niepamięci. Nie ja jeden o niej zapominałem. *Causes célèbres* mają swoje fata osobliwe. Niektóre żyją po pół wieku i dłużej. O sprawie kapitana francuskiego Alfreda Dreyfusa dotąd ludzie pamiętają i o niej mówią. Na obu półkulach. Można łatwo sprawdzić w każdej większej bibliotece publicznej, że książki omawiające tę sprawę są wciąż pilnie czytane. A nieszczęsna Lizzie Borden z Fall River w stanie Massachusetts, pomimo uniewinnienia przez sąd przysięgłych z zarzutu zamordowania rodziców (70 lat temu!), padła ofiarą idiotycznego wierszyka, który na wypródkę tłumacza dziś polscy emigranci a ich przekłady jeden z londyńskich tygodników uprzejmie umieszcza.

A o Miasojedowie zapomniano. Mackiewicz sam wspominał we wstępie sprawę Dreyfusa. Oczywiście jego książka nie jest żadnym „J'accuse” — jest po prostu „powieścią o tym, co było”, powieścią „opartą na prawdzie”, a nie na fikcji. Kto wie — może to zapomnienie, w które zapadła sprawa nieszczęśliwego pułkownika rosyjskiego, było głównym impulsem do napisania tej książki. Miasojedow nie był „bohaterem” w utartym słowa tego znaczeniu. Nie był nawet cichym, przyzwoitym człowiekiem, jakim był Dreyfus. Miasojedow — hulaka, karierowicz, kobieciarz — był w dodatku (strach powiedzieć!) żandarmem. A żandarmeria za carskich czasów stanowiła specjalny odłam policji politycznej czyli klasę ludzi znieprawdowanych przez tzw. społeczeństwo. Zresztą Miasojedow nie był jakimś czarnym charakterem, nie był stuprocentowo niesympatyczny. Miewał ładne odruchy. Potrafił być odważny w pojedynku i pod kulami niemieckimi. A że lubił pohulać? że miał słabość do kobiet?... Mój Boże — gdyby był Polakiem, no i gdyby nie był żandarmem (okropność!) nazwalibyśmy go może „bratem-łata”...

Miasojedow był po prostu — człowiekiem. I ten „ludzki splot losów” — na miarę tragedii klasycznej — zafascynował polskiego pisarza. (Mackiewicz zdaje się nie jest zbyt wygórowanego zdania o czytelniku polskim, skoro się w posłowniu przed nim tłumaczy dlaczego wybrał temat nie polski i mówi: „Inni ludzie, nie tylko Polacy, są też ludźmi”... Wyrażam nieśmiało nadzieję, że może przesadził i że czytelnik polski oceni jego książkę wedle jej wartości literackich, a nie wedle tematu. Chociaż — kto wie... Może znajdzie się krytyk, który załamię ręce, że pisarz polski zajął się tematem eskapistycznym, wstecznym, białoemigracyjnym...).

Ale to w nawiasie. Wracam do ludzkiej tragedii Miasojedowa. Trudno, bardzo trudno nie wierzyć w przeznaczenie, gdy się doszukuje „przyczyn” strasznego końca jego kariery. „Czyż to, co się kiedykolwiek staje, jest wynikiem jednego zdarzenia?” — słusznie zapytuje Mackiewicz. Dzieśiątki, setki drobnych rzeczy złożyło się na to, co później wyrosło w piramidę „aktu oskarżenia”. Przejście na służbę w korpusie żandarmerii. Służba w granicznym Wierzbolowie, skąd był zaproszony na polowanie cesarskie do Rominten i dostał na pamiątkę fotografię Wilhelma II. Sprzęgnięcie losów z trzema kobietami, z których jedna (Tamara) miała się stać nieświadomą lecz główną „przyczyną” jego zguby, a druga, żona „legalna” (bo miał jeszcze żonę „nielegalną”) była Niemką i później razem z nim oskarżoną o szpiegostwo. Zadarcie z wszechpotężną „Ochraną”. Związanie swej kariery z karierą ministra Suchomlinowa i przeto zadarcie z wrogiem

Suchomlinowa wielkim księciem Mikołajem Mikołajewiczem... Z Guzikowem, wpływowym prezesem III Dumy państwowej i przewodniczącym dumskiej komisji wojskowej... Z nie mniej wpływowym redaktorem „Nowego wremieni”... Z Rasputinem... Wdepnięcie po kolana w błotko intryg petersburskich... Związanie się z Żydami w „Towarzystwie żeglugi północno-zachodniej” — w przede dniu okresu, gdy według wersji półurzędowej „każdy Żyd był szpiegiem niemieckim”...

Miasojedow został skazany na powieszenie i stracony — nie na podstawie dowodów, nawet nie na podstawie poszlak, a po prostu na podstawie bardzo mglistych i mało prawdopodobnych podejrzeń. Jak się mogło stać tak bezprawie w tej Rosji, której car dał w roku 1864 najbardziej nowoczesną organizację sądownictwa i najbardziej humanitarne prawo karne? Cóż, była wojna, szalała psychoza szpiegomanii, Miasojedowa sądził sąd polowy (niewłaściwy!), chodziło o to, aby „wygrodzić osobę wodza naczelnego (Mikołaja Mikołajewicza) z odpowiedzialności za okropne straty”... A było to jeszcze przed latem 1915, czyli przed najgorszymi porażkami rosyjskimi na froncie, których żadnymi „zdradami” usprawiedliwić już nie było można! Zresztą od czasów ministra Szczegłowitowa wymiar sprawiedliwości mocno podupadł w Rosji — jeszcze przed wojną. Szczegłowitow palcem nie ruszył w obronie już nie Miasojedowa, ale w obronie pogwałconego prawa. Należało i „wygrodzić” rudego olbrzyma Mikołaja Mikołajewicza i dogodzić opinii publicznej. Bo opinia publiczna domagała się kozłów ofiarnych. Pierwszym z nich padł Miasojedow. Prawica nie ujęła się za nim, bo miał żonę Niemkę (może nawet Żydówkę!) i wahał się z Żydami. Lewica nie mogła się ujmować za żandarmem. „A żandarm nie jest człowiekiem?” — wykrzykuje zrozpaczona „nielegalna” żona Miasojedowa. Dla lewicy rosyjskiej, dla tzw. społeczeństwa, żandarm nie był człowiekiem. I dlatego nikt się nie ujął za Miasojedowem za życia i nikt nie pomyślał później o rehabilitacji niewinnie straconego.

A potem przyszła sprawa Klary Miasojedowej, z domu Holstein, pochodzącej ze starej mieszczańskiej rodziny wileńskiej. Przeciwno niej nie było nawet podejrzeń, prócz tego że była żoną powieszonego „zdrajcy”. Na razie ją uniewinniono. Kwaterna główna podniosła jednak tak straszny gwałt, że sprawę zrewidowano, za jednym bezprawiem poszło drugie, i nieszczęśliwą kobietę też skazano na śmierć, zamieniając wyrok na zesłanie na Syberię. Jej dzieje — na Syberii, potem w Wilnie, wreszcie w Niemczech — dzieje pełne dramatycznego napięcia i niezwykłych przygód, przenoszące nas do nowych, niemal najnowszych czasów, stanowią drugą i ostatnią część powieści Mackiewicza.

Z pewną nieśmiałością zabieram się do skreślenia kilku słów o sztuce pisarskiej Józefa Mackiewicza. Ma bowiem w tym względzie wyrobioną opinię zarówno wśród swoich, jak obcych. Nie tak dawno wybitny pisarz rosyjski Fiedor Stiepun omawiając przełożoną już na wiele języków „Drogę donikąd” nazwał pióro Mackiewicza „skąpym i ścisłym”. Dodałbym, że może główną cechą pisarstwa Mackiewicza jest, że ma coś do powiedzenia i że wie jak to powiedzieć. W twórczości jego próżno by szukać „surrealizmów”. (Zaznaczę w nawiasie, że jestem przeciwny sztuczemu, naśladow-

niczemu, nieudolnemu surrealizmowi, chylę natomiast czoła przed Gombrowiczem lub przed „Zaproszeniem na kaźń” Nabokowa). Mackiewicz pisze, używając jego własnych słów, „jak człowiek”. Styl oszczędny, czy nawet „skąpy”. Powieść o tragedii splotu losów ludzkich, a nie antypowieść z tasiecmami czy też paciorkowcami zdań, które po dojeździe do ogona wymagają powrotu do łba, aby domyślić się, o co chodzi. Mackiewicz nie jest jakimś tam „pisarzem dla pisarzy” (dla snobów?), chociaż to nie znaczy aby był pisarzem „łatwym”. Aby delektować się prozą Mackiewicza, trzeba się nastawić na *tonację prostoty*, co w obecnych czasach estetycznego załgania nie każdy potrafi.

Mam idiosynkrazję do zabawy w poszukiwanie „wpływów i zależności” czyli w tzw. wpływologię. Niemniej jednak pokrewieństwo stylu, tematyki lub szczególnych właściwości daru pisarskiego czasem rzuca się w oczy. W pisarstwie Józefa Mackiewicza dostrzegam bliskie pokrewieństwo — zresztą tylko jednej jedynej właściwości — z Iwanem Buninem. Obaj nie uznają humoru w literaturze. Czytając Bunina lub Mackiewicza czytelnik ani razu się nie uśmiechnie. Jest jednak różnica. Bunin może nieraz chciał rozśmieszyć czy rozweselić czytelnika, ale nie mógł zmusić pióra, aby się zhańbiło humorem. Józef Mackiewicz jest natomiast *zasadniczym* wrogiem humoru. Jest czcicielem prawdy, a według niego prawda — zła czy dobra, gorąca czy zimna, mądra czy głupia — jest zawsze poważna.

Jeszcze dawniej — w zapomnianych i zagubionych felietonach wileńskich — Mackiewicz objawił się nam jako mistrz opisów przyrody. W „Drodze donikąd” zabłysnął tym mistrzostwem. W „Sprawie pułkownika Miasojedowa” mniej miał okazji do popisania się tym mistrzostwem, bo akcja powieści odbywa się przeważnie w miastach. Ale i tu mamy skróty, które starczą za całe obrazy: czy to będą „wrony przeczuwające wiosnę”, czy pytanie „o czym śnią wróble zimą”, czy „twarz rzeki”, czy „wyniosła obojętność drzew”, czy „morze odmawiające na piasku swój wieczorny pacierz”, czy opis walki orla-rybolowa ze szczupakiem.

Z opisem obojętnej na sprawy ludzkie przyrody łączy się wspaniały opis bitwy na str. 323-331). Opisu tego i komentarzy do niego nie powstydziłby się sam Lew Tolstoj. „Plan strategiczny, jak każdy plan — mówi Mackiewicz — gdyby się udał, uznany by został za dobry, nieudany za zły”. A dalej:

Wojna jest zwielokrotnionym uzewnętrznieniem tych namiętności ludzkich, które podczas pokoju drżemą nieuzewnętrznione. Stąd wiedza o człowieku mogłaby się znacznie pogłębić, gdyby miała prawo do stosowania podczas wojny dostępnych nauce metod obiektywnej analizy i porównania. Ale te same namiętności, które wojną kierują, odrzucają obiektywizm brutalnym łokciem. Do wydawania opinii powołany jest rzeczoznawca o mentalności feldfebla, który w razie potrzeby nie zawaha się naukowej prawdzie pogrozić kufakiem. A wtedy staje ona na baczność i włącza się do szeregu, bo uczeni historycy są zazwyczaj słabej kondycji fizycznej i obawiają się narodowej pięści. To co się dzieje po obydwóch stronach frontu wie tylko niebo.

Narzekając na antysemityzm rosyjski i pogromy wspólnik Miasojedowa Dawid Frejdberg mówi:

„...czy pan może sobie wyobrazić, żeby w Berlinie, Hamburgu, czy Monachium ludzie lecieli z kamieniami i pałkami, wybijali szyby, łamali sprzęty, niszczyli towar, bili kobiety i dzieci tylko dlatego, że to są Żydzi? Czegoś podobnego wyobrazić sobie nie można! A dlaczego wyobrazić nie można? Nie dlatego, że istnieje tam inne prawo, że nie ma „linii osiedlenia”, że Żyd jest równouprawnionym poddanym. A dlatego, że kultura zachodnio-europejska...”

Tak. W roku 1907-ym nikt sobie takich rzeczy nie mógł wyobrazić.

Chcę wytknąć parę drobnych błędów.

A więc 19 lipca starego stylu nie jest w XX wieku 31-ym lipca, ale 1-ym sierpnia stylu nowego. No i sobota starego stylu pozostaje sobotą nowego.

Jedynym niezamarzającym północnym portem w Rosji europejskiej jest Murmańsk. Wobec tego Libawa nie była i nie jest portem niezamarzającym.

Sankt-Petersburg przezwano Piotrogradem (Pietrogradem) nie w styczniu 1915 roku, ale w kilka dni po wybuchu wojny, tj. w sierpniu 1914.

Na ogólnej sali restauracyjnej w początku 1915 roku nie można było pić wina i likierów, gdyż od wybuchu wojny 1914 trwała surowo przestrzegana prohibicja trunków mocnych, a od września czy października zakaz wszelkich napojów alkoholowych łącznie z winem i piwem. Składy win i wódek było opieczetowane.

Błędy powyższe uważam za drobne poślizgnięcia się pióra, ale sądząc, że byłoby dobrze aby błędy te znikły z dalszych wydań i przekładów.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Pokolenie kapitulantów

Praca dwóch młodych historyków z Oxfordu (żaden z nich nie przekroczył jeszcze trzydziestki) Martina Gilberta i Richarda Gotta, pod tytułem „The Appeasers” (1), która przed paru tygodniami ukazała się na półkach księgarskich, zyskała sobie od razu wielką poczytność i została bardzo przychylnie przyjęta przez prasę. Autorzy wystąpili nawet w telewizji, co jest miarą dużego powodzenia ich pracy. Jest to tym ciekawsze, że książka ta nie może być przyjemna dla angielskiego czytelnika. Niewątpliwie, gdyby autorzy byli cudzoziemcami spotkaliby się z powszech-

nym potępieniem. Zresztą czasy się zmieniają i do głosu przychodzi nowe powojenne pokolenie, bardzo krytycznie usposobione do tego co zrobili ojcowie. Dawno nie było tak ostrego potępienia oficjalnej polityki Rządu J.K. Mości, polityki, która nie tylko nie zapobiegła wybuchowi II wojny światowej, ale też w dużym stopniu do niej się przyczyniła przez stwarzanie pozorów słabości. Na dobro Brytyjczyków zapisać należy, że nie postępują tak jak Francuzi, i choć nie na tak dużą skalę, jak Amerykanie, udostępniają swoje archiwa szerokiemu ogółowi. W samej rzeczy książka omawiana nie mogłaby się w ogóle pojawić, gdyby nie uprzednie publikacje dokumentów brytyjskich i niemieckich, odnoszących się do okresu przedwojennego. Dokumenty te odsłoniły już w całej niemal pełni zabiegi kierowniczych czynników brytyjskich, zmierzające do pozyskania Hitlera dla stałej współpracy brytyjsko-niemieckiej, kosztem ustępstw płaconych przeważnie z cudzej kieszeni. Wspomniane dokumenty stanowią, istotnie główne, choć nie jedyne źródło pracy Gilberta i Gotta. Ale dopiero to studium udostępnia te źródła szerszej publiczności, bo kto, poza szczupłym gronem historyków czyta zbiory dokumentów, obejmujące już kilkadziesiąt grubych tomów? Dodajmy, że Gilbert i Gott mają ostre i niejednokrotnie w jadzie maczane pióra i nieraz ich ponoszą młodzieńcze temperamenty. Pracę ich czyta się bardzo łatwo, prawie jak kryminalną powieść, bo pełno w niej czarnych charakterów i co jej autorom można jedynie zarzucić to że koncentrują się na personaliach, na osobach i wypowiedziach głównych „appeaserów”, nie zajmując się analizą samego appeasementu, oraz że starając się wyczyścić własną, brytyjską stajnię Augiasza, tylko z lekka potrącają o politykę innych państw, a w szczególności Francji, a jeśli chodzi o Rosję Sowiecką to nie doceniają zupełnie zagrożenia ówczesnego Europy również przez ekspansję komunistyczną, której, zresztą polityka Hitlera miała znakomicie przygotować drogę. Idą nawet pod tym względem dalej, niż tego wymagałby obiektywizm historyka, w uwagach dotyczących rzekomej możliwości pozyskania Rosji Sowieckiej dla dzieła utrzymania pokoju w Europie.

Pomimo pewnej jednostronności należy uznać pracę Gilberta i Gotta za cenny wkład do najnowszej historii Europy i za wyczyn publicystyczny dużej miary. Ci dwaj, bardzo utalentowani „angry young men” umieją nie tylko czytać dokumenty, ale uszeregować cytaty w taki sposób, że stanowią one bardzo przekonującą krytykę przeważnie zakulisowych machinacji poważnej grupy polityków brytyjskich, którzy mimo ciągłych niepokodzeń do końca trwali w tym przekonaniu, że porozumienie brytyjsko-niemieckie jest tak konieczne dla ich kraju, że warto zapłacić za nie bardzo wysoką cenę, odsuwając na bok wszelkie względy moralne lub wyraźne zobowiązania prawne. Appeaserzy

oszukują przede wszystkim opinię publiczną własnego kraju, niejednokrotnie działają poza plecami najbliższych sojuszników, a do własnego podpisu nie przywiązują większego znaczenia. Można powiedzieć nawet więcej, uważają, że w pewnych momentach fakt istnienia wyraźnych zobowiązań brytyjskich stanowi pewien atut, bo to może być towar do sprzedania. Charakterystyczną była np. obawa appeaserów przed możliwością dojścia do jakiegoś kompromisu między Czechosłowacją a Rzeszą, bez pośrednictwa i nacisku brytyjskiego na Czechosłowację, bo wten czas odpadłby ten ważny wkład brytyjski do stałego porozumienia brytyjsko-niemieckiego. Mimo woli przychodzi na myśl przysłówie arabskie: „Nie szukaj sojuszu z Wielką Brytanią, bo gotowa cię sprzedać, staraj się być raczej jej nieprzyjacielem, bo może będzie chciała cię kupić”.

Można powiedzieć, że u podstawy polityki appeasementu leżały dwa błędy: pierwszy polegał na domniemaniu, że strona przeciwna kieruje się podobnymi pobudkami i zmierza do tych samych ostatecznych celów, co W. Brytania; drugi błąd był konsekwencją kompleksu wielko-mocarstwowego, zawsze dominującego w polityce W. Brytanii, koncepcji zrodzonej w końcu XVIII stulecia w czasie wojen z Napoleonem i wyraźnie już sformułowanej na Kongresie Wiedeńskim w 1815 i w dalszych wystąpieniach tak zwanego Koncertu Europejskiego. Polityka oparta na tej koncepcji zmierzała zawsze do podziału sfer wpływów pomiędzy wielkie mocarstwa, podczas gdy mniejsze państwa były w ramach tej polityki „chasse gardée” poszczególnych mocarstw. Tam gdzie to okazywało się niemożliwe znajdowano rozwiązanie w drodze neutralizacji lub umiędzynarodowienia pewnych terytoriów. To tłumaczy dlaczego W. Brytania tak szybko odwróciła się od Traktatu Wersalskiego, którego była jedną z gwarantek oraz dlaczego były jej obce: zasada samostanowienia narodowego, które miała doprowadzić do rozkładu Imperium, zasada poszanowania suwerenności mniejszych państw i współudziału ich w decyzjach w ramach organizacji Ligi Narodów.

Można powiedzieć, że polityka ta była anachronizmem w naszych czasach i zamiast zapobiegać wojnom doprowadzała do konfliktów na skalę światową. Nie doceniała ona tego jak potężnym czynnikiem w przebudowie struktury Europy stała się od połowy wieku XIX zasada samostanowienia narodowego. Jednakże te tradycje polityki brytyjskiej były tak zakorzenione w większości umysłów wychowanków ekskluzywnych „public schools” angielskich, że nowa rzeczywistość do nich nie docierała.

Z kart książek Gilberta i Gotta ukazuje się w całej jaskrawości niesłychany dyktantyzm głównych appeaserów, którzy Europy nie znali, albo znali bardzo niedostatecznie. Appeaserzy byli typowymi amatorami w dziedzinie polityki zagranicznej i dla tego nie mieli zaufania do Foreign Office i do własnych zawodowych dyplomatów, którzy z małymi wyjątkami (przede wszystkim Nevilla Hendersona, ambasadora w Berlinie) okazali

(1) Martin Gilbert and Richard Gott, *The Appeasers*, Weinfeld & Nicolson.

znacznie więcej zdrowego sensu i orientacji w sytuacji międzynarodowej niż czołowe osobistości polityczne brytyjskie. W opowiadaniu autorów Foreign Office wychodzi dodatkowo, zarówno jeśli chodzi o centralę jak i placówki. Jeśli chodzi o centralę trudno tu nie wymienić tak wybitnych urzędników, jak Lord Robert Vansittart, Ralph Wigram, Sir William Strang, Sir Orme Sargent — z przedstawicieli brytyjskich zagranicą należy wspomnieć: Sir Horace Rumbolda (był pierwszym posłem brytyjskim w niepodległej Polsce w latach 1919-1920, gdzie okazał się życzliwym i wnikliwym obserwatorem) ambasadora w Berlinie którego, niestety, wkrótce zastąpił nieprzytomny appeaser Neville Henderson, nie wykonywujący instrukcji swego rządu, gdy uważał że mogłyby zaognić sytuację, dalej ambasadora brytyjskiego w Warszawie Sir Howard Kennarda i jego znakomitego zastępcę, podówczas radcę ambasady Sir Clifford Nortona. Kierownicy polityki brytyjskiej, odpowiedzialni przed parlamentem nie mogą się więc zastrzekać tym, że byli mylnie informowani przez własnych dyplomatów. Odrzucali jednak tego rodzaju informacje, które nie odpowiadały ich koncepcjom politycznym, woląc uciekać się do usług bądź oddanych sobie urzędników, zwłaszcza z Treasury jak Sir Horace Wilson lub Frank Ashton-Gwatkin, obaj odegrali fatalną rolę zwłaszcza w okresie monachijskim, albo osobistości ze świata politycznego czy finansowego, działających poza normalnymi kanałami dyplomatycznymi. Zdumiewającą zwłaszcza dla tych, którzy przyzwyczaili się uważać naród brytyjski za szczególnie zdyscyplinowany jest ilość polityków na własną rękę, rozmawiających z Hitlerem i czołowymi osobistościami Trzeciej Rzeszy, przed którymi odsłaniali słabe strony polityki brytyjskiej. Amatorzy opanowali również prasę. Wielkie organy prasowe miały na ogół doskonałych korespondentów w stolicach europejskich, ale np. naczelny redaktor „The Times” George Dawson bądź w ogóle nie umieszczał korespondencji nieprzychylnych dla III Rzeszy albo je cenzurował lub zastępował artykułami napisanymi z perspektywy londyńskiej.

Autorzy dają doskonale sylwetki i obszerne cytaty z wypowiedzi czołowych appeaserów, do których zaliczyć należy przede wszystkim tak zwaną „wielką czwórkę” w gabinecie, Nevillea Chamberlaina, Lorda Halifaxa, Sir Samuel Hoorra i Sir John Simona, a dalej członków tak zwanego Clivedon Set z Lordem i Lady Astor na czele, oraz licznych przedstawicieli świata politycznego, arystokracji i finansjerzy, między innymi R.A. Butlera (obecny zastępca Premiera), Lorda Londonderry, Thomasa Jonesa itd.

Czytelnika polskiego zainteresują oczywiście najbardziej Części IV i V, odnoszące się bezpośrednio do spraw polskich, gwarancji brytyjskich i przebiegu wypadków, poprzedzających wybuch II wojny światowej. W świetle uprzednich wywodów nikogo nie zdziwi stwierdzenie autorów, że w zamiarach polityków brytyjskich (a przynajmniej ogromnej ich większości) bynajmniej nie leżało podejmowanie wojny w obronie niepodle-

głości Polski. Do wojny został popchnięty gabinet wbrew jego woli, pod naciskiem opinii publicznej. Naciski na Becka, aby pertraktował z Hitlerem nawet za cenę jak największych ustępstw przedstawione zostały z całą jaskrawością i bez żadnych niedomówień. Rząd brytyjski chciał wojny uniknąć i traktat z Polską uważał tylko za zabezpieczenie własne oraz za „deterrent”, którego zresztą nie umiał należycie wyzyskać, stwarzając do ostatniej chwili wrażenie słabości i niezdecydowania, co zaważyło na ostatecznej decyzji Hitlera. Ten ostatni był przekonany, że albo Państwa Zachodnie wojny z powodu najazdu na Polskę nie wypowiedzą, albo ograniczą się tylko do formalnego wypowiedzenia wojny, nie mając zamiaru prowadzić jej na serio. Jeśli chodzi o to ostatnie to, jak dobrze wiemy, nie omylił się, bo Polska żadnej efektywnej pomocy od aliantów swoich nie otrzymała. Nawet rozbić Polski nie wstrzymało pewnych inicjatyw appeaserskich i to stanowi może najciekawszą stronę książki. Natychmiast po klęsce Polski W. Brytania odstępuje, wbrew formalnym zobowiązaniom od zasady jej integralności i to nie tylko w stosunku do Rosji Sowieckiej, ale również w stosunku do Niemiec. Autorzy wskazują na charakterystyczną pod tym względem wypowiedź Hoare-Belishy, w jego przemówieniu radiowym w dniu 21 października w której wymieniając brytyjskie cele wojny mówi wprawdzie o odbudowie, ale jakiegoś państwa polskiego (a Polish State), a nie Państwa Polskiego (the Polish State). Zresztą w pewnych rozmowach na terenie Szwajcarii, toczonych za wiedzą i aprobatą Pośła brytyjskiego Sir David Kelly daje się do zrozumienia tajnym wysłancom Hitlera że sprawa polska nie będzie stanowić przeszkody w ewentualnym porozumieniu brytyjsko-niemieckim. W. Brytania godziła się już poniekąd z faktem dokonanym. W rozmowie prowadzonej w Oslo, już po wybuchu wojny między Posłem brytyjskim w tym mieście, dawnym radcą ambasady w Berlinie, Sir Ogilvie Forbes a niejakim Dahlerusem szwedzkim businessmanem, który narzucił się jako pośrednik w ostatnich tygodniach przed wybuchem wojny, brytyjski dyplomata powiedział, że jedynym ratunkiem Europy jest powrót do koncepcji Paktu Czterech z 1933 r. (koncepcji urzeczywistnionej w Monachium), zaś Polska jest rzeczą nieważną, bo rząd brytyjski myśli tylko o ocaleniu własnej skóry. Oczywiście, że nie należałoby może uogólniać, gdyby w końcu wojny nie nastąpiły fakty, które tak pasują do tych oderwanych wypowiedzi. Zresztą wydaje mi się, że autorzy słusznie stwierdzają, że: „Przez pójście na wojnę Polska sprawiła W. Brytanii wielkie kłopoty. Mało ludzi (w W. Brytanii) spoglądało życzliwie na gwarancje udzielone Polsce; gwarancje te nie były nigdy bardzo popularne, gdyż Polska nie była krajem związanym z W. Brytanią węzłami przyjaźni”.

W pewnych recenzjach w pismach brytyjskich znaleźliśmy uwagę, że największy zarzut jaki można by postawić appeaserom jest to, że ich polityka spotkała się z niepowodzeniem. Wydaje mi się, że czytelnik polski miałby coś więcej do powie-

dzenia na ten temat. Jeśli z przeczytania pracy oxfordzkich historyków wyniesie on ponadto przekonanie w jak trudnej sytuacji międzynarodowej była Polska przed wojną, zważywszy na falę appeasementu W. Brytanii, datującą się od Locarna, oraz przeciwrotną politykę Rosji Sowieckiej, to może pozwoli mu to z perspektywy czasu na spokojniejszą ocenę polityki własnego kraju.

Tytus KOMARNICKI

Krytyka "Boykotta"

Jan Kott ogłosił trzeci zbiór recenzji teatralnych. Śladem dwu poprzednich („Jak się wam podoba” 1955, „Poskromienie złodźników” 1957) nosi on również tytuł szekspirowski: „Miarka za miarkę” (1). *Tres faciunt collegium*. Po tym „trzecim spotkaniu” z teatrem można mówić o krytyku teatralnym z własną twarzą, z odrębną indywidualnością.

Bez wątpienia wywodzi się on od Boya-Zeleńskiego. Nie tai zresztą tego rodowodu. „Boy nauczył mnie jednego, że felieton teatralny aby był czytany, musi być napisany” — wyznaje we wstępie do ostatniego tomu. Swoją kolekcję recenzji wzoruje na wielotomowej serii Boya „Wieczory z Melpomeną”. Przymówką do tego podobieństwa jest kalamburowe imionisko „Boykott”. Kryje się w nim również żądło satyryczne, odwet za jakoby niechętny, wrogi stosunek Kotta do teatru.

W kręgach ludzi związanych z teatrem praktyka recenzencka Boya uchodziła i uchodzi za nietuzinkową literaturę, lecz złą krytykę teatralną, za krytykę antyteatralną czy — używając modnego terminu — antykrytykę teatralną. Najdobitniej wyraził to Leon Schiller w rozprawie ogłoszonej pośmiertnie (zbiór „Teatr ogromny”). Wskazał tam w Boyu „klasyczny przykład krytyki pasjonującej pod względem literackim, lecz niewielką wartość posiadającej dla badaczy rzeczy teatralnych”. Domaganie się „krytyki ściśle teatralnej” jest u Schillera zrozumiałe, gdy się pamięta, że on pierwszy w Polsce, idąc za Craigiem, uważał teatr za sztukę autonomiczną, właśnie za „sztukę teatru”, a nie tylko za jeszcze jeden sposób powielania i udostępniania literatury dramatycznej, jak np. druk czy głośne czytanie. Ale Schiller był niekonsekwentny w tym żądaniu „krytyki ściśle teatralnej”, jeśli teatrowi wyznaczał zadania nie tylko ściśle teatralne, nie tylko

(1) Jan Kott: „Miarka za miarkę. (Jak się wam podoba — Spotkanie trzecie)”. Warszawa 1962. Str. 350.

artystyczne, ale również społeczne, polityczne, dydaktyczne, nawet propagandowe, jeśli rozumiał, że teatr nie istnieje, nigdy nie istniał, na dobrą sprawę nie może istnieć poza czasem i przestrzenią, jeśli sam nieraz trafnie, nieraz omylnie wiązał go z otaczającą rzeczywistością. Krytyka tak pojętego teatru nie jest ściśle teatralna, jest czymś więcej lub czymś mniej, niż krytykę teatralną *sensu stricto*. Zresztą od czasów craigowskiej „reformy teatralnej” zmienił się również stosunek do literatury dramatycznej czy „partytury dramatycznej”. Okazało się, że wprowadzie teatr ma szczególne prawa (i szczególne obowiązki) wobec literatury, którą wciela scenicznie, lecz poza nią i bez niej w szerszym zakresie nie istnieje. Krytyka „ściśle”, najściślej teatralna musi odzwierciedlać ten stan rzeczy. Nie może być dywagacją wyłącznie literacką. Nie może też być wyłącznie laboratoryjnym opisem technicznym.

Po wierchu sądząc Kott przechodzi bokiem obok tej całej problematyki. Z wyzywającą przekorą głosi we wstępie do „Miarki za miarkę” kilka herezji, pół-herezji i herezji pozornych. „Oczywiście najbardziej interesuje mnie literatura w teatrze” — powiada. Rewoltuje to tych, którzy uważają, że teatr jest teatrem, ale nie rozgrzewa tych, którzy kładą jednaki akcent na słowach: „literatura” i „teatr”, uważają, że najważniejsze jest łączące je słówko „w”. „Wolę chodzić za kulisy niż na próby” — jedno drugiemu nie przeszkadza. „Recenzent — brzmi najcięższa prowokacja — prawdopodobnie powinien się znać na teatrze. Tyle tylko, że nie bardzo wiadomo co to znaczy”. Owszem, na ogół wiadomo. Profesor Kott napewno wie czy słuchacz „zna się” na Molierze lub Zabłockim czy po prostu zna rzeczonoego Moliera i Zabłockiego; sam raz po raz zdradza gruntowną wiedzę teatrologiczną zwłaszcza w zakresie polskiego i francuskiego wieku XVIII, który jest jego naukową specjalnością i ojczyzną duchową z wyboru. Recenzent Kott twierdzi, że z zasady nie czyta tekstów dramatycznych ani przed ani po widowisku, lecz można go jak jego uczniów przychwycić na śmiertelnym grzechu lektury, jeśli dostrzeż, że w warszawskim przedstawieniu „Wizyty starszej pani” zmieniono księdza na pastora, jeśli niekiedy gęsto i ze smakiem cytuje tekst wystawionego utworu.

W rzeczywistości Kott bynajmniej nie przeoczył doświadczeń krytyki teatralnej w ostatnich dziesięcioleciach. Mimo zapatrzenia się we wzór boyowski jego działalność recenzencka jest czymś różnym od tego wzoru. Jak Boya, również i Kotta pociąga to co sam nazywa: „naokoło teatru”. „W rzeczywistości recenzencki fotel — pisze obrazowo — ustawiony jest na placu publicznym, a nie w trzecim czy piątym rzędzie krzeseł”. Ale Boy pojmował teatr jako zwierciadło obyczajów i usiłował powiedzieć co się w tym zwierciadle odbija. Dla Kotta teatr nie jest lustrem, ale pryzmatem. Pryzmat rozszczepia bezbarwne światło słoneczne na jego barwy składowe, objawia niespodziane bogactwo, urzekającą tajemnicą przyrody. Podobnie działa w przekonaniu Kotta teatr: tekst zdjęty z zakurzonej półki, napisany

przez nieznanego autora dzięki teatrowi błyska nagle niewidzialnymi, nieprzeczuwanymi kolorami, wzbogaca życie, odkrywa nam w nas samych nowe obszary wrażliwości.

Dzieje się to pod dwoma warunkami: jeśli tekst natrafi na „swoją chwilę”, jeśli teatr jak czuły rezonator pozwoli tekstowi zabrzmieć jedynym, niepowtarzalnym tonem. Rola krytyka polega na sprawdzeniu czy to się stało lub nie, na wskazaniu, wyostrzeniu tego co się stało lub dlaczego się nie stało. „Interesuje mnie — mówi Kott — co wyszło z tekstu, jak zabrzmiało, jak się zrymowało ze współczesnością. Co właściwie znaczy opatrzone datą: premiera dnia tego i tego”.

Nie można Kottowi odmówić wrażliwości i kultury estetycznej, ale jego odzew na teatr jest przede wszystkim intelektualny. Otwarta, ożywiona scena wprawia w wibrację przede wszystkim jego mózg. Łączą się z tym wyraźnie upodobania i nie mniej wyraźnie awersje. Kott jest szczególnie uciążliwy na groteskę, ironię, kpinę, „gorzką mądrość”, na wszystko co odwraca świat podszewką do góry, co go sprawdza. Nie lubi patosu, zwłaszcza jeśli jest „natrętny i bezwstydnym”, nie znosi „naturalizmu w połączeniu z metafizyką”, odpycha go wszelka powierzchowność, pozorna głębia.

Metoda krytyczna Kotta często przypomina metodę Boya, lecz częściej jest zupełnie od niej odrębna. Śladem mistrza Kott przerzuca się od anegdoty sztuki do anegdoty biograficznej i rozważa jak życie autora odbiło się w postaciach i perypetiach dramatu. Tak wygląda rzecz ze Słowackim i Mussetem, z „Marią Stuart” i „Nie igra się z miłością”. Częściej jednak dochodzi do głosu własna metoda Kotta, która wyraża się w formule: „odczytać coś przez coś innego”. Polega ona na odczytaniu utworu, jego konkretnej inkarnacji scenicznej w świetle własnych, aktualnych doświadczeń życiowych i współczesnych doświadczeń literackich. Tej metodzie zawdzięczają powstanie „Szkice o Szekspirze” (w przekładzie francuskim noszą one trafniejszy tytuł „Shakespeare notre contemporain” i zrobiły karierę jedyną w swoim rodzaju: ostatnia inscenizacja „Króla Lira” w Królewskim Teatrze Szekspirowskim w Stratfordzie opiera się ponad wszelką wątpliwość na „odczytaniu” Kotta). W recenzjach zebranych w „Miarcie za miarkę” przynosi to nowe spojrzenia, otwiera nowe perspektywy. „Irydion” w teatrze — czytamy gdzieś — zabrzmiał mi nagle i niespodzianie tonem bardzo znajomym i współczesnym. Coś z „Ciemności” Andrzejewskiego, trochę Camusa, całe zdania z Zawieyskiego, coś z „Niebieskich karetek” Adolfa Rudnickiego”.

Szczególnie typowa pod tym względem jest recenzja o „Śnie srebrnym Salomei” w teatrze nowohuckim i omówienie dwóch inscenizacji „Wyzwolenia” (Dąbrowskiego w Krakowie i Horzycy w Warszawie). Ukazują one Kotta jako umysł zdolny do spontanicznego, niezmiernie intensywnego reagowania, do nieoczekiwanych skojarzeń, do wyrażania doznań w sposób wolny od obiegowych schematów i utartych sądów, umysł przenikliwy

i odkrywczy. „Sen srebrny” nazywa Kott „tragifarsą narodową”, ciekawie wywodzi, że jest to „może najbardziej uniwersalny i prekursorski, najmniej zaściankowy ze wszystkich dramatów Słowackiego”. Pierwszy akt „Wyzwolenia” określa jako „wielką, Zieloną Gęś”, zupełnie „monumentalną i monstrialną”, cały ten dramat widzi jako „szopkę polityczną, która przemienia się w narodowe misterium”, ale jest świadom, że „w całym teatrze światowym nic podobnego nie istnieje”. Jeszcze raz i inaczej dostrzega prekursorstwo Wyspiańskiego: „Można w nim odnaleźć wszystko i wszystkich, od Pirandella przez Giraudoux po Garcję Lorkę, Camusa i Ionesco. Jest w nim teatr w teatrze, posągi, które gadają, rozszczepienie osobowości, anty-teatr, dramat losu, uwspółcześnienie greckich mitów, antyk, Szekspir, szopka. Ten synkretizm był niewątpliwie artystyczną nowoczesnością Wyspiańskiego”. Sformułowania Kotta mogą szokować, nieraz robią to świadomie. Ale poza tymi skandalizującymi sformułowaniami kryje się żarliwość, świeżość, dziewiczość przeżycia estetycznego i intelektualnego.

Punkt wyjścia Kotta jest głównie i przede wszystkim literacki, lecz trudno przeczyć, że ma żywy instynkt teatralny. Odczuwam odrębności teatru jako formy, jako medium artystycznego chyba przewyższa on Boya, na pewno góruje nad Lorentowiczem i Słonimskim. Pisząc o „Don Juanie” Moliera stwierdza, że rozwiązanie jego zagadek łatwiej znaleźć w jego elementach czysto teatralnych, niż w jego filozofii. Po „Fedrze” z Eichlerówną wyznaje: „czytałem już Racine’a inaczej” co znaczy, że czytał go jako tekst pogłębiony przez doświadczenie teatralne. I na odwrót jego recenzje roją się od propozycji nowego „odczytania” takiego czy innego utworu, scenicznego ukształtowania go w nowy sposób. Te propozycje i wspomniany przypadek z „Lirem” każą widzieć w autorze „Miarki za miarkę” — człowieka teatru.

Poza tekstem, jego scenicznym życiem, najbardziej pociąga Kotta — aktor. Bywa w stosunku do niego złośliwy, nawet zjadliwy, ale ulega również jego fascynacji. Dowodzi tego świetny opis gry Barszczewskiej w „Norze”, charakterystyka kilku ról i osobna, entuzjastycznie, wrażliwie i inteligentnie napisana sylweta Holoubka. „Wielkie aktorstwo — wyznaje Kott — wzrusza jak muzyka lub pejzaż. Wprost, bardziej bezpośrednio od literatury. Fascynuje jak wirtuozeria. Daje uczucie czegoś niepowtarzalnego jak nagły zachwyt pięknem”.

Mniej zajmuje Kotta inscenizator i reżyser, jeszcze mniej scenograf. Po prostu jest proporcjonalnie mniej uczulony na stronę wzrokową teatru niż słuchową, mniej na stronę plastyczną niż intelektualną. Nieraz odnosi się wrażenie, że zbyt bezwzględnie sądzi niektórych artystów np. Bohdana Korzeniewskiego. Ale i w tym zakresie wrażliwość Kotta zdaje się pogłębiać i dojrzewać; w ogóle nie trudno dostrzec linię wyraźnie wstępującą od pierwszego do ostatniego zbioru. Niektóre recenzje np. o „Wyzwoleniu” są świetnymi, sugestywnymi opisaniami widowiska, elementy analizy literackiej i publicystycznej

przenikają się tu organicznie z analizą teatralną, tworzą jedną całość.

Kott ostro i stale odczuwa społeczny charakter teatru. Teatr jest dla niego miejscem przeżycia zbiorowego, komunii ludzkiej, nie „świętynią” czy „gontyną” — jak się mawiało za młodołpolskich czasów — ale miejscem jakiegos mniej patetycznego, bardziej potocznego, za to równie intensywnego spotkania żywych ludzi, żywych świadomości ludzkich. Pisząc o „Matce Courage” w teatrze żydowskim z Idą Kamińską w roli tytułowej stwierdza, że „tragedia Matki Courage nie była odegrana na scenie — widzowie tworzą teatr tak samo jak aktorzy”.

Ten krytyk ma poczucie dotykaności teatru, wydaje mu się on czymś o wiele bardziej rzeczywistym niż książka i film, właściwie każda inna sztuka. Urzeka go „sprawdzalność tekstu” w teatrze, fakt że „na widowni odpowiada echo lub milczenie”, że teatr „dobiera się do wnętrza zebranych w nim ludzi, zespala ich w przelotną jedność, zaskakuje, porusza, przeistacza lub — przegrywa stawkę. Dlatego Kott z równym natężeniem śledzi to co się dzieje po obu stronach rampy, na scenie i na widowni. Słucha aktorów, patrzy na nich, ale obserwuje również publiczność, wsłuchuje się w jej świadome i nieświadome odruchy. Recenzje Kotta są pełne przyczynków do tego, co nazywa „socioologią widza teatralnego”, do owej wiedzy tajemnej, która niepokoi ludzi teatru, której przeniknięcie rozstrzyga w nim o triumfie i klęsce.

Czytając „Miarke za miarkę” nie można się opędzić wrażeniu (potwierdza je zresztą Kott we wstępie do omawianego zbioru), że w dzisiejszej Polsce teatr odgrywa wyjątkową rolę, niespotykaną gdzie indziej, przypominającą stanowisko i wpływ, jaki miał u nas w drugiej połowie XIX wieku. Jest on kompensacją, wyżyciem się zastępczym, jak był w „epoce gwiazd” za czasów Prusa i Sienkiewicza, przeciw czemu Prus oponował, czemu Sienkiewicz ochoczo się poddawał. Ten aspekt krytyki Kotta czyni z niej dosyć wyjątkowy dokument historyczny (każda krytyka ma taki sens, ale rośnie on w miarę uczulenia tego, który ją uprawia).

Przed wszystkim jednak jest działalność recenzencka Kotta — literatura. Naznaczoną piętnem indywidualności, żywą, zawsze zajmującą. Można się z Kottem nie zgadzać, można się na niego zżymać, ale czyta się go z tą satysfakcją, jaką daje inteligentna rozmowa, widok drgających molekuł mózgowych, słuchanie dzwiczącej wrażliwości.

Kott ma dar przekazywania temperatury swoich przeżyć. Píše stylem nerwowym, lapidarnym, wibrującym jak mięśnie pod skórą. Nie wstydi się szczerości, choć ucieka od sentymentalizmu i namaszczenia. Jest często chłopiący, nigdy pontyfikalny. Więcej w nim entuzjasty, zapaleńca niż maga z brodą. Bywa kąśliwym Zoilem, ale takim, o którym można by powiedzieć, że „gryzie sercem”, gdyby w tym zastosowaniu nie brzmiało to zbyt patetycznie, a więc fałszywie.

Poprzez butady, paradoksy, złośliwości, kalambury w rodzaju „Beatrix Męczy” (Beatrix Cenci) i „Ubu Weneda” (Lilla Weneda), szczęśliwe inwencje słowne (przekład „Streetcar Named Desire” jako „Tramwaj na Ochotę”), olśniewające popisy ekwilibrystyki myślowej (uwagi o Kafce i „Procesie w Salem” Arthura Millera) — przebijają pasja, szorstka, jeżąca się, wymagająca miłość do teatru.

Krytyka Kotta nie jest krytyką ściśle teatralną lub przede wszystkim lub wyłącznie teatralną. Jest czymś mniej, jeśli taką wyłącznie teatralną krytykę można sobie wyobrazić. Ale jest także czymś dużo więcej: świadectwem wrażliwości, uczestnictwem w epoce, oryginalnym, niepospolitym pisarstwem.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

JUDEK (Stanisław). Associate Professor of Economics, University of Ottawa — *Canada's Economics Outlook for 1962*, Revue de l'Université d'Ottawa, Avril-Juin 1962, pages 182-197.

Studies in Russian and Polish Literature. Wyd. przez Zbigniewa FOLEJEWSKIEGO, Michaela KARPOVICH, Francis J. WHITFIELD'a i Alberta KASPIN'a. Str. 250 i 2 nłb. Vol. XXVII Slavistic Printings and Reprintings. (Mouton & Co., S-Gravenhage, 1962).

STAAR (Richard F.). *Poland 1944-1962. The Sovietization of a Captive People*. Str. 300. (Ed. Louisiana State University Press, Baton Rouge, La., USA, cena dol. 7,50).

ZURAWSKI (Joseph) *Poland the Captive Satellite. A Study in National Psychology*. Str. 194 i 2 nłb. (Wyd. Endurance Press, Detroit, 1962. Cena dol. 4,75)

The Modern Polish Mind. An Anthology, edited by Maria KUNCEWICZ. Str. 440. (Ed. Secker & Warburg, London, 1962, cena 35 sh.).

DJILAS (Milovan). *The Eve of Battle* from the opening part of Montenegro. Str. 23 i 1 nłb. Harcourt Brace & World, Inc. New York).

RICHARD OF SAINT VICTOR. *Benjamin Minor*. Translated from Latin by S.V. YANKOWSKI. Str. 97. (Ed. Na Hori, Ansbach, 1960).

The Brahman Episode. St. Ambrose's Version of the Colloquy between Alexander the Great and the Brahmins of India. Edited from a Vatican manuscript. Translated from the Latin by S.V. YANKOWSKI. Str. 64. (Ed. „Na Hori”, Ansbach, 1962).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Socialist Realism in Polish Literature and Criticism*. Str. 72-80. (Odbitka z „CL” N° 1, Vol. XIII, zima 1961).

FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Proceedings of the Conference on Slavistics and Comparative Literature Studies*, 1959. Str. 7. (Odbitka z N° 9 „Yearbook of Comparative and General Literature”, Chapel Hill, N° Carolina).

- Studies in Soviet Thought. A Quarterly of the Institute of East-European Studies at the University of Fribourg, Switzerland.* Editor J.M. Bocheński. N° 1, March 1962 (Vol. II). Str. 84. (D. Reidel Publishing Company, Dordrecht-Holandia. Cena Zeszytu f. 12,50. Abonament roczny f. 40).
- MACKIEWICZ (Józef). *Zwycięstwo prowokacji*. Str. 222 i 2 nlb. (Wyd. Monachium, 1962).
- SCHERER-WIRSKA (Olga). *Wesołych Świąt*. Str. 112. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Słońce dziesięciu linii*. Str. 155 i 5 nlb. (Wyd. „Libella”, Paryż 1963, cena 10 F.).
- HOFFMAN (Bruno). *Półśłówka z Krakowa i Rio de Janeiro*. Okładka i rysunki Jorge Eduardo Alves de Souza. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. Tel-Aviv).
- JORDAN (Z.A.). *Philosophy and Ideology. The Development of Philosophy and Marxism-Leninism in Poland since the Second World War*. Bibliografia i indeks. Str. XII + 600. (Wydawca I.M. Bocheński: Sovietica, Monographs of the Institute of East-European Studies. University of Fribourg, Szwajcaria. D. Reidel Publishing Company, Dordrecht Holandia, 1963. Cena Fl. 58).
- PASZKIEWICZ (Henryk). *The making of the Russian Nation*. Str. 509. Zawiera wykaz skrótów, bibliografię, mapy, źródła i indeks. (Wyd. Darton, Longman & Todd, Ltd. Publishers, Londyn, luty 1963, cena 84 sh.).
- LAWIŃSKI (Ludwik). „*Aczkolwiek*”. Opowiadania z 1.000 i jednej noc. Str. 172. (Nakł. „Grvff” Publications, Ltd., Londyn, 1963).
- BREGMAN (Aleksander). *Polska i nowa Europa*. Str. 86 i 2 nlb. (Nakł. Polonia Book Fund, Londyn, 1963).
- Początek akcji ankietowej. *Preliminarium odpowiedzi: Polska Pa-*
- pieżowi*. Skoordynowanie: wiary, mądrości, megatechniki. Str. 56 (Londyn, 1963).
- WEINTRAUB (Wiktor). *Uwagi o artyzmie „Złocistej przyjaźni zdrady”*. Str. 317-325. (Odbitka z „Numera Litteraria ku czci Romana Pollaka, Poznań, 1962).
- STAAR (Richard F.). *The Polish-German Boundary: A case study in international Law*. Str. 156-174. (Odbitka z „Journal of Public Law, Vol. 11, N° 1, Emory University Law School, Atlanta, Georgia, USA, 1962).
- STAAR (Richard F.). *The Communist Party Leadership in Poland. A study in Elite Stability*. Str. 20. (Ed. Institute of Ethnic Studies, Georgetown University, Washington, 1961).
- SUBOTIN (Stojan). *Istorijska Istina i Fikcija u Romanu „Uskoci” Teodora Tomasza Jeza*. Str. 202-218. (Odbitka z „Prilozi” Kn. XXVIII, 3-4, 1962, Beograd).
- Wydawnictwa książkowe na emigracji: Francja-Wielka Brytania*. Opr. Wiesław WOHNOUT. Str. 20. (Wyd. Staraniem Zw. Pisarzy Polskich na obczyźnie) „Taurus”, Londyn, styczeń, 1962).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Measurement and Understanding*. Str. 88-104. (Odbitka z oVl. N° 2 (Avril-luin) z „Revue de l'Université d'Ottawa”, Ottawa, 1962).
- FOLEJEWSKI (Zbigniew). *Kazmierz Wierzyński: Forty Years of Poetry*. Str. 7. (Odbitka z Vol. N° 4, 1961 „The Polish Review, N. York).
- FOLEJEWSKI (Zbigniew). *The Recent Storm around Turgenev as a Point in Soviet Aesthetics*. Str. 21-27. (Odbitka z „SEEJ, Vol. VI, N° 1, 1962).
- WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Remarques sur la notion de cause dans la physique contemporaine*. Str. 81-92. (Odbitka z nr. 1, Vol. I, 1962 „Dialogue”).
- BROMKE (Adam). *Nationalism and Communism in Poland*. Str. 635-643. (Odbitka z „Foreign Affairs”, July 1962).

- BROMKE (Adam). *Poland: A Matter of Timing?* Str. 33-40. (Odbitka z „Problems of Communism” nr 3, Vol. XI, May-June 1962).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Deviation Control: A Study in the Dynamics of Doctrinal Conflict*. Str. 5-22. (Odbitka z „The American Political Science Review, Vol. LVI, nr 1 March 1962).
- SCHRAMM (Percy Ernst). *Polen in der Geschichte Europas*. Str. 21 Schriftenreihe der Bundeszentrale für Heimatdienst. Rotationsserie.
- PIUS XI (Papież). *Encyklika o małżeństwie chrześcijańskim* (Casti Connubi). Z łaciny przeł. ks. St. Belch. Wyd. III. Str. 64. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn).
- KLYMASZ (R.B.). *A Classified Dictionary of Slavic Surname Changes in Canada*. Str. 64. (Wyd. UVAN, Seria „Onomastica” N° 22, Winnipeg, 1961).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

- PIDHANI (Oleg. S.). *The Ukrainian-Polish Problem in the Dissolution of the Russian Empire 1914-1917*. Str. 125 i 3 nlb. (Wyd. New Review Book, New York — Toronto, 1962).
- Taras Sevcenko 1814-1861. A Symposium. Str. 302 i 2 nlb. (Wyd. Volodymyr Mijakovskij i George Y. Shevelov. Vol. XXXI Slavistic Printings and Reprints. Mouton & Co, S-Gravenhage, 1962).
- Slavica Canadiana A. D.* 1961. Compiled by J.B. RUDNYČKYJ in co-operation with I. Avakumović, J. Kirschbaum, V. Turak. Str. 64. (Slavistica N° 45, Ed. Canadian Association of Slavists, Polish Research Institute of Canada and the Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1962).
- LESYCZ (Wadym). *Krejdiane kolo*. Poeziji zoszyt siomyj. Str. 101. Wyd. „Na Hori”. München.
- RUBCZAK (Bohdan). *Dziwczyni bez krajiny*. Tretia zbirka poeziji. Str. 48. W-wo Nju-Jorkskoji Hrupy. New York — Chicago.
- Poety czumačkoho szlachu*. Nowa poezija na Ukraini. Str. 82. Bibl. „Suczasnost” cz. 3. München, 1962.
- Szekspir (Wiliam). *Trahedija Makbeta*. Korol Henri IV. Perekład
- T. Ośmaczky. Str. 446. W-wo „Na Hori”, seria „Switowyj teatr”. München, 1961.
- Anouilh (Jean). *Antihona*. Perekład Żeni Wasylkiwskoji. Str. 64. W-wo „Na Hori”, seria „Switowyj teatr”. München, 1962.
- Wybrani Kler ta Iwan Goll*. Zred. i pereklady Eliz. Kotmajer ta I. Kosteckij. Str. 50. W-wo „Na Hori”, seria „Dla amatoriw”. München, 1960.
- Furman (Artur). *Krow i wuhilla*. Roman-Chronika. Str. 362. Ukrajinske Wydawnictwo. München, 1961.
- EWENTUALNYJ (Iwan). *Proty szerszy. Satyry-humoresky-parodiji*. Str. 208. W-wo Julijana Seredniaka. Buenos Aires, 1962.
- CIWCZYŃSKA (Alła). *Nezabutnie, nemerknucze. Powist’ — spohady pro Mykołu Zerowa*. Str. 63. C. I dol. New York, 1962.
- KOSACZ (Jurij). *Wid feodalizmu do neofaszyzmu*. Narysy. Str. 94. Wyd. „Za synim okeanom”. New York, 1962.
- IWANYS (Wasyl). *Steżkami žytia* (spohady). Knyha IV. Str. 402. Nowyj Ulm 1961 c. 3.50 dol.
- MAŁANIUK (Iewhen). *Knyha spostereżeń. Proza*. Str. 525. Nakł. W-wa „Homin Ukrainy”. Toronto, 1962.

FEDENKO (Panas): *Amor patriae. Lubow do ba'kiwszczyny*. Istoryczna powist'. Str. 256. W-wo „Dniprowa Chwyla”. München, 1962. C. 2,75 dol.

WYBRANYJ KAZIMIR ED-SZMID. Zredahuwaw Ihor Kosteckij. Str. 135. W-wo „Na Hori”, seria „Dla amatoriw”. München, 1960.

WOWK (Wira): *Witrazi*, Roman. Str. 47. W-wo „Na Hori”, seria „Dla amatoriw”. München, 1961.

WOWK (Wira): *Czorni akacii*. Poeziji. Str. 62. W-wo „Na Hori”, seria „Dla amatoriw”. München, 1961.

WYNAR (Lubomyr): *Andrij Wojnarowskiy*. Istorycznyj narys. Str. 127. W-wo „Dniprowa Chwyla”. München, 1962.

TYS (Jurij): *Zwidun z Czyhyryna*. Str. 232. Wyd. Julijana Serejniaka. Buenos Aires, 1961.

KURYŁŁO (O.): *Uwagy do suchasnoji ukrajinśkoji literaturnoji mowy*. Wydannia piatę. Str. 199. W-wo „Nowi Dni”. Toronto, 1960. C. 2,50 dol.

WOLYNIJAK (Petro): *Fizyczna heohrafija Ukrainy*. Str. 96. W-wo „Nowi Dni”. Toronto, 1962. C. 1,60 dol.

PEREMYSZL ZACHIDNIJ BASTION UKRAJINY. Zbirnyk mat. pid prowodom prof. B. Zahajkewyca. Str. 414. Peremyslskyj Wydawn. Komitet. New York — Philadelphia, 1961.

WYBRANYJ EZRA PAWND, tom I. Poezija-Esej-Kanto. Perekład statti ta zahalna redakcija Ihorja Kosteckoho. Str. 343. W-wo „Na Hori”, seria „Dla amatoriw”. München, 1960.

SZUWARSKA - SZUMYŁO-WYCZ (Iryna): *Spiwucze switlo*. Poeziji. Str. 62. New York, 1959.

HAJDARIWSKYJ (Wasył): *A swit takij harnyj...* Opowidannia. Str. 238. W-wo J. Serejniaka. Buenos Aires, 1962.

ALMANACH KALENDAR „HOMINU UKRAJINY” Na RIK 1963. Str. 190. Nakł. W-wa „Homin Ukrainy”. Toronto.

KALENDAR ALMANACH MITLA NA RIK 1963. Str. 128. W-wo J. Serejniaka. Buenos Aires, 1962.

Czikago — Szewczenkowi. Propamiatna knyha. W soti rokowny smerty 1861-1961. Str. 88. Szewczenkiwskyj Komitet w Czikago.

KOMENTAR. Str. 48. Wyd. MLIN. London-Haaga.

WYDAWNICTWA ROSYJSKIE

ARŻAK (Nikołaj). *Goworit Moskwa*. Powiest'. Str. 62. (Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1962).

GUMILEW (N.). *Sobranie Sochinenii*. T.I.: Stichi 1903-1915. Str. 333. (Wyd. V. Kamkin, Waszyngton, 1962).

FILIPPOW (Borys). *Kresty i piekrestki*. Rasskazy i oczerki. Str. 158. (Wyd. V. Kamkin, Waszyngton, 1957).

FILIPPOW (Borys). *Niepogod*. Stichi 1942-1960. Str. 30. (Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1960).

FILIPPOW (Borys). *Wietier Skifii*. Stichi 1942-1959. Str. 46.

(Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1959).

FILIPPOW (Borys). *Skoz' tucz*. Powiest' w czetyriech rasskazach. Str. 189. (Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1960).

FILIPPOW (Borys). *Rubiezi*. Str. 23. (Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1962).

FILIPPOW (Borys). *Briemia wremeni*. Stichi 1942-1961. Str. 30. (Wyd. B. Filippoff, Waszyngton, 1961).

FILIPPOW (Borys). *Pylnoje Solnce*. Rasskazy. Str. 46. (Nakładem Autora, Waszyngton, 1961).

Listy do Redakcji

Flensburg (Niemcy Zachodnie), 15.XII.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Niedawno przeglądając „Kulturę” z r. 1960 (numery: 147, 148, 153, 154, 158), wzrok mój zatrzymał się na „Fragmentach z Dziennika”, Witolda Gombrowicza.

Zacząłem czytać, i podskoczyłem na fotelu, ale nie z zachwytu.

Opinie i spostrzeżenia autora co do muzyki i jej twórców wypowiedziane zostały przeszło dwa lata temu; uważając, że ten temat nigdy nie przestaje być aktualny, bardzo bym prosił o umieszczenie moich kilku uwag — jego dotyczących.

Przypuśćmy, że ktoś po przeczytaniu „Fragmentów” buduje, czy uzupełnia sobie, pod ich wpływem poglądy na muzykę i jej twórców.

Otóż dowiaduje się, że np. J.S. Bach był to taki kompozytor, który źle natchnął tych co po nim przyszli, bo wzbudził w nich li-tylko umiłowanie kosmosu... czystości i... matematyki, i wskutek tego zapomnieli, że twórczość ma przecież służyć do „oczarowania samiczki”...!

To, że znaczna część twórczości Bacha jest ładunkiem najszlachetniejszego i najdoskonalszego liryzmu, i w formie i w treści, o tym, że jego koncerty fortepianowe i skrzypcowe wprost „pękają” od obfitości twórczej, żywotnej i wybitnie męskiej siły — niestety czytelnik z „Fragmentów” się nie dowie.

Tyle co do Bacha. Dalej jest mowa o Szostakowiczu. Ten to już naraził się okropnie, bo „nawraca”. Nie chce, według zaleceń autora „skrócić karku i piąć się wyżej” tylko beczelnie nawraca do przeszłości — starych historii i „chwytów”, które p. Gombrowicz już Czajkowskiemu miał za złe, no, bo doprowadziły go do „artystycznej klęski”. (Nawiasem mówiąc, nie bardzo wiem jacy to byli artyści, którzy mu zagrali to „Pozgonne” — w każdym razie Strawiński sam pisał, że ma mu dużo do zawdzięczenia — a symfonie Czajkowskiego są grane przez wszystkie orkiestry symfoniczne Belgii, Holandii, Niemiec, ba... nawet Francji, na równi z Beethovenem czy Brahmem).

Fakt, że każda symfonia Szostakowicza jest pełna oddechu, świeżości, poezji, nie mówiąc już o doskonałej orkiestracji, to już go nie uchroni — bo nawraca.

A gdzież ma szukać natchnienia — dobrzy ludzie — może w planie pięcioletnim!?

Tak długo jak ludzie będą komponowali będzie „nawracanie”. Przeszłość bliższa czy dalsza może służyć kompozytorowi tylko za pretekst i może on dzieło tak przetworzyć, że o tym „pierwszym źródle natchnienia” będzie wiedział tylko szczupłe grono ściśle zainteresowanych, albo co najwyżej ostatnie się w tytule, ale „nawracanie” jest i będzie.

Szymanowski, którego twórczość w lwiej części wykarmiona jest mitologią i legendami, był jednym z najbardziej nowatorskich kompozytorów swojej epoki, mimo że czerpał z lamusa przeszłości. Czyż to jest istotne, a zwłaszcza karygodne?!

Bardzo przyjemnie jest czytać we „Fragmentach” o gitarzyscie z Argentyny, kawiarniach i dziewczętach, poza tym niech żyje wolność... nawet w „Dzienniku”; jestem skrzypkami i mam zaszczyt i przyjemność pracować w muzyce od szeregu lat — i uważam, że J.S. Bach i jemu podobni, w obrazie jaki im nadaje p. Gombrowicz, raczej do towarzystwa „gitarowego” nie pasują. Nawet we „Fragmentach”.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku.

Stefan BOROWSKI

Rio de Janeiro, 28.II.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo Panu byłbym wdzięczny za zamieszczenie w „Kulturze” następujących moich uwag — jako listu czytelnika:

Zachwycam się bezgranicznie artykułami p. Juliusza Mieroszewskiego. Nie wiem co w nich bardziej podziwiać: wnikliwą ocenę istoty zagadnień międzynarodowych, na ogół bardzo trafne wnioski z niej wyciągane czy spiszową logikę w obronie konsekwentnie obranych przez tego publicystę linii przewodnich. Przy p. Mieroszewskim mogą się schować Restony, Lippmany, Alsopy czy inni amerykańscy specje z tej dziedziny.

Żałuję jednak, że po raz pierwszy nie mogę się zgodzić ze sposobem w jaki próbuje spojrzeć „prawdzie w oczy” w sprawie kubańskiej w N-rze 183/184. Kuba, to obawiam się, przynajmniej w bliskiej przyszłości, kwadratura koła, zagadnienie po prostu nierozwiązalne. W ten ponury impas wpędziła swój kraj, Amerykę Łacińską i nieomal cały świat bezgranicznie nieudolna polityka State Department'u, która przejdzie do podręczników dyplomacji jako wzór klasyczny tego wszystkiego, czego należy unikać w polityce zagranicznej. Nie umiał wyzyskać atutów gospodarczych, dyplomatycznych i wojskowych, którymi mógł rozporządzać dla włączenia powrotnego Kuby w obręb Świata Wolnego. Ostatnio roztrząbił triumfalnie, bez głębszego uzasadnienia, rzekomy sukces w rozgrywce z Chruszczowem. Euforia ta należy już do przeszłości...

Nawiasowo, nie wydaje mi się słuszna opinia utalentowanego dziennikarza Edmunda Osmańczyka co do „podległości USA, wstecznicstwa, zafanfania” itp., które miałyby odpowiadać rozwiązaniu jankesowskiemu „równania łańcisko-amerykańskiego”. Wbrew obawom podzielanym przez p. Mieroszewskiego nic nie zdaje się wskazywać na to, by ewentualna kontrewolucja kubańska (?) musiała, pod patronatem USA, doprowadzić do przywrócenia tam *status quo* przedrewolucyjnego. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, że na terenie zachodniej półkuli Stany angażują się dziś, nawet może nieco paradoksalnie, w duchu popierania zasad skrajnie postępowych pod kątem widzenia społecznego, dostosowując się na całego do tak obecnie tu modnych wytycznych socjalistycznych. Utrzymane w tym duchu Przymerze dla Postępu jest w tych dniach pod ostrym obstrzałem amerykańskich kół kapitalistycznych.

Trudno byłoby starać się w kilku słowach wyjaśnić, dlaczego mimo to Stany nie wychodzą obronną ręką w walce z Fidel Castro o czołową pozycję w opinii publicznej tego kontynentu — i to pomimo niepowodzeń

wewnętrznych Castro. Fidel to wielki gracz. Jedyny polityk, który umie zgrabnie wygrać dla siebie napięcia między Moskwą a Pekinem. I nie-zrównany mistrz w opanowaniu wszystkich instrumentów nowoczesnej propagandy. Toteż do dziś dnia wywiera fascynujący wpływ na postawę mas ludowych trzech Ameryk — bez względu na to, co o tym myślą rządy 20-tu ich państw.

Ale nie o to wszystko mi chodzi w tej chwili. Pragnę tylko wyrazić najgłębsze moje przekonanie, że recepta zalecana przez p. Mieroszewskiego: referendum pro Fidel czy contra Fidel, zorganizowane przez O.P.A. — to terapeutyka znachora a nie lekarza. Zachodzę w głowę próbując zrozumieć dlaczego „niewątpliwie leży w granicach możliwości Stanów Zjednoczonych narzucenie Kubie tego rozwiązania”.

Dlaczego na Kubie przywrócenie wolności w tej drodze miałoby większe szanse niż w jakimkolwiek innym państwie komunistycznym? Jak mogłaby do tego zmusić Kubę Organizacja Państw Amerykańskich, która niedawno wypędziła ją ze swego łona? Bardzo możliwe, że istotnie swobodne referendum dałoby większość antyreżimową. Ale czy w tych warunkach można liczyć na samobójczą kapitulację Fidela i całego bloku komunistycznego, do czego ostatecznie sprowadzałaby się zgoda na tego rodzaju rozwiązanie, które stałoby się początkiem końca sowietokracji?

Nie tędy droga. Czy są inne, bardziej skuteczne? Przyznaję szczerze, że w tej chwili ich nie widzę. Presje czy sankcje gospodarcze są już grubo spóźnione. Do niczego też nie doprowadziłyby dalsze zizolowanie hemisferyczne Kuby poprzez zerwanie stosunków dyplomatycznych z Hawaną przez pięć państw Południowej Ameryki, na co dziś tak bardzo nalega Waszyngton. Co najmniej wątpię, czy w roku 1963 może jeszcze wchodzić w grę czysto wojskowe zlikwidowanie casusu kubańskiego bez ryzyka rozpetania wojny światowej, co na pewno było możliwe w r. 1961 i 1962. Zrezygnowanie przez blok sowiecki z przyczółka amerykańskiego, zdobytego tam poniekąd przypadkowo, bez wyraźnej intencji Kremla, może stać się aktualne tylko w ramach globalnego porozumienia między Wschodem a Zachodem, albo też w razie nieprzewidzianego osłabienia od wewnątrz komunizmu światowego. Chyba *tertium non datur*...

Łączę wyrazy głębokiego poważania i szacunku.

Stanisław FISCHLOWITZ

New York, 25. X. 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Mimo szczerzego życzenia by sprawa „Delfijskich listów” przestała już męczyć biedne umysły muzykologów jako definitywnie załatwiona, Nieborowską konferencją, stało się inaczej, i rozwój niektórych zdarzeń, zamiast uspokoić, tylko wzniecił niepokój szeregu sceptyków, którzy znaleźli poważną przyczynę do nieuznania sprawy za zamkniętą.

Jako obserwator z zagranicy, miałem możliwość tylko fragmentarycznego zapoznania się z przebiegiem Nieborowskiej konferencji, po której obiecywano sobie tutaj rozstrzygnięcia sporu tak czy inaczej, a więc ustalenia że albo listy są fałszywe albo mogą być kopią autentycznych.

Ustalono: fałszywe, na podstawie nowoodkrytych zapisek w księgach p. Czernickiej mających zawierać aż całą „fabrykę” tych i jeszcze innych

fragmentów tej pechowej korespondencji. Powołano się także na argumenty filologiczne.

Jak wielu, i ja odetchnąłem, gdyż każde rozwiązanie (o ile prawdziwe) jest lepsze od wiecznej wojny i niepewności. Każdy logicznie myślący badacz zgodzi się, że o ile odnaleziono takie bruliony p. Czernickiej i o ile zawierają one istotnie „warsztat listów”, wszystkie pozostałe argumenty jak np. natury filologicznej przemawiające za fałszerstwem są już zbyteczne i muszą ustąpić wobec tak naocznego dowodu. Dowód ten pragnęło zobaczyć szereg osób nie wyłączając kilku specjalistów i zagranicznych krytyków. Jasne, że ujawnienie nawet kilku „nowych fragmentów” ręki p. Czernickiej w formie fotostatu załatwiłoby tę sprawę raz na zawsze i na międzynarodową skalę. Krajowi przecież zależy aby wyniki konferencji zostały przyjęte i uznane powszechnie przez wszystkie kraje świata. Niestety, ujawnienia takiego dowodu odmówiono i to odmówiono oficjalnie!

Jeśli nawet sprawa potraktowana w ten sposób jest uważana w kraju za zamkniętą i uspokoiła polskich badaczy, pozostała ona otwartą dla krytyki zagranicznej słusznie a na próżno dopominającej się o skromny dowód rzeczowy mimo, że taki pono istnieje. Czyż można się dziwić że podobna odmowa Ministerstwa podważyła drastycznie wszelkie argumenty? Ze zbytecznie zrodziła nowe a przykre domysły? Chyba zbyteczne przypomnieć, że prośba o ujawnienie owych fotostatów osobom zaangażowanym jest żądaniem elementarnym, ledwie wymagającym usprawiedliwienia. O ile bruliony p. Czernickiej istnieją w kraju i służyły jako materiał dowodowy podczas rozmów Nieborowskich, nie ma rzeczy łatwiejszej jak sfotografować pewną ich część i przesłać na ręce zagranicznych krytyków co przecież powinno być — powtarzam — w interesie krajowych muzykologów dbających o właściwe załatwienie tej sprawy także za granicą gdzie o niej już tyle pisano.

Zdaję sobie sprawę że „nieładnie” jest prosić o dowody, lecz skoro one istnieją, odmówienie pokazania ich nasunie nawet dziecku jeszcze o wiele mniej ładne myśli. Gdybyśmy tutaj np. twierdzili, że posiadamy listy do Potockiej w autentycznym manuskrypcie ręki Chopina, kraj także zażądałby ujawnienia pewnej ilości fotostatów, nim by zechciał przyjąć nasze twierdzenie jako wystarczające, nawet gdyby zasadniczo wierzone nam. A gdybyśmy odważyli się odmówić...

Dlatego dalsze odmawianie fotostatów pism p. Czernickiej i to przez osoby oficjalne, wyda się nie tylko niezrozumiałe, ale zostanie zrozumiane na miarę takiej odmowy. Jestem ostatnią osobą która by sobie życzyła podobnego zakończenia tej upartej sprawy i dlatego zwracam się w imieniu osób zainteresowanych oraz w imieniu kilku czołowych tutejszych krytyków, z grzeczną lecz stanowczą prośbą o ujawnienie nam kilku stroniec nieznanych dotąd „nowych fragmentów” pism p. Czernickiej w formie fotostatowej. Uwzględnienie tej prośby będzie najlepszym „dowodem dowodów”; odrzucenie jej... wznieci nowy ogień jałowej dyskusji i — nie wstydzimy się prawdy — zakopci sprawę niesmacznymi podejrzeniami o „sfabrykowanie fabrykacji”.

Bo czemu pozwolić ludziom na takie domysły i dawać im nadal dręczyć własne i cudze umysły o ile można wszystko załatwić za kilka złotych i kilka gramów dobrej woli? Jedna rzecz nie wiedzieć, a druga wiedzieć lub twierdzić że się wie, a odmawiać pokazania. Dlatego oczekujemy pozwolenia „wszechmocnych” (bo coś miałyby ich od niego naprawdę powstrzymać?) na rychłe nadesłanie proszonych fotostatów po których nareszcie zapanuje niezmacona i dawno upragniona cisza. (Amen).

Wyrazy poważania łączę.

Jan HOLCMAN

Ottawa, 5 marca 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jak Pan Redaktor zapewne zauważył, koperta zawierająca niniejszy list ma trzy niecodzienne znamiona; 1) pomniejszoną stronę wydawnictwa Stow. Techników Polskich w Kanadzie; Technik Polski z 1944, z portretem Gzowskiego, 2) znaczek poczty kanadyjskiej również z wizerunkiem Gzowskiego i 3) specjalną pieczętkę pocztową z napisem: DAY OF ISSUE — JOUR D'EMISSION, z datą 5 marca 1963 r. tj. w 150-lecie urodzin Gzowskiego.

Minister Poczty, Pani Ellen Fairclough, wydając znaczek Gzowskiego w 7 milionach egzemplarzy oświadczyła: *The stamp is issued to commemorate a great Canadian of Polish origin with the hope that it will bring to the attention of the forgotten (1).*

Oficjalnie, Stowarzyszenie Techników było pierwszą organizacją, która wystąpiła do władz kanadyjskich z wnioskiem o wydanie znaczka. Nieoficjalnie, na terenie stowarzyszenia „prawa autorskie” do pomysłu wydania znaczka i koperty rości sobie niżej podpisany.

O Gzowskim wspominałem mimochodem w artykule: „Wynaradawianie się Polaków” w Kanadzie, który ukazał się w „Kulturze” w 1957 r. (nr czerwcowy). Wsławił się on i dorobił okazałej fortuny na budowie kolei i mostów — most nad Niagarą był jego szczytowym wyczynem jako inżyniera. Prócz Gzowskiego — historia Kanady notuje dzieje dwu innych powstańców, 1830-31 i inżynierów: Kierzkowskiego i Szulca, którzy przybyli do Kanady na kilka lat przed Gzowskim. Kierzkowski osiedlił się w St. Hyacent (2) — 50 km na zachód od Montrealu i z tego okręgu — głosami francuskimi został wybrany posłem do Pierwszego Parlamentu Kanady. Szulc przekroczył granice Kanady z bronią w ręku na czele ochotników ze Stanów, którzy pospieszyli na wezwanie Mackenzie (dziadka Mackenzie Kinga, premiera Kanady przez 22 lat), który zorganizował pucz w Toronto. Po krótkiej walce powstańców pobito, Szulca postawiono pod sąd i mimo obrony J. MacDonalda (późniejszego pierwszego premiera Kanady) powie-

Wracając do mojego artykułu z 1957 r. pisałem, że spis powszechny w Kanadzie w 1951 r. stwierdził, że było 219.845 osób, które podały polskie pochodzenie etniczne (po ojcu) z czego 129.238 tj. 58,79% oświadczyło, że jeszcze rozumie język polski. Oświadczyłem, że zanik znajomości języka macierzystego w grupie polskiej przebiega w Kanadzie niestety szybciej niż w innych grupach narodowościowych. Biorąc pod uwagę brak dopływu emigracji z Polski — pisałem artykuł przed odbrązowieniem Stalina — wróżyłem, że w 1961 znajomość języka macierzystego w polskiej grupie etnicznej spadnie w Kanadzie poniżej 45%. Niestety spis powszechny z 1961 r. potwierdził te niepomysłne przepowiednie. Bo spośród 323.517 osób polskiego pochodzenia rozumie jeszcze język polski 161.720 tj. 49,99%, ale pomiędzy 1951 a 1961 przybyło do Kanady emigrantów polskiego pochodzenia etnicznego szono w 1837 (dzieci w Kingston zwolniono z nauki, by mogły brać udział w publicznej egzekucji). Przed śmiercią Szulc zapisał pieniądze jakie posiadał przy sobie wdowom po żołnierzach kanadyjskich, którzy polegli walcząc przeciwko niemu...

(1) Ten znaczek pocztowy wydany został aby upamiętnić wielkiego Kanadyjczyka polskiego pochodzenia, w nadziei zwrócenia uwagi opinii publicznej na człowieka, którego udział był wielki, lecz który został całkowicie zapomniany.

(2) Po polsku St.-Hyacent — brzmi bardziej: św. Jacek, który jest również patronem polskiej parafii w stolicy Kanady.

37.679, którzy prawie wszyscy musieli zasilić grupę rozumiejących język polski. Gdy odliczymy ten zastrzyk 37.679 emigrantów, to łatwo obliczyć, że znajomość języka macierzystego w polskiej grupie narodowościowej osiąga tylko 43,40%.

Co gorsza, wśród innych grup narodowościowych — oczywiście wyłączając grupę anglosaską i francuską — średni odsetek znajomości języka macierzystego w 1951 wynosił 55,44% spadając do 52,38% w 1961 r., tzn. spadek był znacznie wolniejszy niż w grupie polskiej, gdzie — jak podałem — z 58,79% w 1951 r. spadł na 49,99% w 1961 r.

Z należnym szacunkiem.

Adam JAWORSKI

Chicago, 27.1.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule p. St. K. — Sobór Watykański II („Kultura” nr 1/183-2/184, 1963) jest wspomniane że — nawet z Litwy przyjechał jeden biskup i dwóch prałatów.

Niestety, wzmianka ta nie odpowiada rzeczywistości. Na Soborze uczestniczył, jako ojciec Soboru tylko jeden biskup litewski, dr W. Brizgys, biskup-koadiutor arcybiskupa-metropolity Kowieńskiego. Przyjechał on na Sobór nie z Litwy lecz ze Stanów Zjednoczonych, rezydując na wygnaniu w Chicago. Żaden z trzech obecnie jeszcze znajdujących się na Litwie biskupów nie mógł przyjechać na Sobór. Zresztą tylko jeden z tych biskupów jest na wolności i rezyduje w swej diecezji.

Z Litwy na Sobór pozwolono przyjechać tylko trzem kanonikom, administratorom diecezji i jednemu księdzu, kanclerzowi kurii wileńskiej. Tylko jeden z nich, administrator diecezji, kowieńskiej i wylkowyszkowskiej, brał udział w pracach Soboru tytułem eksperta.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Jan RUGIS

Paryż, 6.III.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Fakt coraz wyraźniejszego odczuwania zjawiska „kurczenia się” czasu, czy też jego stałe przyspieszanie biegu — rzekłoby się „spadania” — który zainteresował p. Pawła Hostowca („Kultura”, marzec 1963), rzeczywiście coś mówi.

Ostatecznie, nowoczesne „autorytety” odkrywają prawdę starą, dośłownie, jak świat. Byłoby rzeczywiście wskazane zwrócić większą uwagę na tę jakościową stronę jednego z warunków określających (i ograniczających) istnienie naszego świata — pewna bowiem znajomość tego co warunkuje, daje już pewną wiedzę o tym co podlega temu uwarunkowaniu. W książce „Le Règne de la Quantité et les Signes des Temps” (Ed. Gallimard; w tych dniach ukazało się nowe jej wydanie), René Guénon zajmuje się tym zjawiskiem opierając się na doktrynie cykli kosmicznych, szczególnie rozwiniętej w tradycji hinduskiej. „Pierwszą z uwag to ta,

że nie tylko każda faza cyklu czasowego, zresztą jakiegokolwiek, ma swoją właściwość (jakość), która wpływa na ustalenie wypadków, lecz że nawet szybkość z jaką toczą się te wypadki jest czymś, co także zależy od tych faz i która, wobec tego, jest rzędu jakościowego więcej niż rzeczywiście ilościowego” (tamże, str. 45/46). Giuseppe Palomba, profesor ekonomii na uniwersytecie w Neapolu, przestudiował dzieje nowoczesnego Zachodu w swym dziele „Cicli storici ed i cicli economici”, dzieło, które nie powinno być „autorytetem” nie znane. Interesujący materiał zebrał Gaston Geogel w drugim wydaniu (nie pierwszym) „Les Rythmes dans l'Histoire”, „Les quatre âges de l'humanité”. — Dlatego tak trudno dzisiaj mówić o utrwaleniu jakiegoś stanu równowagi, niezależnie od podstaw, takich czy innych, na których miałby się oprzeć.

Łączę wyrazy poważania.

Stanisław SAGASZ

P.S.: — Przypuszczam iż niejedyn z czytelników będzie zdziwiony trochę, moim zdaniem, pośpiesznymi, uwagami p. Pawła Hostowca o poezji („Kultura”, marzec 1963, str. 19). Może jednak takie wyrażenia jak „mowa bogów”, „mowa ptaków”, są czymś więcej niż „przeobrażeniami”

Jacksonville, Ill., 31 grudnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem dr. Zbigniewa Jordana pt. W sprawie autorstwa „The Polish Peasant...”, zamieszczonym w grudniowym zeszycie *Kultury* chciałbym zwrócić uwagę na ważne wydawnictwo, poświęcone tej książce, które ukazało się drukiem jeszcze w r. 1939 i w którym sprawa wkładu obu autorów wydaje się być wyjaśniona jasno i wyczerpująco.

Wydawnictwo to (1) składające się z długiej rozprawy krytycznej na temat *The Polish Peasant*, napisanej przez wybitnego socjologa amerykańskiego, Herberta Blumera, oraz sprawozdania stenograficznego z obrad specjalnej konferencji, dla której referat ten był przygotowany, zawiera również oświadczenia obu autorów.

Aczkolwiek tematem konferencji nie była sprawa autorstwa książki, tylko ocena jej osiągnięć teoretycznych i metodologicznych, obaj autorzy odpowiadając na różne uwagi Blumera i innych uczestników konferencji, poruszyli w swych oświadczeniach także i interesującą nas sprawę ich współpracy nad *The Polish Peasant*.

Tak np. Thomas, opowiadając o źródłach swego zainteresowania imigracją polską do Stanów Zjednoczonych oraz o tym, jak poznał Florian Znanieckiego, stwierdza, co następuje:

„Znaniecki miał rozległe doświadczenie z chłopami, tak poprzez wywiady w swoim biurze (Ochrony Emigranta), jak i poprzez swoje częste

(1) Social Science Research Council, Bulletin 44, 1939 Critiques of Research in the Social Sciences: I. An Appraisal of Thomas and Znaniecki's *The Polish Peasant in Europe and America* by Herbert Blumer. New York: Social Science Research Council, 1939.

podróże po wsiach, i *bardzo wiele z tego, co Blumer podnosi jako wnikiwość, cechującą książkę oraz jej ogólny schemat analityczny musi być przypisane wykształceniu filozoficznemu Znanieckiego oraz jego znajomości życia chłopskiego* (podkreślenia moje), („a very great deal of what Blumer appreciates as insight shown in the volumes, and of the general conceptual scheme, is due to Znaniecki's philosophical training and his experience with peasant life”).

Podobnie, omawiając cenną „Uwagę Metodologiczną”, zamieszczoną w t. 1. *The Polish Peasant*, nie omieszkaj Thomas podkreślić, że była ona połączeniem (a combination) „założeń, które rozwijałem przez szereg lat w moich wykładach na temat „Postaw Społecznych” (Social Attitudes) oraz pewnych poglądów, rozwiniętych przez Znanieckiego w jego pracy na temat *Wartości* (2) ogłoszonej w języku polskim”.

Sądzę, iż te cytaty dają wystarczającą odpowiedź wszystkim tym, którzy chcieliby wiedzieć więcej o indywidualnym wkładzie obu uczonych do tego znakomitego dzieła, które wywarło tak znaczny wpływ na rozwój socjologii i które jest powszechnie uznane za jedno z jej klasycznych opracowań.

Wydaje mi się, że tendencja, zaznaczająca się u niektórych autorów, jak np. u cytowanego przez dr. Jordana E. Volkarta, do traktowania *The Polish Peasant* jako dzieła przede wszystkim Thomasa pochodzi stąd, że dalsza jego działalność naukowa (jak również to, co pisał przedtem) wydają się na ogół bliższe rodzajowo *The Polish Peasant*, aniżeli wszystkie późniejsze dzieła teoretyczne Znanieckiego. Nie ulega wątpliwości jednak, jak to dr Jordan słusznie podniósł, że w tendencji tej leży niebezpieczeństwo niedocenienia wielkiego wkładu Znanieckiego do *The Polish Peasant*, i to wbrew opinii osoby chyba najbardziej miarodajnej, bo Williama I. Thomasa.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

Konstanty SYMONOLEWICZ-SYMMONS
Profesor Socjologii i Etnologii
MacMurray College, Jacksonville, Ill. USA

(2) Jak się zdaje, tytuł tej polskiej pracy Znanieckiego brzmi „Zagadnienie Wartości w Filozofii”.

WPLATY NA FUNDUSZ KULTURY

S. Górka, St. Albert, Alta (Canada)	4,50 F
Bezimiennie (USA)	200,00 „
Bolesław Biskupski, Belo Horizonte (Brazylia)	4,50 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz szósty	100,00 „
S. Foltyn, Brooklyn, N.Y. (USA)	23,80 „

DZIEKUJEMY

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1963.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo; J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debiecka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiastkowice », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonserstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV tockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A.: Jerzy Bienkowski, 623 Tracy St., Utica, N.Y., Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 2, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXXIII

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

Stron 200

Cena egz. 10 F (15/-; dol. 2,25)



TOM LXXXV

JÓZEF WITTLIN

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

Str. 658

Cena egz. 34 F (50/-; dol. 7,00)



TOM LXXXVI

ZYGMUNT HAUPT

PIERSCIEN Z PAPIERU

Nagroda Literacka „Kultury” za rok 1962

Stron 248

Cena 13,50 F (20/-; dol. 3,00)